

Józef Ignacy Kraszewski

Lubonie t.1



calibre 0.9.27

Lubonie

Powieść z X wieku.

Panu BRONISŁAWOWI ZALESKIEMU w Paryżu.

Przypomnisz sobie może, kochany Bronisławie, rozmowę naszą o

powieściach historycznych, którymi w roku przeszłym będąc w myślach zajęty, spowiadałem Ci się z trwogi i zapału, jaki one we mnie obudzały.

Naówczas był to pomysł tylko jeszcze, który teraz, jak umiałem i mogę, przyprowadzam do skutku. Byłeś jednym z pierwszych, z którymi przejęty cały zadaniem tym - mówiłem: myśl sama zdała Ci się i dobrą, i ponętą, przyjmijże jeden z pierwszych jej owoców. Czasy, które się tu malują, szare okrywają mroki, wrócić im cokolwiek życia, starać się je z niemnogich skazówek i pomników odgadnąć, zaprawdę trudnym było.

Nie pochlebiam sobie, abym to dokonał tak, jak to należało, alem uczynił

pobożnym ku przeszłości sercem, jakem zdołał i umiał. Przyjm maluczką ofiarę, chętnie i pobożająco.

Twój wierny - Józef Ignacy Kraszewski.

Dnia 29 marca 1876, Drezno.

TOM PIERWSZY

Rozdział 1.

Wieczór był skwarne dnia letniego, słońce za chodzić miało za lasy. Co żyło, ukryte w cieniach i zaroślach, czekało, by powiał wiatr wieczorny, spadła rosa ożywcza i palące promienie dopiekać przestały. Milczało wszystko. Stada w zaroślach się chroniły, ludzie po lasach, rzadko ptak przeleciał w powietrzu, które ziało ogniem. Noc miała przynieść ochłodę i wypoczynek po dniu, który zwarzył rośliny i wyssał z ziemi ostatki wilgoci, po niedawnej pozostałe burzy.

Tego dnia pod wieczór nawet nie zmniejszył się upał i na niebie chmurki żadnej widać nie było.

Wypogodzone, rozpalone, bezbarwne, zwiastować się zdawało posuchę,

bo tarcza słoneczna ponad lasami okryła się barwą krwi i purpurowa, bezpromienna, dziwna i straszna, z wolna kłoniła się ku czarnemu pasowi puszczy dalekich. W powietrzu unosiły się słupy muszek, podnoszące wysoko, wirujące obrotami jakimiś samowolnymi, jakby je powiew jaki, którego czuć nie było, to w górę, to na bok odnosił, to przyciskał ku ziemi. Chmurą leciały tak muszki skrzydlate, ponad łąki i pola, zdając się bawić i swawolić w rozpalonych ziemi wyziewach. Na polach cicho było i pusto. Wyszłe rzeczułki ciekły skryte głęboko, uciekając daleko od spieki, co je wypijała. Czasem w dali powiew, który nie dochodził tu i czuć się nie dawał, na piaszczystych rozłogach chwycił

kurzu tumany i do góry je gdzieś unosił.

Na Krasnejgórze nad Wartą, we dworze Luboniów, tak pusto było, jak

wszędzie dnia tego, ludzie się od spieki gdzieś pochowali. I obyczajem starym wszystko stało otworem: dom, zagroda, wrota, nie strzegł nikt ich, bo się nikogo nie lękano. Dwór stary wznosił się na pagórku nad rzeką, lasem wysokim otoczony z jednej strony, z drugiej do pola i łąk przytykający. Jak wszystkie naówczas, była to budowa drewniana, ale rozległa i krzepko z bierwion ogromnych wzniesiona. Wysoki dach z dymnikami, okopcony i czarny, panował

nad nią. Dokoła opasywało ją podsienie na słupach rzezanych. Podwórze było rozległe i czyste, budynki wkoło proste, ale nowe i schludne. Z rozmiarów dworu wnosić było można o wielkiej zamożności rodu, co tu zamieszkiwał; ze stajen i szop o trzodach i gospodarstwie; z ładu około domu o pilności pana.

Już czas był, ażeby i ludzie, i bydło pod dach wracało. Choć upał się nie zmniejszył, słońce przynajmniej straciło siłę, patrzyło groźnie krwawym okiem, ale nie piekło. Koło dworu panował jeszcze spokój i cisza. Od strony lasu, w cieniu leżały psy-stróże, na chłodniejszej ziemi powyciągane i jak martwe.

Dwór stał otworem. Drzwi i okna z poodsuwanymi okiennicami wpuszczały powietrze, lecz ono ziało jeszcze gorącem.

Ognisko w świetlicy było wygasłe i zarzucone popiołem, komory na

rozcież poodmykane, nikogo nigdzie, żywej duszy... W podwórku kilka kur chodziło, dziobiąc porozsypywane ziarna. Wszystkie izby domostwa przejść tak było można, nie znalazłszy nikogo. Na tyle tylko, od lasu, na ogromnym kamieniu, który leżał pod strzechą, siedziała bardzo stara niewiasta, zgarbiona wiekiem, z włosy siwymi, które spod chust się wysuwały, siedziała, i jakby na pół drzemiąc, przędła. Twarz jej opaloną, z pomarszczoną i posieczoną skórą, żółtą, pargaminową, mech starości pokrywał na policzkach i brodzie, oczu głęboko zapadłych dostrzec prawie nie było można spod nawisłych powiek i brwi zarosłych bujno. Trzymała kądziel, ciągnęła nić bezmyślnie, z wolna i zatopiona w dumach jakichś przędła nie przestając. Niekiedy palce przykładała do ust, aby je zwilżyć i nić ciągnęła znowu, cienką, równą, gładką, choć bezsilne palce opierać się pracy zdawały. Czasem wśród tego snucia zatrzymała się nagle, jakby jej sił nie stało, potem przypomniawszy sobie kądziel, z pośpiechem znowu do niej powracała. Ubogo ubrana była starucha, nie mając na sobie nic oprócz płótna, a na nogach lipowych kurpi nowych, które je opasywały. Zapaska wełniana była ciemnej barwy, na szyi nawet żadnego sznurka i ozdoby widać nie było. Niewiasta długie już lata na świecie przeżyć musiała, jednak trzymała się jeszcze i nasłuchiwanie najmniejszego szelestu przekonywało, że ucho miała czułe.

Wśród ciszy psy, co nie opodal od staruszki leżały, popodnosiły głowy i jeden z nich, rozpatrując się niespokojnie, za mrucał, jakby drugim dawał

hasło. Wnet i reszta pozrywała się na nogi, wietrzyć poczęły, lecz stały niepewne. Nic słyhać i nic widać nie było. Pokładły się znowu, ale głowy podniesione czyhały na szelest najmniejszy. Stara też od kądzieli na swych towarzyszy oczy zwróciła, jakby ich pytała o niepokoję przyczynę. Ten, który pierwszy zamruczał, odzywał się jeszcze kiedy niekiedy, ale nie bardzo znać pewien siebie. I długo tak nic słyhać nie było.

Słońce czerwone stoczyło się za lasy, a wnet i mrok szybko nadchodzić zaczął. Na północnej niebios stronie blada pokazała się pierwsza gwiazda, ku zachodowi, jak złoty sierp, stał wąski księżyc na młodziu.

W dali coś tętnieć się zdawało... Staruszka wstała, zabrała kądziel i ruszyła się powoli ku dworowi, a idąc, obyczajem starym, mrucała coś sama do siebie. Tuż i życie budzić się z zachodem zaczęło. W powietrzu przelatywały dźwięki, bydło i owce biegły z pola. Klaskały pastuchów batogi, ryczały krowy i rżały konie, coraz bliżej słyhać je było. Starucha, stanąwszy u płota, wypatrywała je w dali i potrzasała głową, jakby panią była i gniewała się na niedbałe sługi. Wtem śmiechy i śpiewy tuż blisko doszły ucha staruszki i lice się jej po ruszyło, głowa podniosła, oczy skierowały ku dworowi. Głosy to były niewieście, wesołe, młode. Uśmiechnęły się też mimo woli usta starej prądky i niespokojnie rozglądać zaczęła, wypatrując nadchodzących. Psy, które leżały spokojnie, skowycząc i podskakując się zerwały, jak by i ich uradowały te ludzkie głosy po długiej ciszy.

A wtem z lasu ukazała się cała gromadka dziewcząt w bieli. Przodem szła najpiękniejsza, wysokiego wzrostu, smukła, ze śmiejącymi się oczyma, z ciemnym włosiem w kosy zaplecionym, z podniesioną raźnie główką, na której, oprócz rucianego wianuszka, niosła całą wiązkę świeżych leśnych kwiatów, aż na ramiona spadających. W białej koszuli i zapaskach, ze sznurami bursztynów i krasnych kamyków na szyi, przepasana czerwonym pasem,

którego końce u boku spadały, szła tak jak leśna panna, królując widocznie tym, co za nią biegły i w oczy jej patrzyły. Przed sobą w spódniczce podwiniętej miała pełno uzbieranych ziół i różnej leśnej zdobyczy. Dziewczęta też idące za nią niosły kobiałki na plecach, koszyki w rękach, postrojone były w kwiaty jak ona, a lica im się wszystkim młodością śmiały i weselem. Szły ku dworowi i śpiewały. Ostatnia zwrotka piosenki skończyła się śmiechem, bo też i psy, łaszac się, ku dziewczętom przypadły.

Z drugiej strony becząca i wrzawliwie odzywająca się cisnęła do wrót trzoda. Cisza przed chwilą wielka zmieniła się w gwar życia pełny. Starucha patrzyła na dziewczynę z uśmiechem, a ta ku niej dążyła, potrząsając uwieńczoną główką.

- O, udałoż się w lesie, udało! - zawołała. - Całyśmy dzień prześpiewały w chłodzie, za grzybami chodząc i jagodami. Wszystkiego pełno, choć garściami garnąc. Posucha w cieniu nic nie zwarzyła. Ptaszki nam śpiewały, a my im...i dzionek, babusiu, zszedł jak błyskawica.

- A jam tu go ledwie do końca doprzedła - rzekła złamanym, z zaschłego gardła, głosem stara.

- A ojciec? - zapytało dziewczę. - Nie ma ojca?

- Ojciec do knezia jechać musiał, ale na noc powróci z Poznania.

Niewielka to droga, a nocować tam nie ma po co. Tylko go nie widać!

Gdy tak gwarzyły i mówiąc się zwracały do dworu, dziewczęta z

kobiałkami wyprzedzać ją zaczęły i śmiejąc się, a swawoląc, do drzwi pędzić. Z

drugiej strony, od podwórza, szli przeciw nim zaglądnąc parobcy, którzy z pola powracali, lecz zoczywszy ich, całe to dziewcząt stadko pobiegło się ukryć po komorach i głosy tylko młode słyhać było. Staruchę prowadziła z wolna dziewczyna, przymilając się do niej, a ta ją po twarzy ręką zmarszczoną gładziła.

U studni, pośrodku podwórka, ruch był wielki i wiadrom nie dawano

spoczynku, czerpiąc chłodną wodę czystą, napawając się nią z rozkoszą. Bydło tymczasem samo szło do swoich szop otwartych na spoczynek, a pastuszki i parobcy, około koryta stojąc, głośno śmieli się, tak jak to zwykło się wesoło rozkoszować, gdy pana w domu nie ma.

Ale na drodze tętent się dał słyszeć i wielka ta wrzawa zaraz przycichła; psy biegły ku wrotom. Z dala na polu widać było jadący do dworu orszak cały, dosyć pokaźny, konnych i zbrojnych ludzi. Przodem na dobrym koniu jechał

dorodny, niemłody już mężczyzna, pięknej postawy wojackiej, z ręką w bok, w krótkim płaszczu, a raczej sukni, zdjętej z rękawów dla gorąca i tylko na ramiona rzuconej. Miecz miał u pasa, nóż w pochwie za pasem, a u siedzenia na koniu młot wisiał, nabijany gwoźdźmi złotymi i wyrabiany misternie, w skórzanej objęty pochewce. Za nim kilku młodych, jednako odzianych i zbrojnych dobrze, jechało. Wyglądali wszyscy, jakby z boju albo na bój się wybrali. Poznać było łatwo, że do

domu dążyli i obcymi tu nie byli, konie ich rżały niespokojnie i oni oczy zwracali ku dworowi. Twarz jednak tego, co przodem jechał, nie rozjaśniła się na widok jego, poważny jechał i zamyślony.

Parobcy z pola przybyli, postrzegłszy zbliżających się, podbiegli ku wrotom na ich przyjęcie. We drzwiach pod słupkami stało piękne dziewczę, tak jak z lasu przybyło, uśmiechając się, a starucha, rękę położywszy na jej ramieniu, drugą trzymając jeszcze swą kądziel, nie ruszyła się od jej boku.

Z dala już przybywający witał swe niewiasty, a one jego. Matka to była i córka, bo żony nie miał dawno. Zsiadł tedy u progu gospodarz, konia zdając na parobka i pozdrowiłszy matkę, pogłaskawszy córkę, jak stał, do świetlicy poszedł. I one ciągnęły za nim. A gdy na ławie za stołem siadł, kołpak zdejmując i czoło ocierając, stara z komory kubełek pełny napoju wyniosła.

- Pij, synu - rzekła - na upał to jedyne. - Kwas brzozy najlepiej gasi pragnienie. Słońce nas też, jakby się gniewało, piekło cały dzień bez litości.

I patrzyły mu w oczy stara i młoda, jakby myśli jego zgadywać chciały.

Siedział posepny. Badać go nie śmiała matka, dziewczę było odważniejsze.

- Coś bo niewesoło od knezia Mieszka wracacie! - odezwała się. - Czyżby się co złego niosło?

- Co tam ma być! - rzekł Luboń. - Nie ma nic. Mieszek wojny patrzy i tęskni, gdy jej nie ma. Doma mu nudno...

Westchnął i popatrzył na córkę, która nie wiedzieć dlaczego pod tym wejrzeniem ojcowskim spłonęła. Zaciężył jej wianek leśny, zdjęła go ze skroni i poszła z nim do komory. Dopiero po odejściu jej starucha się do syna zbliżyła i w oczy mu badająco spojrzała.

- Licho nadało - zamruczał po cichu. - Zawsze mu się nasza dziewczka śni.

Ma żon sześć, a bez siódmej ani żyć. Niech że jej szuka, kędy chce, bo ja mojej nie dam, to darmo.

Pięścią o stół uderzył. Starucha w ręce plasnęła.

- Jeszcze by też! - zawołała. - Jedyne oko w głowie kneziowi dać na zabawkę. A co jej po tym! Tam szczęścia nie zazna, gdzie ich tyle. Dziewczynę co rychlej trzeba komu dać, aby mu chętką odpadła.

- Tak, - dodał Luboń - matko droga! Gdyby ich u mnie dwie albo trzy było i synów ze dwu w dodatku, łatwo by dziewczynę zaswatać, ale ona u mnie córką i synem, a kto ją weźmie, ten mi dzieckiem być musi i następcą. Luboń ojcowizny nie spuści lada komu.

Głową potrząsł.

- Oj, syna, syna mi żal! - westchnął.

- Serca sobie nie psuj - odezwała się baba, łzę ocierając rękawem. -

Opłakaliśmy go i pogrzebli.

- A, gdybym go ja martwego widział i na stosie - mówił Luboń - nie tyle by mnie serce bolało, jak myśleć, że on tam gdzieś niewolnikiem się obcym wysługuje z głową postrzyżoną, że Niemcowi wodę nosi i drwa rąbie.

Zamilkli oboje; obojgu łzy się potoczyły, a słów nie stało.

- Nieszczęsna to godzina i dzień, kiedym ja go, dziecinę słabą, na nalegania i prośby z sobą na wyprawę wziął. Chciało mu się wojennej sprawy próbować zawczasu. Gdybyż padł od strzały, ale mi go sprzed oczów Niemcy chwycili. Jeszcze słyszę jego wołanie, jeszcze widzę go, ręce wyciągającego ku mnie, a jam ranny, odcinając się sam trzem, w pomoc mu nie mógł pospieszyć i znikł mi z oczów na zawsze!

Ręką uderzył po stole i sparł się na niej Luboń, a stara go po głowie głaskać poczęła, płacząc. Nie pierwszy to raz, ale setny może tak opłakiwali dziecko stracone, choć lat upłynęło wiele, jak o nim słyhu nie było. W sercu ojca gniew i pragnienie zemsty rosły i gromadziły się z latami, a ile razy kneź

Mieszko ciągnął na Niemców, prosił mu się Luboń, aby tej krwi się napić, która mu jego krew zabrała. Słał on za Odrę i Elbę do Niemców z okupem, szukając jedynaka, ano już wszelka nadzieja była stracona, bo o dziecku wieści najmniejszej nie dostał, a lat kilkanaście od tego czasu upłynęło.

W milczeniu odstąpiła stara od syna, bo czas było myśleć, by sposobić wieczerzę, i choć dziewczęta już ją pewnie musiały nagotować, spojrzeć chciała stara gospodyni, co się tam działo. Luboń został tak sam z żalem swoim, na rękę podparty.

Wtem psy u wrót ujadać zaczęły i jeden z pacholków wszedł na próg.

- Co tam z psami? - zapytał pan.

- Podróżny, o gościnę prosząc, u wrót na koniu stoi - rzekł pacholek.

- Co za jeden?

- Nieznajomy człek.

- A z wielu końmi?

- Sam jedzie.

- Skądże się opowiada?

- Znad czeskiej granicy.

- Prowadźciez go - odezwał się Luboń, wstając - nie juści go od wrót odeślemy. - I pochyliwszy się, w okno otwarte spozjrzał. Podróżny, niepozornie odziany, ze zmęczonego drogą konia zsiadał właśnie.

Człek był młody, twarzy bladej, jakby przeleżał i nieśmiały, broni przy nim żadnej widać nie było. Z odzieży trudno osądzić przyszło człowieka, bo się niczym nie odznaczał.

Ciemną suknią był okryty, takiego kroju, jak ją po niektórych ziemiach noszono, włos miał przystrzyżony krótko, czapkę lekką bez pióra. Wyglądał ubogo, lecz wpatrzywszy się mu w lice, widać na nim było, że pod nim dusza mieszkała nieleniwa. Oczy patrzyły mu rozumnie, młode czoło świeciło jakimiś myślami, a gdy do progu szedł, powagę miał jakąś i bezpieczeństwo dziwne, choć obcym tu był i nie wiedział, jak go przyjmą. I trwoga, i wesele jakieś, i pomieszanie razem na twarzy się malowały. Na próg wszedłszy, ujrzawszy naprzeciw siebie stojącego Lubonia, jakby mowy zapomniał.

- Szczęście i błogosławieństwo progom waszym, panie mój - odezwał się.

- Podróżny jestem... do knezia jadę... tak... do Poznania... w tę stronę, noc mię zaskoczyła... o gościnę proszę. - Mówił, jękając się i nieśmiało, a wciąż na starego spoglądał.

Luboń też wpatrywał się w niego bystro, sam nie wiedząc, z kim miał do czynienia, bo do wojaka przybyły podobien nie był i mowę miał choć swojską, ale skażoną.

- Przyjmuję was z ochotą odparł stary. - Siadajcie i odpoczywajcie. -

Wskazał na ławę, ale młody gość stał w progu i nierychło dopiero pod oknem, z dala skromne zajął miejsce.

- Skądżeście i co was tu prowadzi? - zapytał gospodarz, chleb podając do rozłamania na znak przyjęcia.

- Z daleka jestem, ojczy - głosem cichym począł z wolna, ciekawie się rozglądając, podróżny - z daleka, zza gór, zza rzek wielu, bom wędrował dużo.

Choć mi się język zepsuł, tutejszy jestem.

- Tutejszy? - podchwycił Luboń. - Skąd?

Podróżny popatrzał się nań i zawahał się z odpowiedzią.

- Od Poznania jestem - wyjąkał głosem prawie drżącym - alem tu

kilkanaście lat nie bywał... - I urwał.

Te słowa dziwnie jakoś w uszach zabrzmiały Luboniowi; siedział na

ławie z dala, usłyszawszy je, powstał i zbliżył się ku gościowi, wpatrując w niego pilnie. Przybylec siedział w cieniu, okienniczka była na pół zasunięta.

Luboń ją otworzył, ale światła nie weszło wiele, bo na dworze mrok się robił.

Klasnął w ręce o łuczywo na ludzi.

- Cóż to się z wami działo, żeście tu nie bywali tak długo, po obcych się włóczęc ziemiach? - zapytał.

- Długo by to mówić było - wahając się jakoś, począł gość. - Małym

dzieckiem, na wojnie, porwali mnie Niemcy od ojca.

Ledwie słów tych dokończył, gdy gospodarz skoczył, oburącz go

porywając za ramiona, i głosem, który dwór cały przeraził jak piorunem, krzyknął:

- Włast! Tyś Włast!

Gość padł na kolana, za nogi go obejmował i płakał. Gdy dziewczyna

weszła z łuczywem i postrzegła to, przestraszona rzuciła ogień i wybiegła, choć sama nie wiedziała, co ją przeraziło. W tejże chwili na krzyk Lubonia nadbiegła stara matka i córka, obie drżące i o Lubonia strwożone. Ujrzawszy

nieznajomego, który jeszcze klęcząc nogi jego ścisnął, a on głowę jego obejmował, okrywając pocałunkami, osłupiały.

- Włast! - zawołała stara. I podbiegły ku niemu.

Jakże tu opisać to powitanie nieznajomego po latach dwunastu i tę radość osieroconego ogniska, u którego nagle zjawiono się dziecię stracone i opłakane od dawna. Luboń stary szalał prawie, staruszka drżała, a siostra nieśmiało temu młodemu mężczyźnie, który miał być jej bratem, przypatrywała się z dala z ciekawością.

Sadzono go więc na ławie, a trzeba było napoić go i orzeźwić, bo i jemu wzruszenie siły odebrało. Słaby też i blady był, jakby znękany długą niewolą, a tu się pytania sypały, co się z nim działo i jak przebył te lata. Ojciec nastawał

szczególniej, a odpowiedzi syna ciemne jakieś były, niewyraźne i poplątane. I nierychło, jakby uspokoiwszy się i myśli zebrawszy, rozpowiadać począł o sobie, jako w niewolę od ojca wzięty, przez Niemca zrazu do najtwardszych był

posług zażywany, jak później go, słabym uznawszy, dano nierycerskiemu panu jakiemuś za pacholę. Z tym nowym panem dostał się Włast, któremu, jak mówił, imię zmieniono na Matię, na dwór niemieckiego cesarza; potem do innych ludzi, którzy tylko Bogu służyli, a ci go nowych rzeczy nauczali i z sobą zabrali do innej ziemi, na południe, kędy zimy nie było nigdy i gdzie stał największy gród panujących wszystkim krajom na zachodzie. Tam na usługach różnych i w spokoju bezorężne życie prowadził... i nie mówił, by mu ono bardzo ciążyło, tylko za domem i rodziną tęsknił zawsze.

Opowiadał Włast ojcu i swoim, co się cisnęli, aby go widzieć, z obawą jakąś, wiele rzeczy połykając, o których znać wspominać im nie chciał, bo ojcu brwi, słuchając, się marszczyły. I nie

mógł z niego do badać o wiele więcej nad to, że wojaczki całe zapomniał, obyczaju domowego zabył, języka się prawie oduczył i że swoim stał się niemal obcym. Smutno opowiadał to Włast, a smutniej jeszcze ojcu słuchać było, który choć się cieszył z odzyskania syna, widział, iż z niego będzie musiał nowego uczynić człowieka, aby do siebie przystać mogli.

Gdy niejasne to, tęskne opowiadanie się skończyło, a wszyscy milczeli, Luboń schwycił go za głowę raz jeszcze i ucałowawszy rzekł:

- Dostyc że cię mam, resztę sobie przypomnisz, gdy pobędziesz z nami.

Zasmakujesz w orężu i w dawnym życiu, a ja cię od boku mojego nie puszcze już więcej. I krew się w tobie odezwać musi.

Włast nie mówił nic, głowę z pokorą skłonił i zmilczał. A tu się sypały pytania, jak na tamtym świecie, innym, ludzie, miasta, wsie, wojna i pokój, i potęgi obce wyglądały.

Włast po trosze opisywał, skąpy był jednak w odpowiedziach, jakby go co za język trzymało, i łatwo dostrzec było, że mu tam trochę serca zostało u ludzi, do których był nawykł, bo na obyczaj ich, wiare i na życie z nimi nie narzekał, a wiele rzeczy chwalił, które tu były w ohydzie. Potęgę zaś cesarzów i kneziów tamtejszych malował wielką i straszną.

Luboniowi słuchać było niemiło i tęskno, ale ust synowi zamknąć nie chciał. Wieczór tak zszedł przy łuczywach, wesoło wprawdzie i dla Lubonia szczęśliwie, przecież nie tak, jak by był pragnął, bo syna znajdował z obcych rąk wróconego niemal sobie obcym, i co chwila ojciec i on się nie rozumieli.

Naówczas Włast z pokorą mówić przestawał i powodował się staremu cierpliwie.

Późną już nocą starucha przyszła oznajmić, że dla wnuka gotowe było na sianie w szopie posłanie, gdzie go Jarmierz, starszy przy Luboniu nad jego seciną, miał zaprowadzić. Rozstali się więc, jeszcze raz uściskawszy i siostra przeprowadziła brata do proga.

Luboń został naówczas sam, ale stanąwszy u pościeli, zadumał się, nie mogąc o śnie pomyśleć. Radość w nim z jakimś strachem walczyła, łzy niemęskie czuł na powiekach. Włast to był, jedyne dziecko, a nie ten i nie taki, jakim on by go mieć chciał. Cieszył się tym, że życie zamarłemu powróci, wolał

takiego mieć niż żadnego, a wojak stary gryzł się razem, w synu wojennego nie widząc ducha. Żołnierzem naówczas był ziemianin każdy, a kto nim być nie umiał, ten niemal mężem i człowiekiem być przestawał. Więc kłął w duchu tych ludzi, co mu na wzgardę dziecię bezsilne jakieś i kalekę oddali. Więcej męstwa i ochoty bojowej było niemal w pięknej dziewczynie, co się jego siostrą zwała.

Nie spał Luboń całą noc, a gdy świtać zaczęło, zmęczony na rosę wyszedł i powietrze, aby się orzeźwić.

Jarmierz, który z obowiązku o brzasku był na nogach, drogę mu zaszedł.

Był to jego ulubieniec, którego jak syna kochał. Spotkali się u wrót, stary mu na ramieniu rękę położył.

- Cóż Włast?

Jarmierz zamilczał.

- Prawda - rzekł stary tęskno - Niemcy z niego babę zrobili, na moje dziecko nie wygląda.

Wojak jeszcze nie odpowiedział.

- Cóż robił wczora? Mówiliście z nim?

- Mało - odparł Jarmierz. - Uściskał mnie jeno, a sam zaraz na posłanie poszedł. Choć szopa ciemna, przypatrywałem się ciekawie, co pocnie. Nie wiem, czarnoksięstwa chyba jakieś wyprawiał. Widziałem go, że pokląkł przy pościeli, złożył ręce i nimi dotykał czoła i ramion, w piersi się bił, głową o ziemię uderzał, aż mnie ogarnął strach. I szeptał sam do siebie dziwnie, jakby jęczał i płakał, skarżył się i prosił. Trwało to długo, długo. W końcu znowu ręką poczał czoła i ramion dotykać i dopiero się udał na spoczynek.

Jarmierz opowiadał cicho i z obawą. Luboń słuchał zadumany, ale nie rzekł nic. Potem dotknął ramienia swojego setnika i szepnął mu:

- Milcz o tym. Zabobony są niemieckie, ale my mu to z głowy wybijemy.

Niech o tym nie wie nikt, prócz nas dwu w domu. Rozumiesz?

Skłonił się Jarmierz.

- Stanie się po woli waszej - odpowiedział - ale źle jest.

- Źle - rzekł Luboń - przecie ja wolę o tym nie wiedzieć. Tak mi łatwiej i lepiej będzie. Dać mu trzeba spocząć, niewolę niemiecką wydychać, do obyczaju swojego powrócić. Wy mu towarzyszcie. Śmiechem i weselem duszę mu rozgrzejcie. Młody jest, prowadźcie go, gdzie się młodzież zabawia. Oręż mu trzeba przysposobić, konia i zabawę wojenną. Ja też nie zaśpię, ale ze starym trudniej się młody znijdzie, łącniej z wami. Jarmierz, ja tobie ufam.

Skłonił się sotnik, ale westchnął, znać nie bardzo sobie ufał. Luboń podwórko przeszedł raz i drugi. Pod słupami stała matka jego, którą też sen nie brał, stała zapatrzona gdzieś, nie widząc nic i smutna. Gdy Luboń zbliżył się do niej, pochyliła mu się do ucha.

- Nie nasz on - rzekła ponuro - nie nasz. Wiem, co jemu jest, wiem. Na swoją wiarę go nawrócili Niemcy, z oczów mu to patrzy.

Luboń sobie uszy zatknął rękami.

- Słyszeć nie chcę, wiedzieć nie chcę.

I nogą uderzył o ziemię.

- Nie! nie! nie! - zawołał brwi marszcząc.

Staruszka rękami powiała w powietrzu, spuściła głowę na piersi, założyła dłonie i sparłszy się o ścianę, nie mówiąc słowa, nie dając znaku życia, została tak martwą jak słup i nie ruchomą.

Rozdział 2.

Radość i smutek razem przybyły z Włastem do domu. Cieszył się nim

ojciec i niecierpliwiał, prawie zniewieściałym go znajdując, on nie śmiał się odezwać otwarcie, bo słowo jego sprzeczało się z myślami całej rodziny.

Wszystkiego swojego między obcymi zapomniał. Z serca odzywały się

odżywione wspomnienia chwilami, rumieniło lice i wnet jakaś obawa, wylanie się z uczuciem i poddanie mu wstrzymywała.

Luboń chodził niespokojny, stara babka podparta na dłoni mruczała,

siostra nie śmiała przystąpić do brata, jakąś od niego odtrącona obawą.

Chrześcijańska wiara już naówczas nie była obcą nad Wartą, wcisnęła się do wielu rodzin z cichymi apostołami, co ją przynieśli, wielu było

pochrzczonech i wyznających potajemnie Chrystusa, ale kryć się z tym musieli, gdyż tłum i lud, zamieszkały po lasach i w głębinach kraju, starej wiary uparcie się trzymał. Podejrzliwie patrzano na ochrzczonech i tych, co się od świąt i obchodów bałwochwalskich wyłączały. Neofitów też wielu, choć ukryte krzyżyki nosili pod koszulami na piersiach z obawy prześladowania, szli razem z innymi do ofiar na uroczyska, do świątyń i odbywali obrzędy zwykłe, mieszając z sobą dwie wiary i zapominając z kolei to jednej, to drugiej.

Duchowieństwa nie było stałego, co by w wierze utwierdzać mogło;

przychodzili kapłani z Morawii, z Czech, znad Łaby, apostołując po cichu i obawiając się osiedlić tu stale.

Na dworze Mieszka panował obyczaj pogański, a obok kneziowskiego

grodu stała tuż świątynia i w niej stanice z postaciami bogów-opiekunów.

Niejeden raz tam zaszła i wieść, apostołowanie nowej wiary. Mieszko słuchał

sam na sam ciekawie opowiadał o potędzie kneziów i panów, co się ochrzczili, ale czy się lękał, czy wzdragał surowości obyczaju chrześcijańskiego, do nawrócenia jeszcze nie okazywał ochoty.

Ci, co się byli ochrzczili, uchodzili za zdrajców i niemieckich przyjaciół, a lud, nie dowierzając im, stronił od nich i czyhał tylko na zręczność pozbycia się jak wrogów. Niebezpiecznym było przyznać się do chrześcijaństwa i głośno mówić o nim, bo krzyż, w pojęciach tłumu, jednoczył się razem z niemieckim panowaniem. Wszędzie też, gdzie on wprowadzony został, dawna swoboda pogańska ustępowała miejsca surowej karności i władzy kneziowskiej jedynej.

Duchowieństwo, przybywające z zachodu, niosło także idee

posłuszeństwa i władzy wyższej. Nawykli do rządzenia sami sobą władcy i żupanowie opierali się tej surowości nowego prawa i znać go nie chcieli.

Wszystka starszyzna wiejska i ci, co razem w rękę mieli patriarchalną władzę i kapłańską, z rąk jej wypuścić wzdragali się. Nie tyle starych bogów żałowano, co dawnego obyczaju. Dziwne też pojęcia o surowości bezlitosnej wiary Chrystusa krążyły, które też od niej odstręczały. Zachowywanie postów, ściślejsze pilnowanie jednożeństwa, nade wszystko zaś ślepe posłuszeństwo starszyźnie duchownej napełniały trwogą.

Wreszcie stara wiara z krwią od dawna w żyłach narodu płynęła,

odzywała się we wszystkich najmniejszych życia czynnościach. Wyrzec się jej zdawało się tak srogim, jak zaprzeczyć własnego żywota. Nieprzyjaciele wyznawali tę wiarę, przyjęcie jej było pobrataniem z nimi, poddaniem się ich panowaniu.

Wiedziano w Słowiańszczyźnie, że wszyscy kneziowie i królowie pod

jednym cesarzem zostawali, a wszyscy duchowni ich pod najstarszym

kapłanem, siedzącym gdzieś daleko na stolicy, z której rozkazywał światu. Do prawdziwych kłamliwe mieszały się wieści straszne. Ciemnemu ludowi trudno było światło rzucić nowe, bo na nie gniewne zamykał powieki. Z pewnych cech wiedziano już, jak chrześcijan poznawać; krzyża znak, post zdradzały neofitów.

Stara Dobrogniewa, matka Lubonia, pierwszego wieczora miała

przecucie, że Włast wracał nawrócony. Brak oręza, szata uboga, mowa, bojaźliwość, pokora, zaniepokoiły ojca i babkę. Luboń wolał nie znać tego, nie wiedzieć o tym. Spodziewał się dziecko powrócić do starego zwyczaju, babka jątrzyła się, gniewała, a że w jej pojęciach czarnoksięstwo łączyło się z religią nową i siła wielka, zarazem się obawiała wnuka.

Hoża, siostra Własta, patrzyła nań z ciekawością niezmierną, nie widziała jeszcze nigdy takiego młodzieńca cichego i pokornego, tak niepodobnego do tych, co ją otaczali. Czowała po niewieściemu, że to nie była niemoc, ale jakaś siła skryta i w sobie skupiona. I ona coś się domyślała, a dziwy, jakie prawiono o wyznawcach Chrysta, nadzwyczajne w niej pragnienie obudzały i ciekawość.

Wszyscy zarówno czekali nie cierpliwi, aby się Włast zbudził i wyszedł do nich.

Jarmierz, w komorze ojcowskiej wybrawszy odzież nową, najlepszą i

najokazalszą, czatował na przebudzenie. Lecz drogą i bezsennością,

wzruszeniem samym znużony Włast spał długo, a gdy Jarmierz, podpatrujący co chwila, wszedł później do szopki, znalazł go na kolanach, ze złożonymi rękami, modlącego się już znowu. Włast czy go spostrzegł, czy zatopiony w modlitwie nie posłyszał, ale nie ruszył się i nie powstał, aż modlitwę dokończył i ziemię ucałowawszy, dopiero z pogodniejszą twarzą ku niemu się obrócił.

Jarmierz, który go sobie chciał pozyskać, udał, że tego rannego obrzędu nie zrozumiał znaczenia, pokłonił się wesoło i zapowiedział, wskazując na odzież, którą we drzwiach trzymał gotową chłopak, że życzeniem ojca było, aby się Włast odział inaczej.

Jarmierz był przebiegły chłop i rozumny, wojak zręczny, człek śmiały, serce miał dobre, ale życie swobodne takie, jakiego używał, najlepiej mu przypadało do smaku i wszelka odmiana była wstrętliwą. Kochał on swojego pana Lubonia jak ojca. Któż wie, pochlebił sobie nawet może, póki dziecko cudownie odzyskane nie powróciło, że on je kiedyś zastąpi, ożeniwszy się z Hożą. Patrzył na ładne dziewczę okiem gorącym, a staremu panu służył, krwi i potu nie żałując.

Pierwszy raz w życiu tej nocy goryczą i kwasem zapłonęło mu serce.

Wszystkie jego nadzieje wniwecz się obróciły, wszystka służba wierna marnie poszła. Syn powrócił. Patrzył nań z zazdrością i żalem Jarmierz i nieledwie się ucieszył, gdy dostrzegł, że chłopak był nieśmiały, a do serca ojcu wojakowi z trudnością mógł przypaść. Uczucia więc jego dla przybysza nie były bardzo życzliwe; miał doń żal, a jednak ujmującego w sobie coś takiego miał Włast, że gdy się doń odwrócił i uśmiechnął, podając rękę na powitanie, Jarmierz uczył, sam nie wiedział, litość czy poszanowanie, a zazdrość na chwilę w nim wystygła.

- Ojciec wasz, a pan mój, junoszo Właście - rzekł, pokazując na chłopaka, który odzież składał przed nim - życzy sobie, abyście suknie zmienili, aby się pamięć nie została dawnej biedy. Przyniosłem wam, co było najlepszego, będzie w tym lepiej niż w starej podróżnej siermiędze. A i bez miecza synowi pańskiemu być nie przystoi.

To mówiąc śmiał się do niego. Włast stał, patrząc na ziemię, zmieszany jakoś i smutny.

- Ja, bo ja... - rzekł - tak do tej sukni nawykłem.

- E, nie ma jej co żałować - śmiejąc się ciągle wesoło, mówił Jarmierz. -

Tu u nas zobaczycie obyczaj inny, swoboda zdrowa, życie wesołe. Koniam dla was nagotowałem jak ogień, łuk, procę i oszczepek.

Włast oczy nań podniósł bojaźliwie.

- Mój kochany Jarmierzu, ja się z tym obchodzić nie umiem, - odezwał się głosem drżącym.

- A cóżeście wy tam między Niemcami robili? Nie już ciż w spódnicyście chodzili, junoszo Właście. E, toć trzeba tego pozbyć! Ja was pamiętam dawniej, bom mało co od was starszy, choć wy mnie może nie pamiętacie, wyście dzieckiem rwali się do dzidy i młota, ledwie mogąc go dźwignąć. Jakże się to stało, żeście tak odmienić się mogli?

Włast zmilkł, spojrzął na wesołego setnika i uśmiechnął się smutnie.

- Kiedyś to zrozumiecie - rzekł po namyśle.

- A wy tymczasem przypomnicie sobie młode czasy! - zawołał Jarmierz. -

Stary Luboń mi wam służyć kazał, zobaczycie, że wam dobrze usłużę.

Będziemy się na koniach pędzali po lesie ze psy i oszczepami, aż się dusza rozraduje! Hej hej! Może się tam i inna zwierzyna nadarzy, białe dziewczę w wianuszkach, co ze śpiewką błądzi po lesie. I bez tego bo wyżyć trudno.

Włast ręce zacisnął, załamał, zapłonął cały i powiódł przestraszonymi oczyma. Przed nim leżała odzież przyniesiona, patrzył na nią z trwogą.

- Czyż koniecznie mam zrzucić moje odzienie? - spytał. - Czyż

koniecznie?

- Stary tak kazał, a on nieposłuszeństwa nie lubi - odezwał się Jarmierz z cicha - tak, tak i miecz trzeba przypasać do boku.

Włast zamilkł, zamyślił się nieco i leniwo ściągając począł odzienie stare.

Gdyby w szopce nie było tak ciemno, Jarmierz ciekawymi oczyma dojrzałby był

leż na jego powiekach. Mały węzełek, który wiozł z sobą przytroczony do konia, Włast, leżący teraz przy pościeli, z niepokojem jakimś obejrzał, jakby się o niego zatroszczył.

- Powiedzcie mi, gdzie ja to mogę złożyć bezpiecznie? - zapytał.

- Jak to bezpiecznie? - podchwycił Jarmierz zdziwiony. Ja nie wiem, jak tam u Niemców jest, ano u nas drzwi wszystkie otworem, leży każda rzecz, gdzie chce, nikt jej nie ruszy. Jakem żyw, nie słyszałem, żeby sobie co kto przywłaszczył! Gdzie położycie rzeczy wasze, nikt ich nie będzie śmiał ruszyć.

Włast pomyślał chwilę.

- Prawda, tak i dawniej bywało! odezwał się. - Ludzie u was dobrzy.

- To wiemy, że u Niemców na kłody zamykają drzwi, wrota i skrzynie. U

nas tego nie było i nie ma - dodał Jarmierz. - Ano, - rzekł widząc, że się Włast nie spieszy odziewajcie się, ojciec czeka.

- Dziś - mówił dalej - dzień jeszcze przejdzie spokojnie, jutro może, a potem toć uroczyście obchodzić musimy powrót wasz i sąsiady zaprosić, i z pańskiego dworu, z Poznania, pewnie starszyzna się przysunie na stare miody.

Twarz, słuchając, pobladła Włastowi; wdziawał tymczasem podane

suknie opieszale i jakby ze wstrętem. Były one z cienkiego sukna i bramowane, barwy jasnej, kroju pięknego i Włast też w nich wcale się wydawał inaczej.

Jarmierz sam mu mieczyk przypasał.

- O! Teraz, - zawołał, - toście do ludzi podobni. Na drogę, do

przekradania się dobra była sukmana lada jaka, a dla syna władzyki Lubonia nie przystała.

Włast odziany był. Mieli wychodzić, zakłopotał się jednak o swój

węzełek znowu.

- Dajcie mi go, zaniosę Dobrogniewie do komory.

- Nie, nie, wezmę go sam - zawołał niespokojnie Włast i, z pewnym

poszanowaniem ująwszy swój węzełek, wyszedł z Jarmierzem z szopki.

We drzwiach dworu, pod słupkami, stała Hoża w wianku. Zobaczywszy

idącego brata i niosącego ciężar na rękach, uśmiechnęła mu się wesoło, z ciekawością zaglądając w oczy.

- Dobry dzień! - zawołała. - Dziś wam lepiej w sukni nowej. Ale cóż niesiecie?

- A, nic odparł Włast. Ot, różne podrózne moje rzeczy, które potrzeba w czystym gdzie miejscu złożyć bezpiecznie.

Dziewczę wyciągnęło ręce białe.

- Dawaj! - zawołała.

Zawahał się nieco Włast, lecz po chwili oddał je siostrze spokojny, a Hoża znikła z nimi.

Zza drzwi Lubonia, ale jakoś zasepionego, widać było. Syn mu do kolan przypadł. Popatrzał nań i lice się rozjaśniło trochę, wdzięcznym też okiem rzucił

na Jarmierza.

Weszli wszyscy do izby. Tu stara Dobrogniewa pilnowała dziewcząt,

zastawiających obiad ranny na misach glinianych. Był to piątek właśnie, ale poganie dni nie rozeznawali inaczej, tylko je licząc po księżycu zmianach. Gdy Włast na stół spojrział, lice mu żywym zapłonęło rumieńcem. Wahać się zdawał

czas jakiś, co pocznie, stał pomieszany, a ojciec, już siadłszy, ręką go do siebie i jadła wyzywał. Pierwszą próbę miał młody chrześcijanin do przebycia w domu.

Był na nią i przez siebie, i przez duchownych przygotowanym, ale od niego samego należało uznanie, jak sobie postąpić był powinien. Po namyśle zasiadł z westchnieniem i dla niepoznaki razem z ojcem i Jarmierzem jeść zaczął, ale skromnie i z wolna.

- Gniewaliby się na mnie sąsiedzi i mieliby prawdę po sobie, żebym im nie dał znać, iż mi syn wrócił z niewoli i jak by na nowo się narodził. Trzeba posłać po dworach z wesołą wieścią. Na ósmym dniu po nowiu niech się druhowie zjadą, aby obiatę ze mną bogom złożyli. Jarmierz pośle parobków, a wie kogo prosić.

- Sotnik głową skinął.

- Na dwór ja do pana a knezia sam z nim pojedę - dodał Luboń - albo dziś, lub jutro.

Włast nie śmiał nic rzec.

- Ale spocząć i orzeźwiać się trzeba junoszy - wtrącił Jarmierz.

- Do łaźni go weźmijcie - dodał Luboń - a potem się wyleży, wyśpi i ta bladość, którą na twarzy przyniósł, zejdzie z niego.

Mówili tak; stara Dobrogniewa, u drzwi stojąc z założonymi rękami,

milcząc, we wnuka się wpatrywała, jakby czekała, żeby go chwycić i sam na sam z nim rozmówić. Zaglądała i Hoża, do ojca i do niego się śmiejąc, bo jej dotąd jedynaczce wiele wolno było jak hodowanej ptaszynie, co siada kędy chce i szczebioce swą piosenkę nie pytając.

Wnet po strawie Jarmierz na konia chciał posadzić Własta, który mu się wyprosił; ojciec jechał na łowy, bo na przyjęcie sąsiadów dzikiego mięsa było potrzeba, ale synowi pozwolił doma zostać. Włastowi więc dano wolność, a gdy się rozeszli i on na przyzbę też powoli wysunął, poczuł za sobą idącą starą babkę.

- Włast - rzekła mu półgłosem - chodź ty za mną.

I skinęła nań, wiodąc go w tę stronę domu ku kamieniowi, gdzie zwykle z kądzielą siadała w cieniu. Hoża też chciała za nimi iść, lecz stara jej znacząco ukazała na drzwi i dziewczę znikło. Kądziel wzięwszy spod ściany, bo bez tej się nie ruszała starucha, powlokła się na swe zwykłe siedzenie. Włast stanął nie opodal. Przynajmniej len i próbując wrzeciona, stara spoglądała na niego, namyślając się, co mówić. Twarz miała czegoś posepną i jakby gniewną.

- Dwanaście lat - odezwała się - dwanaście lat, to strasznie długi czas -

poczęła z wolna, wpół do siebie, wpół do niego. - Jam się do reszty skurczyła i złamała, a z ciebie te Niemce krew wypili! O! Nie może być - westchnęła - aby długiej niewoli u obcych nie zostało śladu, nie może być!

Popatrzyła nań.

- Zarazić cię musieli swoimi czarami i zrobić Niemca. Któż to nie wie, że ptak hodowany do leśnego niepodobny. Tak i ty. A cóż? A cóż? Pewnie! Nie zapieraj się! Ja stara, mam już siwy włos, wiem wiele, przez oczy patrzę w człowieka. - Poczekawszy trochę, gdy Włast nic nie odpowiedział, ciągnęła dalej:

- Teraz to wszystko trzeba zapomnieć, a co zapomniane, odnowić,

rozumiesz Włastek? Ja ciebie na rękach nosiłam. Ja cię chodzić uczyłam, ja cię mówić zmusiłam, ty nasz, ty krew nasza, trzeba, co tam było, zapomnieć. -

Pokiwała głową starucha. Niby to my nie wiemy, co od Niemców ludzie wynoszą. Swoje u nich bogi zapominają, a my tu cudzych nie cierpiemy. Wiesz, Włast, tam na Pomorzu przychodził jeden z nowym bogiem do nich, to go zabili... i dobrze zrobili, dobrze! Nasza ziemia do naszych bogów należy, a cudzy tu nie będą panowali, nigdy! Posyłają przodem swojego boga, aby im ziemię zawojował, a z nas niewolnika uczynił! Tak, my to wiemy!

Zamilkła trochę i nic poczęła wyciągać długą, a potem kręcić na kolanach wrzecionem, głową tylko potrząsając; czekała znać, aby Włast coś jej odpowiedział, ale wnuk milczał. Myśli mu różne chodziły po głowie, nie wiedział, od czego ma rozpocząć.

Starą to utwierdziło w przekonaniu może, iż winowajcę przed sobą miała i znowu mrucząc zaczęła:

- Słuchaj, Włast, słuchaj. Ojciec, na ciebie wczoraj patrząc, smucił się radując, boś ty nam odmieniony powrócił. Gdyś był dzieckiem, to cię z konia zsadzić nie można było i do izby napędzić. Pamiętam sama, żeś tak ciskał

oszczepem, że nim ptaki biłeś, a teraz ty to potrafisz?

- Nie - odezwał się Włast. - Nie, babo miła, teraz oszczepu w ręku nie trzymałem dawno, lecz, wierzcie mi, nauczyłem się wielu innych rzeczy, które się u nas przydadzą.

- Mówże, czego? - spytała Dobrogniewa.

- Patrzałem, jak tam około roli i ogrodów chodzą, jaki ład koło domów, jakie budowania kamienne.

Starucha ręką z wrzecionem zaczęła wywijać w powietrzu.

- My nie rolnicy, to chłopska rzecz - odezwała się. Władyki syn nie potrzebuje roli patrzeć. Jemu do tego nic! Na to są parobcy i bartnicy, chleba stanie. Wasza rzecz: koń, dzida i oszczep.

Włast zmilczał znowu. Dobrogniewa poczęła mrużyć coś niewyraźnie,

podniosła oczy na niego zaczerwienione, jakby krwią zasze, i przędła. Ze starą mówić nie było można, zmilczał wnuk i widząc, że ona też rozmowy nie rozpoczyna na nowo, byłby oszedł, gdyby niewyraźne jej mrużenie znowu się w głośniejsze nie zmieniło.

- Zabili tego na Pomorzu! Zabili! - mówiła do siebie niby. - Dobrze zrobili, zdrajcą był; na Niemców ich chciał nawracać, do niewoli. Włóczył mu pierś przebili. Kamieniem głowę rozstraskali, dobrze zrobili. Ciało wilkom rzucili, dobrze uczynili, dobrze!

Oczy starej zwróciły się ku miejscu, gdzie stał Włast nieruchomy; sądziła, że go ustraszy, ale na bladej twarzy wnuka nie widać było najmniejszego śladu obawy. Uśmiechał się łagodnie.

Milczeli potem oboje. Włast jeszcze się wstrzymał i po długim wahaniu przybliżył do staruszki.

- Dziękuję wam za przestrożę - odezwał się. - Serce ją macierzyńskie natchnęło, ale babuś kochana, gdy tu szedł po dobrej woli, wiedziałem, co mnie czekać może i że na gody nie idę, ale na trudne życie. Tęsknota mię do was i miłość przyprowadziła, i powinność. Więc jeszcze za przestrożę dziękuję.

Stara pogroziła mu palcem.

- My cię opłakali, myśmy cię kochali, ale Niemca z siebie zrzucić, bo choć nasza krew, my cudzego tu nie zniesiemy nic! Taka ja, a ja co? Wiedźma stara; ale taki ojciec twój i tacy my wszyscy!

Domawiając tych słów, wrzecionem trzy razy uderzyła w ścianę, przy

której siedziała. Na ten znak zaszeleściło coś i Hoża nadbiegła. Tej stara wskazała na Własta, jakby nakazując, aby go sobie wzięła i siostra, skinąwszy nań, poprowadziła go na pierwsze podwórze.

Od wczora ledwie słów parę przemówili do siebie. Hoża była ciekawą, skorzystała więc ze swobody i na ławie z nim usiadła w przedsieni, wpatrując się w brata z zajęciem wielkim. Włast nieśmiało patrzył na nią.

- A, Włastku ty mój - poczęła, z wolna się ośmielając, - co tu za tobą łez się wylało i przekleństw na Niemców poszło! Biedny ojciec, jak on nigdy zapomnieć nie mógł, że ranny obronić nie potrafił porwanego! A któż nawet pomyślał, że ty kiedy powrócić możesz do nas? Chyba mnie się to jednej czasem śniło. Ale mówże, mów, co się działo z tobą i gdzieś bywał, i jak cię oni męczyli! A mów! Wczoraj słuchałam pode drzwiami, gdy cię ojciec pytał i małoś co mu powiedział. A przede mną możesz wszystko, a wszystko.

Włast z uśmiechem dobrotliwym patrzył na nią.

- Powoli to się wszystko wypowie, - począł. - Od razu trudno by się zrozumieć, Hoża moja. Było mi zrazu bardzo źle, bo mnie jak niewolnika postrzygli i do ciężkiej pracy wzięli. A żem zręczniejszy był, choć nie bardzo silny, potem w piecu pana palił i u stóp jego łóżka sypiał. Czasem mi tarczę i oszczep nosić dawał. A coś z rok to trwało. Aż się na zamku zrobiła wrzawa wielka, że cesarz z

obcej ziemi przyciągnie na wiosnę.

- A któż to jest? - spytała Hoża.

- Jest to pan nad wszystkimi panami, kneziami ich i królami, i nad

ziemiami wszystkimi, które on jednym odbiera, drugim daje, jako chce. Na rozkazy jego stawia się wszyscy i służą mu. I mój też zaraz, ludzi zebrawszy, na święta do cesarza ciągnął, gdzie mnóstwo ludu już było z dalekich ziem. Dostało mi się z nim też jechać, do noszenia tarczy i włóczni, i odziali mnie na to, a ze dworem razem ciągnęliśmy do grodu, gdzie cesarzowi mieli kłaniać się i dary przynosić wszyscy. A żem w domu sokoła czasem nosił, który był bardzo piękny i mądry, przystroiwszy mnie pan mój, wraz z sokołem cesarzowi ofiarował. Przeszedłem tedy z niewoli mojego małego pana w niewolę

wielkiego, a raczej w niewolę niewolników jego, ale tak chciał los mój. Tu krótko pobywwszy, cesarz, obdarzwszy kneziów swych i margrafów, i

urzędników, nazad do południowej ziemi państwa swojego ciągnął i ja z nim, z sokołem i ze dworem.

Gdy Włast mówił tak, a Hoża, sparłszy twarz na rękach, z uwagą mu się przysłuchiwała, doszedłszy do tego miejsca, wstrzymał się nagle, jakby przypomniawszy, przed kim mówi. Pomilczawszy dopiero i myśli zebrawszy, dodał krócej, zbywając siostrę:

- Tamem w tym kraju przebywał długo, ale mnie cesarz dał innemu panu, który nad świątynią tego kraju pewno starszym był. Więcem i u niego, i przy niej służył, zapatrując się na ich obyczaje. A potem dodał, zrywając się i spuszczać oczy, darowano mnie wolnością, bo starzec, u którego służył, dobry był i serca miłosiernego. Pozwolił mi iść, kędym chciałem, dawszy na drogę odzież i suknię, i co było potrzeba, a polecając mnie ze dworu do dworu dla bezpieczeństwa. I tak z panami jadącymi do Niemiec, to z jednym, to z drugim, w ich orszakach dobiłem się aż nad Łabę; tęsknica mnie za wami wzięła i przebiłem się aż tutaj.

Umilkł Włast, a ona jeszcze słuchała.

- Jestże to inny kraj niż nasz, ten, w którym byłeś tak długo? - spytała.

Włast się uśmiechnął i westchnął.

- Nie ma w nim zimy - rzekł. - Cały rok zieloność trwa i kwiaty tam kwitną, a jeśli czasem niebo się zachmurzy i z deszczem śnieżek poprószy, znika tak, że go chyba w powietrzu zobaczy. I dziwnie tam piękne niebo, i słodkie powietrze, i owoce smaczne.

- A ludzie?

- Ludzie? powtórzył Włast. - Czarni i opaleni, i gwałtownego serca, ale rozumni i wspaniali zarazem.

- A wsie?

- Domy i grody, o jakich nam się nie śniło - rzekł Włast. - Po jakimś narodzie, co tam panował, olbrzymie mury zostały i nie ma domostw, tylko kamienne, a wysokie, kamieniem wykładane drogi, a rzeki górą płyną w korytach ze skał kuty.

Niedowierzająco dziewczę bratu w oczy spojrzało. Włastowi świeciły źrenice i usta się śmiały.

- A! - mówił. - Więcej tam daleko cudów jest, niż moje usta

wypowiedzieć mogą, a twoje serce uwierzyć. W kamiennych tych domach skarby są zaczarowane, złoto i kamienie jasne, i ze złota a kruszcu lane i rzezane postacie jak żywe. Jakież to język wypowie! A któż opisze tego cesarskiego dworu wielkość i potęgę, i tych wojaków w żelazo pookuwanych całe zastępy, które by mogły świat zawojować! I przepych ich sukni, ich wozów, koni, i mądrość ich kapłanów.

Nagle zamilkł Włast, a Hoża, milcząc, zawsze jeszcze słuchała.

- A! -zawołała po cichu. - Jakże się tobie, bracie, wydadzą teraz lasy nasze i drewniane dwory, i puste kraje! Ty będziesz śnić i tęsknić za tamtymi! A nam, gdyby nam złote obiecywano góry i nie wiem jakie niebo, ach, ja bym nie mieniała kraju bez zimy na nasze smutne noce burzliwe!

- I ja bym nie mieniał, - przerwał Włast, - i nie zatęsknię ani za dworem, ani za złotem, ale za jedną zatęsknię rzeczą...

Głos mu cichł z wolna i ustał.

Siostra, uśmiechając się, patrzyła, a myślała, jaka ta jedna rzecz być mogła, za którą brat jej miał tęsknić. Rumieniec okrył twarz, serce uderzyło.

Myślała w duchu:

- Wiem! - Ale powiedzieć nie śmiała i twarz ukryła w dłoniach.

Włast też, jakby się domyślał czegoś, pokraśniał i zadrzał.

- Hoża moja, - rzekł, - za czym ja tęsknić będę, to ci kiedyś powiem, nie dzisiaj; ale to wiedz, że ani za człowiekiem, ani za stworzeniem żadnym, ani za bogactwem, ani za skarbem żadnym ja tęsknić nie będę, tylko za czymś, co nad wszystkich ludzi, nad skarby wszelkie, nad życie nawet jest droższym. Ale dziś to musi dla ciebie, siostrze moja, tajemnicą pozostać.

Zamilkł Włast. Hoża zbladła i nie odezwała się. Sparta na rękę zadumała się głęboko, któż zgadnie o czym? O kraju bez zimy, o tym, co nad skarby droższe, o brata tajemnicy, o innych ludziach i światach?

Od kilku już chwil stojący nieco opodal Jarmierz patrzył na nich okiem ciekawym i zazdrosnym, jakby ich chciał podsłuchać. Przy nim stały dwa konie pokryte sukrem i do jazdy gotowe. Jeden z nich zarżał i Włast drgnął

mimowolnie, posłyszawszy głos jego. Spojrzał, Jarmierz dawał mu znaki, czas było po staremu na koń sięść i rękę do oszczepu wprawiać na nowo. Niechętnie wstał Włast, ale być musiał posłuszny.

Rozdział 3.

Naznaczonego dnia na Krasnągorę zawczasu się zaczęli zjeżdżać sąsiedzi.

Na przyjęcie ich we dworze wszystko już było gotowym, lecz że się wielu spodziewano, a dwór, acz obszerny, nie starczył dla tylu gości, dzień się zaś obiecywał pogodny, bo od rana białe tylko chmurki przebiegały po niebie, a wiatr chłodnawy powiewał ze wschodu w lasku, za dworem, poustawiane były w cieniu drzew starych długie stoły z tarcic, ręcznikami szytymi czerwono pokrywane. Do przyjęcia gości niewiele naówczas było potrzeba, gdy wszyscy z jednej czerpali misy i z jednego krajali sobie mięsa nożami, które każdy miał u pasa. Proste kubki do napoju służyły, a z wytoczonej beczki nalewano do dzbanów, które po stole krążyły. Pańskie stoły tylko bogatszym kruszcem naczyń się różniły. Zamiast w kuchni, u ognisk na podwórku piekły się całe kozły, barany i dziki.

Cała służba niewieścia od rana w wielkim była ruchu, a stara

Dobrogniewa, choć nie rzucała kądzieli, wlokła się często niespokojna zaglądać, co się z jej dziewczętami działo, zwłaszcza gdy głośniejsze śmiechy od strony ognisk się rozległy. Naówczas wychodziła stara ze swojego zakątka i rękę z wrzecionem, którego nigdy nie puszczała z niej, podnosząc do góry, niemą tą groźbą zmuszała zbyt wesołą gawieź do chwilowego milczenia. Wkrótce jednak potem, gdy groźne widmo znikło z oczów, zaczynały się szepty i gżenia rosły, podnosiły, śmiech ogarniał znowu i zwyciężał strach, a rodził wrzawę.

Od rana Luboń w najpiękniejszym swym stroju z sukna cienkiego,

sznurami szytym i taśmami, chodził, rozglądając się około domu. Taką samą suknię jak sobie, na znak następstwa, kazał wdziać synowi, odziewszy go zupełnie jednako. Mieczyk mu dobrano podobny i wszystek przybór, a

przykazanie było, aby się od boku ojcowskiego nie oddalał.

Jarmierz stał na czele pachołków i służby. Żłoby dla koni wcześniej pozasypywano owsem, siano świeże zapełniało drabiny; pomyślano wedle praw starej gościnności, aby i ludzie, i konie, i psy gościnne głodne nie były. Wielu bowiem psy z sobą zabierało, aby przez lasy i pola jadąc nie próżnować.

Już kilku bliższych sąsiadów w podwórku z gospodarzem rozmawiało, na syna spoglądając, a żaląc się nad nim, iż blado, a mizernie powrócił do domu, gdy zatętniało i szybkim konia pędem wpadł na podwórze barczysty, zarosły, zasapany człek, wesołego oblicza, oczu wypukłych, rażny, a butny i z konia skoczył, mimo otyłości, jak młody chłopak, ale cugli jego z rąk nie puszczał, z nim razem podszedł do gospodarza.

Ten skinął, aby mu konia wzięto, ale przybyły oddać go nie chciał.

- Ja zaraz powracam, rzekł. - Słowo tylko, szczęśliwy Luboniu, panie mój.

Dobrą wam zwiastuję nowinę. Mieszko, Pan nasz Miłościwy, zasłyszawszy, że u was gody, sposobi się też przybyć, choć nie proszony. Bałem się, abyście frasunku stąd nie mieli, gdyby niespodzianie was zaskoczył. Wziąwszy więc konia, na przełaj-em się puścił lasami, byście w gotowości byli na przyjęcie Pana Miłościwego.

Luboń pobladł trochę i czoło pocierał.

- Wielka to cześć dla domu mojego, - rzekł, - Miłościwego Pana gościć, anim wart...

- Miłuje bo was nad innych, - odparł zasapany poseł.

Luboń głowę skłonił, pachołkowi, który stał niedaleko, miodu kazał

podać, aby się przybyły pokrzepił, a na twarzy więcej widać było zakłopotania niż radości.

Miód wnet przynieśli, a Stogniew, który był u dworu knezia starszym, pił

za zdrowie gospodarza i syna jego. Potem, ledwie okiem rzuciwszy po podwórzu i zebranej drużynie, rękę podał i już na konia się sadowił, a tak rażno znów na grzbiet mu skoczył, iż się aż patrzący zaśmieli. Ręką ich pozdrowiwszy dokoła, do wrót nazad ruszał; ledwie za nie wyjechawszy, konia pocisnął i już tylko tuman kurzu zwijał się przez pólko bez drogi, ku lasowi.

Luboń też zaraz znikł. Szedł do znanego kamienia, na którym stara

przędka siadywała.

- Matko, - rzekł, - licha nasza dola, choć cześć wielka. Knezia będziemy mieli, Mieszek przybędzie. A nie co go tu prowadzi, ino Hoża, bo mu już świeżej trzeba. Niechże się schowa, aby jej nie było, bo kocha on mnie, kocha, miłuje i czci, ale córkę od studni chwycić każe, aby tylko mógł.

Potrząśł głową stary. Dobrogniewa też wstała, biorąc kądziel z sobą, i poszła zaraz wnuczki szukać.

Było w obyczaju, że niewiasty gościom, zwłaszcza dostojniejszym,

służyły, jadło i napoje przynosiły, sługi doglądały z daleka, chociaż do stołu z mężczyznami nie siadały nigdy. Sposobiła się więc i Hoża wystąpić jako gospodyni i przybierała właśnie w izdebce. Dwie skrzynie malowane stały otworem, a niewieście stroje porozrzucane leżały. Hoża, tylko co lśniące kosy posplatawszy, wianuszek ruciany świeży miała kłaść na nie, gdy starucha z nieodstępną kądzielą na progu się ukazała.

- Hej, - rzekła. - Stroju by tego dosyć było, bo wam dziś rumianego liczka na gorące słońce nie wystawiać. Zaświeci nam tu takie, że spalić może i twarz, i wianuszek zwarzyć. Niechaj Hoże główka boli, bezpieczniej w chłodzie przesiedzieć południe.

Dziewczę zdziwione patrzyło, gdy stara przystąpiła szepcząc: - Mieszko Kneź przybędzie tu, już o

nim ojciec wie i nie chce, byś się pokazywała.

Splonęło dziewczę i ręce jej od wianka opadły.

- Cóż ci, żal? - zapytała starucha. - Ej! Czego znowu? Wleź na strych, a odsuń dranicę . Będiesz wszystko widziała, a ojciec nie chce, aby na ciebie patrzano.

Hoża siadła na tapczanie i głowę zwiesiła.

- Wola pana ojca, będąc posłuszna - ozwała się. - Ani mi tak bardzo żal, aleby mnie też nie zjadł oczyma!

Dobrogniewa głową kiwała.

- Co ty wiesz, przepiórko ty młoda! - poczęła mruczeć. - Co ty znasz?

Oczy jedzą, oj, jedzą oczy! A z kneziami dziewczętom nie żartować! Już on cię, prawda, napatrzył raz, już stali od niego, że za siódmą by cię brał, a ojciec mu powiedział: Tylko za jedną i jedyną ją dam. Ano, cóż? Wówczas syna nie było.

Tyś mu była córką i synem, teraz Własta ma, czemu by cię za siódmą nie miał

kneziowi dać? Choć - ciszej mówiła stara, - z tego syna, z tego Własta nikomu nie będzie pociechy. Niemiec w nim siedzi.

Widząc dziewczę zasmucone, stara się do niej zbliżyła, pogłaskała ją po głowie, usta do czoła przyłożyła, westchnęła i powoli wyszła na powrót.

W podwórku i pod drzewami coraz zaczynało być ludniej i gwarniej.

Przybywali z okrzykami przyjaciele, powinowaci, sąsiady, z daleka nawet.

Każdy przynajmniej ludzi i koni z sobą miał dziesiątek i czeladzi gromada jeszcze była większa niż gości. Za szopami, gdzie się to wszystko zbierało i gdzie już piwo stało, chleb i pieczone mięsa, wesołość i ochota też większa była niż między panami. Śmiech, kiedy z tamtej strony buchnął, to jak grzmot się rozlegał.

Już słońce się miało ku południowi, gdy posadzony na dachu sługa, aby z dala o kneziu znać dawał, począł wołać, że od Poznania tuman kurzu się toczy.

Luboń tedy z synem i powinowatym, a rodem całym i przyjaciółmi wyszli za wrota z chlebem i powitaniem, aby pana przyjąć poczestnie.

Kneziowie już ówcześni całę inną niż dawni mieli władzę. Sto lat wojen z Niemcami i sąsiady łupieżcami, choć jednego rodu, a niezgodnymi, zwiększyły potęgę wodza i urósł mu zastęp zbrojny, co go otaczał; o wiecach dawnych, radach i swobodzie ledwie się kto śmiał odezwać. Jak czasu wojny, Kneź był już panem życia i śmierci, i majętności, a choć zważał na to, by ludzi nie drażnić, i

starszyznę czczył, nikogo o to nie pytał, co chciał poczynąć, a co chciał, to poczynął i dokonał.

Piastów ród też niesrogi był, gdy złej woli przeciw sobie nie widział; pamięć w nim jeszcze żyła, że z ludu wyszedł i między knieciami

powinowatych miał. Ale przeciwięstwa pan znosić nie chciał i nie mógł, aby nieładu nie dopuścić. Lękano się więc knezia i szanować musiano, i była przy nim siła wielka, a może większa niż za onych czasów, gdy Pepeków zrzucano za srogość i ciemięstwo.

Nim się orszak kneziowski ukazał, wszyscy goście z gospodarzem na

czele już u bramy stali. Mieszko, dojeżdżając do Krasnogóry, zwolnił koniowi kroku i czas się mieli mu przypatrzeć, jak przodem na siwym koniu, w bok się wzięwszy, z pańską miną, głowę do góry wzniosłszy, jechał uśmiechając się wesoło.

Odziany był płaszczem lekkim, a na sobie miał odzież letnią, ale

naszywaną bogato i pas cały nabity złotymi ozdobami, i pióro białe u czapki.

Miecz też u pasa w pochwie złotej wisiał, sadzonej kamkami drogimi. Na koniu siedzenie było purpurowe, lice także w ręku. Poznać w nim łatwo mógł

każdy wojaka, tak na koniu bezpiecznie siedział i wiódł go, ani się nim troszcząc, choć siwy mu się rwał i zrywał. Mieszko w samej był sile wieku, dorodny i urodziwy, brodę miał ciemną, postrzyżoną, włos piękny, długi, spadający na ramiona, oko, choć ciemne, szafirowym blaskiem jaśniało, zarazem siłą wyrażając i dobroć, i radowanie się życiu, a wesele. Usta podobnież rumiane, wydatne, wyraz miały męskiej dobroci i zdały się stworzone, by smakowały we wszystkim, co im świat jako panu podawał.

Choćby na sobie nie miał oznak dostojęstwa, poznałby już w nim każdy pana i władcę, nawykłego do rozkazywania, pewnego, iż mu wszyscy posłusznymi być muszą, a okraszającego swą siłę dobroduszością i miłością.

Piękna twarz Mieszka, rumiana, świeża, oko pełne, czoło białe pociągały ku sobie, ale czuć było w nich, że gdy je oblał płomień gniewu, strasznie się zmieniać mogły i stać groźnymi. W wejrzeniu też nie wszystko się

wypowiadało, co było we wnętrzu. Choć na pozór oko patrzyło niezmrużone, wprost na ludzi, czasem błysnęło ono jakimś ogniem z głębi, jakby płomień buchnął z duszy. I wnet uśmiechało się znowu. Tak samo usta drgały czasem dziko i wracały do dobrodusznego wyrazu.

Kochali go ludzie, ale drżeli przed nim razem, a przybocznicy wiedzieli, że choć się na nic patrzeć nie zdawał, widział wszystko. Co dziwniejsza, były rzeczy, które odgadł, jakby je widział, choć podpatrzeć nie mógł. W dzień wesela, jak dziś, gdy jechał Mieszko zabawić się u ziemianina swojego, wyglądał raczej na sąsiada dobrego niż na pana, ale gdy na wojnę konia dosiadł

i do ręki miecz wziął, drżało przed nim, co żyło.

I w zamku swym, w Poznaniu, gdy ze starszyzną się rozrywał przy kubku albo ze swoimi niewiasty żartował, zdał się miękki, a jakby do niewieścich tylko bałamuctw stworzony, bo się w nich lubował też bardzo, ale to trwało tylko, dopóki nie zapalono wici i na wojnę iść nie trzeba było. Zmieniał się wówczas rozkoszny wódz na surowego wojaka, który ani głodu, ani chłodu się nie zląkł.

Ze swymi się zabawiając, można sądzić było, że tajemnicy żadnej nie miał, a otwarty był do zbytku; znali go przecie bliscy, że więcej wiedział, niż powiedział, i chytrym być po trafił, gdy tego nastąpiła potrzeba. A z Niemcami tak umiał być, iż go najbystrzejsi nie zbadali. Co w myśli miał, tego nigdy nikt odgadnąć nie mógł. Starszyzna, co koło niego chodziła, co go mówiącego słuchała, nieraz by była poprzysięgła, że jutro wypocznie, że na jutro o niczym nie myśli, a o świcie pan, co wczoraj dziewczętom sobie śpiewać kazał, jak by o niczym nie myślał, konia dosiadał i na granicę biegł. Nikt nie wiedział ni dnia, ni godziny, kiedy zawoła na koń.

Ludzi swych miał niepozornych, odartych, co doń wchodzili i wychodzili dniem i nocą, na żebraków wyglądając; z tymi się zamykał i kto wie, co im za rozkazy dawał, a co od nich za poselstwa odbierał. Więc choć na pozór wesoły człek i pusty, Mieszko u wszystkich poważanie miał, bo nad nimi rozumem stał

wysoko.

Za kneziem jechało dwóch powinowatych jego przybocznych i Stogniew, co był nad dworem jego, i wojewodów dwu starych, i garść różnej młodzieży.

Wszyscy bogato poprzyodziewani i zbrojni pięknie. Pan to był, co choć niewiele potrzebował dla siebie, wspaniałość lubił około dworu i ludzi.

Na widok Lubonia i orszaku jego, który stał z odkrytymi głowy,

Mieszkowi twarz wesoła jeszcze się piękniej rozpogodziła. Konia wstrzymał, a podczas gdy Luboń do nóg mu się skłaniał, po ramieniu go uderzył

pozdrawiając. Drugim też głową skinął, a ci się do ziemi zgiąwszy, pokłon mu oddawali. Pacholek już konia brał i Mieszko zręcznie z niego zeskoczył.

- Ojczy Luboniu - rzekł - nie prosiliście mnie na obchód wasz, a jam się wam sam zaprosił. Nie przyprowadziliście mi syna, więc sam go widzieć przybyłem.

Na te słowa Luboń, Własta przyprowadziwszy, paść mu kazał do nóg

pańskich, co gdy się stało, a Mieszko się ciekawie chłopakowi przypatrywał, rzekł gospodarz stary:

- Syn mi w niemieckiej niewoli przywiądnął i zbiedniał, odżywić go

chciałem nieco, nimbym z nim przyszedł z powinną głową do stóp pańskich.

Mieszko, po ramieniu dłonią poklepał Włastę, który milczący

powstał, począł wiedziony przez gospodarza iść ku stołom, w cieniu drzew ustawionym. Tu dla niego stolicę wzniesiono wcześniej, wyższą nad inne ławy i Luboń całą ją okryć kazał sukniem, a nad głowami knezia także sztukę sukna rozwieszono na gałęziach dwóch drzew, tak iż go od słońca i wszelakiego powiewu lub spadających liści chroniła.

A gdy szli, mogli postrzec wszyscy, iż kneź się bardzo rozglądał

wszędzie, jakby kogoś szukał oczyma, i gdy pod drzewami z daleka ukazały się, stojące z dala, w bieli niewiasty, które posługiwać miały, naprzód w tamtą stronę rzucił Kneź wzrokiem i jakby zawiedziony, spuścił go prędko. Przez czoło jak pas przeszła marszczka jakaś i znikła.

Siadł tedy pan na wyższym miejscu, przed którym zaraz kubki i misy

postawiono, aby wybierał, co chciał, i gospodarz sam z synem mu posługiwali.

Drużyna opodal na ławach miejsca zabrała.

Ochoczo po skwarze wychyliwszy kubek, Mieszko, gdy misę i dzban

podano, a ręczniki, naprzód ręce umył i otarł, po czym chleb i mięso, i białe kołaczki, i wszelaką strawę przed nim ustawiono, aby pożywał, jako chciał. Ani go prosić było trzeba, bo jadł rad i pił dobrze, a znali go Stogniew i inni, że długo się z jadłem zabawiać nie lubił. Głód zaspokajał prędko, pragnienie gasił

powoli; potem zaś, gdy było z kim, rad żartował i powiadać sobie kazał, co kto umiał i mógł. Był bowiem pan wszystkiego ciekawy, pamiętający cokolwiek kiedy w życiu słyszał i nie gardzący rozumem niczym, chociaż swojego miał

dosyć.

Gdy jadł jeszcze, a Luboń z Włastem przy nim stali, ozwał się zrazu do starego:

- A krasnej córki to waszej nam nie pokażecie?

- Chora mi jest od wczora - rzekł Luboń. - Na głowę leży. - Upał znać jej poszkodził.

Na to nie dał pan odpowiedzi żadnej. Począł się tedy we Własta

wpatrywać i pytać, co, gdzie przez te czasy robił i bywał; zasłyszawszy zaś od ojca, iż na dworze cesarskim bywał i do dalekich krajów na południe z nim jeździć musiał, poruszył się mocno, ciekawiej jeszcze wpatrując się w bladego młodzieńca i ciągle mu zadając pytania, na które ten krótko tylko i pomieszany odpowiadał.

Stogniew, który się też dowiedział o losach Własta, szepnął zaraz

Luboniowi, że Kneź ciekaw niemieckich obrotów, pewnie syna jego na dwór zawezwie, aby mu o nich powiedział. Nic nie odrzekł na to ojciec, bo mu się też serce ścisnęło. Tymczasem u stołów ochota,

choć poszanowaniem dla knezia hamowana, powoli coraz się zwawszą stawała.

Na onych ogromnych misach i deskach, na których pieczone mięsiwa

stały, widać już tylko było resztki kości poogryzanych, a i te rzucano psom, bo ich cała gromada, domowych i gościnnych, stoły otaczała. Chwilami

powstawała między nimi sroga walka pod stołami, którą ledwie panowie mogli pohamować. Rosły z tego śmiechy nowe, a bujne. Dziewczętom też,

roznoszącym przy stołach napój i strawę, dostawały się wesole żarty, od których kraśnieć i oczy sobie musiały zakrywać.

I wesoło bardzo zrobiło się pod drzewy, a kto by miał czas spojrzeć ku dworowi uważnie, dostrzegłby był może na dachu odsuniętej draniczy i czarnego oka, które przez mały otwór przypatrywało się wesołej biesiedzie.

Przed Mieszkiem tedy postawiono w ostatku jagody leśne i mleczywo, a stary miód, Piastowe pamiętający czasy, i obstała knezia gromadka starszych, a rozmowa pusta wszczęła się zrazu o koniach i o łowach, ale wnet w inną drogę zboczyła.

Mieszko postrzegł średnich lat mężczyznę, stojącego nieco na uboczu; zrazu jakby go nie poznał, wlepił w niego oczy i dumął, chcąc sobie go przypomnieć. Potem do Stogniewa się obrócił i palcem na tamtego wskazując, rzekł:

- Dobrosław ci to Wiotki albo się mylę?

- On sam, Miłościwy Panie - rzekł Stogniew.

- Co go tak długo widać nie było? - pytał Kneź. - Kędyż się zadział?

Chory był albo zdziczał w lesie?

Stogniew postąpił do pana tak, aby nie mógł być od innych słyszany, i szepnął mu:

- Na Czechy jeździł, gdzie sobie na dworze królowej Drahomiry,

pokrewną jej dziewczkę zaswatał. Ano, ludzie prawią, jakoby i ona innej wiary była... i on może dla niej na inną przystał.

Kneź, nie odpowiedziawszy Stogniewowi, na Dobrosława skinął.

Mężczyzna był w wieku Mieszkowym, dojrzały, wyrosły jak dąb i śmiałego, otwartego oblicza. Znano go jako wojaka mężnego i otwartego słowa,

człowieka, który prawdę mówił i gotów ją był dłonią popierać.

Ułękli się więc wszyscy, aby się biesiada nie zamąciła gniewem pańskim, bo Dobrosław na ostatnią wyprawę nad Łabę się nie stawił. Stogniewowi przykro się zrobiło, iż do tego powód dał. A Dobrosław na skinienie szedł

śmiało bardzo, do nóg się skłonił, jak należało, ale prędko głowę podniósł i spojrzął w oczy kneziowi, niezłękniomy wcale, oczekując, co mu rzecze.

- Gdzieżeś to samopas tak długo gościł, Dobrosławie? - zapytał Mieszko.

- Wołaliśmy was do boku i nie przyszliście...

- Darujcie, Miłościwy Panie, domam nie był, żonym sobie szukał - począł

otwarcie Dobrosław.

- Albo to doma jej znaleźć było trudno? - spytał kneź.

- O dziewczki u nas nie ma biedy - rzekł Dobrosław. - Alem do tych, które znałem, serca nie miał. Dwie żony miałem z sąsiadów, obie mi pomarły.

Chciałem indziej szczęścia szukać.

- I kędy żeście bywali? - bez gniewu i spokojnie począł pytać kneź.

- Zabiłem się aż na Czechy i na dwór króla Bolesława... tamem żonę zaswatał.

Mieszko zmilczał, popatrzył na Dobrosława i na tych, co dokoła stali, głową potrząsł.

- Cóżście tam widzieli na tym dworze? Pewnie co lepszego niż u nas?

Oni tam już Niemcom służą i sami do nich się stali podobni.

Dobrosław potarł brodę myśląc.

- Niemców tam nie widziałem żadnych, ni też niemieckiego obyczaju

odezwał się a dużom się przecie nauczył, Miłościwy Panie, bo oni na to się do Niemców zbliżają, aby lepiej wiedzieli, jak ich pożyć ...

- A królaście widzieli? - zapytał Mieszek chmurno.

- Jak by nie? Na łowym z nim jeździł i u dworum stawał niejeden raz.

Napatrzyłem się go dosyć.

- I co o nim trzymacie? - wtrącił kneź, mierząc oczyma Dobrosława.

Znów myślał nad odpowiedzią zapytany, a pochylił głowę i oczy w

ziemię wlepił.

- Miłościwy Panie - rzekł - mąż jest silny. Tyle tylko wiem, mąż

przebiegły wielce, a władzy chciwy. Lepiej go mieć druhem niż wrogiem... tyle tylko wiem - powtórzył.

Teraz Mieszko nie rzekł nic i z kubka popił, na mówiącego popatrzył długo.

- Jutro na łowy pojedę - ozwał się po namyśle - pojedziecie i wy ze mną, Dobrosławie.

Ten głowę pochylił i ustąpił; trwało milczenie trochę, skinął pan na Lubonia.

- Syna mi przyslijcie na zamek do Poznania, przy dworze go chcę mieć.

Usłyszawszy to stary pobladł, zawahał się, mimowolnie ręce mu się splotły załamane.

- A, Miłościwy Panie! Jedynek on u mnie i tyle go lat nie było! - I Luboń do nóg mu się chciał rzucić, gdy Mieszko, ręką go za ramię chwyciwszy, śmiejąc się, wstrzymał.

- Odbierać go wam nie myślę! - zawołał. - Ale opowiedzieć mi musi, co u Niemców widział. Na to mi jest potrzebny. Oddam go wam na powrót, nie bójcie się! A po co by mi się zdał zresztą? - dodał Mieszko. - Błady i słaby, nie do miecza znać urósł albo go tam tak tą niewolą wycieńczyli.

Luboń westchnął.

- Chciałem, - rzekł, - aby go tu odkarmiły baby moje i żeby biedę wydychał.

Kneź ruszył ramionami i nie odpowiadając już, na Stogniewa skinął, co on w lot zrozumiał, pachołkom z dala stojącym dał znak, aby po konie szli.

Mieszko nazad się wybierał do domu. A jak tu przybył wesołym i dobrej myśli, tak dostrzegli wszyscy, iż po rozmowie z Dobrosławem i Luboniem już mu na czoło sęp wystąpił i usta się krzywić poczęły. Może też spodziewał się najrzeć tu Hoże, którą dobrze pamiętał, a tej mu nie pokazano.

Gdy z siedzenia kneź się ruszył, wnet wszyscy też z ław wstawać poczęli i cisnąć się ku niemu. On szedł, nie patrząc na nikogo, prosto do wrót, gdzie już konie i poczet stał w gotowości. Tuż za nim kroczył Luboń z synem, Stogniew i inni, przeprowadzając. Więc, gdy siwego podawano, gospodarz podszedł

dziękować i za nogę ścisnąć pana, co też Włastowi uczynić kazał. Mieszko się trochę rozchmurzył.

- Nie skąpcieź mi syna - odezwał się do Lubonia. - Przysyłajcie go, jeśli nie jutro, bo na łowach będę, to trzeciego dnia. A nie obawiajcie się o niego, bo go głodem nie zmorzę i nic mu się złego nie stanie u mnie.

Nic nie odpowiedział Luboń, a Mieszko, skinieniem głowy pozdrowiwszy otaczających, na plecy małego chłopaka, który je podstawił panu, jedną nogą się oparł i konia dosiadł raźnie. Inni też do swoich się brali, aby za nim nie pozostać, i cały orszak książęcy z kopyta żywo od wrót popędził drogą, gdy zebrana drużyna przy Luboniu, czapki w górę podrzucając, okrzykiem go ścigała. Znikł już w tumanach pyłu kneź, a gromada stała jeszcze, patrząc za nim. Luboń milczący zdawał się wolniej oddychać. Z panem oddalił się dwór cały, można było mówić swobodnie.

- Dobry pan, - ozwał się Dobrosław, - ano, patrząc nań czujesz, że pan, choć to kmieca krew nasza.

- Ani być winno inaczej - dodał Luboń - bo po cóż byśmy go nad sobą wysadzili, gdyby panem, a wodzem nie umiał być? Niech się go ludzie boją, byle się też Niemcy lękali.

Na wspomnienie Niemców uśmiechnął się Dobrosław.

- Daleko nam do tego - rzekł - by się oni nas obawiać mieli, mnie by na tym było dość, abyśmy my się ich mogli przestać lękać. Patrzyłem ja na nich z bliska...

I nie dokończył. Czekali wszyscy zaciekawieni, lecz Dobrosław odstąpił

kroków kilka i już mówić nie miał ochoty.

Gdy przed kneziem Mieszkiem Stogniew o nim opowiadał po cichu, stali nie opodal Luboń i Włast, a Włast usłyszał, iż go za wyznawcę nowej wiary miano. Zarumienił się, spojrzawszy ciekawie na niego i radość mu w oczach zabłysła. Teraz, gdy Luboń do miodu i piwa gości swych prosił, a Dobrosław nieco na bok ustąpił, zbliżył się ku niemu Włast nieśmiało i rzekł cicho:

- Chcę mówić z wami...Chodźmy sami...

Rozdział 4.

Nie bardzo zważano teraz, co się z gośćmi pozostałymi działo; szedł

każdy, gdzie chciał, jedni na żarty, gdzie biała płeć stała opodal na usługi gotowa, drudzy do kadzi, inni do psów, z którymi się chwalono, tamci do koni.

Luboń starszych częstował. Miał więc sposobność Włast między drzewa wprowadzić Dobrosława, gdzie sami we dwu byli.

Ten, dawszy się wziąć, pierwszy pytać nie rozpoczynał; czekał, wpatrując się w młodzieńca, idącego niespokojnie i widocznie niepewnego, jak ma zawiązać rozmowę. Gdy już odeszli tak daleko od innych biesiadników, że im ich gałęzie zasłoniły, Włast poruszony, ze łzami niemal w oczach, żywo odpiął

suknię na piersiach szczelnie zasłonioną i ręką dobywszy spod niej zawieszony na sznurku miał krzyżyk złocisty, ukazał go Dobrosławowi. Na widok znaku tego, niespokojnie obejrzał się Wiotki, zdumiony widocznie. Chwycił to znamię, przyłożył do ust i pocałował. Tak się dwaj bracia w Chrystusie pośród pogan poznali. Włast schował natychmiast to godło i uścisnął Dobrosława. Ze wzruszenia mówić jeszcze nie mógł.

Stali obaj niemi, przejęci, strwożeni, ale szczęśliwi, że się zbliżyli i poznali.

- Skąd wiedziałeś, żeś ochrzczony? zapytał Dobrosław.

- Musi to być wiadomym powszechnie - rzekł Włast - bo Stogniew o tym półgłosem kneziowi zwiastował.

Zamyślił się Wiotki smutno.

- Niedarmo mnie też wezwał jutro na łowy! - westchnął. - Co tam mnie czeka. Bóg wie jeden.

Włast uścisnął go drżący.

- Kneź by was miał prześladować? - zapytał.

- On? Nie, - odparł Dobrosław - ale się boi sam narodu, który w swoje bogi wierzy i przy nich stoi. Ciekawym jest pewnie nowej wiary, wie, że ją czescy panowie przyjęli, że ona i u nas, i wszędzie zawładnąć musi, ale nim się to stanie, wyleje się wiele krwi, wiele krwi!

Zadumany powtórzył to kilka razy, wzdychając, Dobrosław.

- Powiedz mi o sobie - dodał jakby przebudzony, idąc w las dalej. - Gdzie ciebie ochrzczono?

- Na dworze cesarskim, chrzczył mnie pan i biskup Rawenny. Po chrzcie, przygotowali mnie na kapłana i kapłanem jestem...

Gdy tych słów chłopak domawiał, z pokorą spuszczał oczy,

Dobrosławowi zajaśniały źrenice; załamał ręce, podniósł je nad głowę i o mało wielkim głosem nie krzyknął. Pochylił się zaraz, sięgając po rękę Własta, którą pocałował z pokorą, a ten krzyż mu nad schyloną zakreślił głową.

- Tak, kapłanem jestem - mówił po cichu. - I wróciłem dlatego, aby tę wiarę szczepić między swymi, a trwoga mnie ogarnia, jak tego, co pada i nie ma gałęzi nad sobą, za którą by się uchwycił. Wy mi bądźcie tą gałęzią, miły bracie w Chrystusie. Radźcie mi. Dni już wiele świętej nie mogłem spełnić ofiary.

Wszystko, co mnie otacza, odgaduje mnie i grozić mi się zdaje. Nie mam do kogo rzec z duszy słowa... Ojciec groźny, babka gniewna zmuszają mnie do życia, którego prowadzić nie mogę... - Co pocznę?

Zamyślił się Dobrosław długo.

- Ojciec mój - rzekł - bo cię ojcem, chociaż młodszego, nazywać muszę. Ja jedno tylko wiem, iż tu między narodem naszym, który Chrystusa nie zna, wiele przebaczone tym, co przybyli nawracać. Tak było w Czechach, nim kościoły stawiać poczęto i wiarę wyznawać, za którą Wacław zginął, a bratobójca ją trzymać musi pokutę odprawiać. Nas, chrześcijan tu utajonych jest wielu, a dla ochrony życia milczeć musimy i cierpieć.

- Jest wielu? - podchwycił, składając ręce jak do modlitwy, Włast. -

Mówicie, iż wielu nas jest?

- Ale więcej jeszcze tych, co na nasze czyhają życie - dodał Dobrosław. -

Bądźmy cierpliwi, bądźmy ostrożni, a ufajmy Bogu naszemu, który cuda czyni; tak mnie w Pradze, na Hradzie, nauczano.

Mówili jeszcze, gdy nadbiegł szukający Własta Jarmierz, niespokojny, bo się ojciec o niego dopytywał i słał za nim; musieli się więc rozstać, aby podejrzenia nie obudzać i Dobrosław inną drogą udał się ku biesiadującym.

Jarmierz dziwnie jakoś popatrzał za odchodzącym. Między nim a

Włastem stosunek był i uczucia do określenia trudne. Dla dawnego ulubieńca pańskiego, który się przybranym dzieckiem być spodziewał, Włast nie był

miłym. Jarmierz złego mu nie życzył, a nie mógł jednak wstrzymać się i pohamować zazdrości. Usiłował zbliżyć się do niego od pierwszego dnia; Włast mu był przyjaznym, serdecznym, a jednak czuł Jarmierz, iż mu się całkiem nie zwierzał i że między nimi stała jakaś zaporą, co ich dzieliła. Obawiali się jeden drugiego.

- Cóż to się stało, żeście z Wiotkim odeszli? - zapytał Jarmierz.

- Pytać mnie chciał o Niemcy, tak jak i inni - rzekł Włast. - A mówiąc odeszliśmy w las, sami o tym nie wiedząc.

I na tym zakończyła się rozmowa. Syn do ojca pospieszał, bo go po

jednemu już odjeżdżający sąsiedzi żegnali, a Luboń u boku swojego syna mieć chciał, aby z nim przyjaciołom dziękował. Stary, jak poprzedzających, tak i tego dnia na oku miał syna, niepokoił się nim. Jarmierz mu o modlitwach jego i praktykach jakichś niezrozumiałych donosił; domyślał się w nim, jak stara Dobrogniewa, skrytego chrześcijanina i wiarę tę nową wytępić w nim co najrychlej pragnął. A zdało się staremu, iż tego łatwiej niżym dokonać nie potrafi, jak dając mu żonę i nałamując go do obyczaju swojego, do łowów i wojny.

Właśnie tego dnia ze starym Słomką, powinowatym sobie, Luboń się był

przy kubku rozmówił na osobności. Słomka miał córkę Mładę, dziewczynę lat piętnastu, piękną bardzo, której wdzięki słynęły już na okolicę. Jak inni, tak i Słomka, obawiał się o swoją, aby mu jej na dwór do Poznania za siódmą czy ósmą dla Mieszka nie wzięto, bo baby latały po całym kraju, żon panu dostarczając, a krasa za posag stała.

Wzdychał Luboń, przyznając się przed powinowatym, iż się o Hożę lęka, co też i on wyznał, że ma strach o Mładę.

- O tę się bać nie masz co - rzekł, rękę mu kładąc na dłoni, Luboń - daj mi ją dla syna. Poślę swaty. Jak jej czepiec włożą, nikt nie będzie śmiał dotknąć, by najpiękniejszą była. Daj mi Mładę dla Własta.

- Czemu nie? Byle więcej nie brał już innych nad tę jedną rzekł Słomka.

- Nie ma u nas tego zwyczaju, jeno u kneziów, u takich, których bujna krew każe zapominać o sromie... Myśmy wszyscy po jednej mieli - mówił

Luboń.

- I my z wieków - dokończył Słomka - a gdzie u ogniska ich dwie albo trzy, tam ni ładu, ni wstydu, ni pokoju... Dam Mładę za Własta.

Ścisnęli się za rękę.

- Ale starym obyczajem, ze swaty i obrzędem, a niech ją Włast choćby najrzy przódy, bo przeciw woli dziecka nie chcę ani dać, ani narzucać.

Luboń się uśmiechnął.

- Dwoje młodych, a czemu by woli ku sobie nie mieli mieć? - odparł. -

Nasza tu, nie ich wola ma rządzić.

Poszeptawszy jeszcze z sobą, rozeszli się zgodni.

A gdy Włast do ojca przybył, aby z nim żegnać odjeżdżających i Słomka przystąpił, Luboń mu się kazał do nóg synowi pokłonić, choć nie mówił

dlaczego.

- Stary druh i powinowaty nasz, - zamruczał, - jak ojca go pożegnaj.

Włast posłuszny spełnił wolę jego.

Jeden tak za drugim sąsiedzi, naprzód dalej mieszkający, potem bliżsi, rozjeżdżać się zaczęli, a ostatni już późną nocą, o młodym księżycu ruszyli. I Hoża wyszła dopiero teraz z ukrycia swojego świeżym powietrzem odetchnąć.

Włast był znużony i na uboczu siadł spoczywać. Służba stoły zabierała, kubki po ziemi leżące, próżne kubły, dzbany i kadzie. W dali słyhać było śpiewy odjeżdżających. Wieczór cichy, spokojny po dniu pełnym wrzawy nastąpił.

Luboń ze starą matką szeptali coś po cichu, gdy Włast, któremu już dano wolność, po krótkiej rozmowie z siostrą, do swojej szopki wysunął się na modlitwę. Ale tu na niego Jarmierz czekał. Miał czas się rozmyśleć, ciążyło mu to, że z Włastem szczerze się zejść nie mógł, chciał z nim pomówić otwarcie.

We drzwiach szopki się spotkali. Jarmierz zwyciężył zazdrość i niechęć, jaką miał do dawnego towarzysza młodości, i idącego za rękę ujął.

- Właście - rzekł cicho - siadźcie tu trochę, ja z wami chcę jak brat pomówić, otwarcie. Pozwólcie.

- Owszem, bracie mój, mów, ja ci życzę dobrze.

- I ja wam, piorun niech mnie ubije, prawdę mówię, - zapalczywie dodał

Jarmierz. - Będę szczerym... Dwanaście lat was nie było, stary tęsknił do ostatka i przetęsknić nie mógł. Nie było kogo kochać, polubił mnie... jam Hoża pokochał. Szło na to, że ja mu synem być miałem, teraz... po wiedzcie, co teraz będzie...

Włast go uściskał.

- Jarmierzu mój - odezwał się - jeżeli cię Hoża kocha, a ojciec pragnie, czyż ja bym ci stanął na przeszkodzie? Ja, wierz mi, bracie, ja nic i nikomu nie odbiorę. Nawet to, co mi po ojcu należy, ja ani pragnę mieć, anim zdolny tym władać. Widzisz mnie, słaby jestem, nie wojak.

Spuścił głowę. Jarmierzowi żal się go zrobiło i uściskał w milczeniu.

- Ja też wam nie myślę ojcowizny odbierać - rzekł - ani bym mógł, ni chciał; pomóżcie mi tylko do Hożej, a bądźcie mi bratem. Przysiążmy sobie braterstwo i służmy sobie starym obyczajem jak pobratymcy.

- A, mój Jarmierzu, bez innej wszelkiej przysięgi - odezwał się Włast -

zawierz mi, bratem ci jestem i będę.

- A ja ci dam pierwszy dowód, odezwał się Jarmierz zniżając głos, że dobrze życzę i bratem jestem. Was stara babka i ojciec, i wszyscy posądzają, żeście wy nową wiarę przyjęli.

- A gdyby tak było? - cicho zapytał Włast wzdychając.

- Niech to złe odejdzie od nas! -

zawołał Jarmierz. - Nie mówcie tak

ani się przyznawajcie do tego, ani myślcie! Nie znacie starej Dobrogniewy; struła by was, choć wnuka. Nie znacie ojca! Wyrzekłby się was jak wroga!

Głos mu się trząsał mówiąc, ale przestraszony zniżył go i kończył szeptem cichym:

- Nie mówcie tak, to być nie powinno i nie może. Luboń by na to nie pozwolił nigdy... Ale posadzają was... ja sam, może ja sam winienem temu... ja nie wiem! Pytali mnie, mówiłem, że jakieś dziwne przed nocą i rano odprawujecie obrzędy; przyznaję się, mozem nie powinien być mówić o tym.

Włast milczał.

- A gdyby was tam i zepsuli, ciągnął Jarmierz, trzeba, wróciwszy do domu, do swoich bogów powrócić. Zmuszą was do tego. Słyszałem dziś, Luboń się ze Słomką umawiał, dadzą wam za żonę Mładę.

Włast oczy sobie zakrył i jęknął:

- Nie mów mi tego!

- Cóż to pomoże? - kończył Jarmierz. - Młada, widziałem ją raz w lesie z matką, piękna jak bogini Dziewanna: biała, smukła, wesoła, z oczyma niebieskimi. Ona was, wy ją pokochacie.

- Bracie mój, - po chwili posepnie odezwał się Włast, - coście wy mnie mówili, poszło z poczciwego serca. I ja wam wyznam wszystko: tak... ja jestem chrześcijaninem i nie przestanę nim być, choćbym za to umrzeć miał!

Nastąpiło milczenie długie. Jarmierz patrzył zdziwiony na niego i głową trząsał.

- Ojcu musicie być posłuszni!

- Tak, lecz mam ojca w niebiosach. Boga mojego, któremu winienem większe jeszcze posłuszeństwo.

Mowa ta była już dla Jarmierza niezrozumiałą, pytać się nie śmiał;

uścisnął Własta, który odzyskiwał powoli przytomność po krótkim wzruszeniu, co mu ją było odjęło.

- Spokojnym bądź - odezwał się do Jarmierza. - Nasz Bóg opiekunem jest i cuda czyni, ale Mu wiernym pozostać potrzeba. Bądź spokojnym. Jeśli ojciec mój ziemski ojca mojego niebieskiego zdradzić mi każe, pójdę stąd... Zostaniesz ty sam i będziesz staremu dziecięciem i pociechą.

- Jak to? Porzuciłbyś wszystko? Ojca? Siostrę? Dom, nas, bogactwa wasze, dla...

- Tak, odparł Włast. Nie pytaj mnie dla czego i kogo. Ja ci więcej powiedzieć nie mogę dziś, ale ci

przysięgam, porzucę wszystko, abym ocalił

więcej niżeli to wszystko!

- Zadumany, przelękły prawie Jarmierz stał przed nim, słuchając i uszom nie wierząc, patrząc i nie wierząc oczom, bo twarz Własta, zamiast być smutną i strwożoną, promieniała weselem i jakby dumą zwycięską.

Dokończywszy tych słów, Włast uściskał prawie wesoło Jarmierza i, nie kryjąc się już przed nim, ukląkł wnet na modlitwę. Ta także była dla poganina jakimś zdumiewającym zjawiskiem. Przy obrzędach pogańskich widywał szał i obłąkanie prawie, nie widział nigdy człowieka tak spokojnie, ze łzami, z męstwem rozmawiającego z niewidzialnym duchem. Czuł on, że to była

rozmowa, że w ciemnościach tej nocy, dla oka niedostrzeżona, potęga jakaś dźwigała tego, tak słabego na pozór człowieka, dając mu siłę i męstwo dziwne.

Wszystko, co mu Włast powiedział, dawało do myślenia, napełniało trwogą, jak objaw nowy świata nieznanego.

Zamyślony Jarmierz stał tak, patrząc na modlącego się Własta, i dreszcz go przebiegał jakiś. Modlącemu mieniła się blada twarz, oczy jaśniały blaskiem dziwnym, piękniejszym się stawał, innym. Jarmierzowi zdało się, że jakaś jasność otaczała głowę młodzieńca. W cichości, na palcach, z trwogą cofnął się z szopki i przystanął w jej progu, nie mogąc myśli własnych pochwycić wątku.

Własta mu żal było, a ciekawość gorącą obudzała ta wiara jakaś tajemnicza, co taką dawała siłę, takie męstwo słabej istocie, taką pogardę wszystkiego, co człowiekowi najdroższe. Stał u słupa wsparty, niemy, aż dopóki westchnienie i ruch nie oznajmiły mu, że Włast wstał i zabierał się do spoczynku. Naówczas i Jarmierz zwłókł się na swe posłanie, nie mówiąc słowa, okrył oponczą i nie mogąc zmrużyć oka, pozostał tak aż do dnia brzasku.

Następnego dnia Luboń, który nalegał ciągle na syna, aby się przyuczał

do męskiej zabawy i kazał Jarmierzowi jechać z nim na łowy w las, sam po dniu wczorajszym czując się znużony. Zbudził więc towarzysz zawczasu Własta, który pomodliwszy się, posłuszny jechać z nim musiał. Dodano im psy i kilku ludzi w pomoc i nim rosa oschła, a we dworze żywszy się ruch rozpoczął, ruszyli z Krasnejgóry wprost lasami do ostępów, w których zwierza się znaleźć spodziewali. Włast jechał milczący, jak gdyby jeszcze się modlił, Jarmierz za niego i za siebie łowów musiał dozierać, gdyż z próżnymi rękami

powracających Luboń, sam łowiec doskonały, ścierpieć nie mógł.

Granice puszczy naówczas nie były tak ściśle oznaczone, jak później, a panującemu służyło prawo łowów wszędzie, gdzie chciał. Byli właśnie w ostępie wskazanym przez ludzi, w którym stado kóz na pewno znaleźć mieli, gdy Jarmierz przodem ciągle podążający zawrócił się nagle ku Włastowi i znak mu dał, aby się zatrzymał; pachołcy też towarzyszący im, a z boku straż trzymający, cofnęli się nagle jakby przestraszeni. Włast nie wiedział, co by to oznaczać miało, gdy towarzysz nadbiegłszy,

szepnął mu, że Mieszko właśnie w tej puszczy polował. Musieli więc niezwłocznie uchodzić i szukać sobie gdzie indziej zwierzka.

Jeszcze rozmawiali z sobą, gdy zza gęstwiny ujrzeli wychodzącego

knezia, za którym Dobrosław kroczył. Oba zdawali się więcej zajęci rozmową niż myślistwem. Orszak łowiecki knezia pozostał był w tyle, a Mieszko uważnie się przysłuchiwał, co mu towarzysz opowiadał. Mieli już ustąpić, gdy kneź

podniósł głowę i Własta zobaczył. Poznał go zaraz i po namyśle skinął nań.

Młodzieniec, z konia zsiadłszy i zdjawszy z głowy okrycie, pieszo się zbliżył do knezia, który stał, lekki oszczep trzymając w ręku. Dnia tego na łowach odziany bardzo po prostu, mimo sukni szarej i czapki, jaką wszyscy nosili, bez żadnych oznak dostojności, Mieszko przecież tak pańsko wyglądał, że w nim władającego krajem wodza poznać było łatwo.

Dobrosław też wojacką i piękną miał postać, ale gasł przy tym silnym i rozkwitłym bujnie mężu, który samym wzrokiem wrażał posłuszeństwo.

Na pytanie, co w tym lesie poczynał, Włast rzekł, iż z rozkazu

ojcowskiego na łowy jechał.

Wyślijcież łowców swych, gdzie chcą rzekł Mieszko a sami, gdy już tu jesteście, zostańcie przy mnie.

Choć nie bardzo rad rozkazowi pańskiemu, Włast szepnął słów kilka

Jarmierzowi, który natychmiast ustąpił ze swymi, a sam za Dobrosławem stanąwszy, nie wiedząc, gdzie się podziać ma i co czynić, pozostał, czekając dalszego rozkazania pańskiego.

Chociaż na łowach byli, nie zbierało się na żadne myślistwo. Dwór

pozostawiwszy za sobą, Mieszko szedł, jakby przechadzki używając, rozmową z Dobrosławem zajęty. Ustała ona, gdy Własta postrzeżono; Mieszko stanął, jakby namyślając się, wiszący na ramieniu róg mały do ust wziął i parę razy się ozwał.

Zaszumiały wnet gąszcze z obu stron i liczna gromada nadbiegła. Kneź zawołał

do siebie Stogniewa. Stali właśnie na małej łączce zewsząd drzewami ocienionej. Mieszko się obejrzał dokoła; ziemia była wilgotna. Kazał z koni zdjąć sukno, pościć je na trawie i legł na nim. Przyniesiono kobiałkę z pieczonym mięsiwem i baryłkę miodu, którą przed kneziem ustawiono.

Dobrosław i Włast stanęli opodal nieco.

- Stogniew, - rzekł kneź, - wy poprowadźcie łowy, ja spocznę. Dobrosław i Włast Luboniów zostaną przy mnie. Jeśli na nas napędzicie zwierzynę, tym lepiej, a nie...

Ruszył ramieniem i skinął ręką.

Zrozumiawszy wolę knezia, Stogniew skoczył do ludzi, co się z dala byli kupą ścisnęli i począł wydawać rozkazy. A nim krótka upłynęła chwila, kneź

sam pozostał z towarzyszami dwoma. Oczyma zmierzwszy baczenie dwór swój, który spiesznie i wrzawliwie w las pędził, Mieszko popatrzał na Własta, jakby go okiem chciał wybadać i zbliżyć mu się rozkazał.

- Tyś był między chrześcijanami? - zapytał. - Długo?

- Dwanaście lat, Miłościwy Panie - odparł Włast.

Poruszył głową Mieszko.

- Znasz więc ich dobrze?

- Lepiej, niż teraz mój własny kraj, - odezwał się zapytany.

Zdawało się, że jeszcze pytanie jakieś na ustach knezia krążyło; z trwogą Włast myślał o tym, co pocznie, jeśli go spyta, azali i on chrześcijaninem nie został. Sumienie nie dozwalało mu zaprzeczyć się Chrystusa, a wyznając wiarę nie miałże, jak ci, o których mu opowiadano w Rawennie, cierpieć za nią męczeństwa i śmierci? Myśl ta przeleciała błyskawicą i zrodziła w nim raczej dumę niż trwogę.

Ale kneź, którego warga się już poruszyła, zamilkł; nie zadał mu tego pytania. Przytomny Dobrosław pobladał był, spoglądając na Własta. Nie można było odgadnąć, co myślał Mieszko o chrześcijaństwie.

Obok zamku wszakże stała kontyna pogańska Jessego i kneź chadzał do niej, wyroczni pytał, wieszczków słuchał, obyczaj zachował stary. Wiedziano jednak od ludzi, że ilekroć trafiło się obcego spotkać i takiego, co z chrześcijanami i chrześcijaństwem obcował i mógł je lepiej poznać, kneź

troskliwie się dopytywał, badał, szczegóły sobie opowiadać kazał, a potem zamyślał dziwnie. Lecz w naturze miał to Mieszko, że do czynu skorszy był niż do słowa i nie mówił ani się zwierzał nigdy nikomu, co miał począć, wręcz rozkazy dając bez namysłu. Myśli też jego odgadnąć nie śmieli, nawet najbliżsi; Stogniew przyznawał się, że ilekroć domyślać się chciał, omylił się zawsze.

Po tym pytaniu, które na wardze umarło, Mieszko pomilczał chwilę,

Własta kilkakroć oczyma jeszcze przemierzył z ciekawością, i obrócił się do Dobrosława.

- Mów, - rzekł, - jak ci się zdało! Są oni więksi i silniejsi od nas na Hradczynie, Bolesławy te czeskie, są oni bogatsi? Są oni nam straszni?

A gdy Dobrosław z odpowiedzią się ociągał - dodał:

- Tak jak Niemcy jedną głowę mają, cesarza i jedną stolicę, tak naszej mowie trzeba jednego pana i jednej ręki, inaczej nas Niemcy zjedzą.

- Maż Bolesław tę siłę, aby nas zagarnął wszystkich i mnie? - mruknął

Mieszko, ostatni wyraz prawie niedosłyszczanym wymówiwszy głosem. - Mów, a nie kłam mi pochlebstwem. Tych, co mi nogi liżą, mam dosyć.

Dobrosław oczy trzymał w ziemię wlepione.

- Miłościwy Panie, - odezwał się z wolna cedząc słowa, - jeżeli siłę na setki i tysiące wojowników liczyć mam, to ich nie rachował, nie wiem; jeżeli na rozum, to mi Bolesław nie zdaje się mędrszym nad innych. Przecież on jedno wie, iż Niemców pobić trzeba się u nich uczyć samych. Dlatego od nich nie stroni, często się łączy z nimi, kłania się im, ale tylko dlatego, aby ich zmógł

lepiej.

- I przeto przyjął ich wiarę? - spytał Mieszko, w oczy patrząc

Dobrosławowi.

Na odpowiedź nierychło się zebrał zapytany i rzekł:

- Nie wiem...

Milczeli trochę, a kneź jadł i popijał, uśmiechając się jakby sam do siebie.

- Gdyby nas dwu poszło w zapasy z Bolkiem o lepszą, zaczął, jak ci się zda, kto by z nas został powalony?

- Kto losy wojny może zgadnąć? - odparł Dobrosław. - Ale po cóż wojnę poczynać?

- Hm, wojna się sama począć może, nie poczynana przez nikogo. A co

tam o nas trzymają?

Dobrosław zawsze z wolna zbierał się na odpowiedź.

- Wiedzą, że Miłościwy Pan silnym jesteś, ale oni, kto się do chrześcijan nie liczy, groźnym nie sądzą.

- A dawnoż oni do nich przystali? - zawołał Mieszko szydersko. -

Drahomira, matka Bolkowa i on, jeszcze się oboje kłaniali swoim bogom...

Alboż Bolko chrześcijaninem jest? - dodał Mieszko. - Albo brata, co nim był, za to, że nim był, nie zabił?

- O tym na dworze knezia mówić nie wolno, a szepczą różnie - rzekł

Dobrosław. - Waclawa zamordowali dworscy Bolkowi sądząc, że na ich pana życie nastawa!

- A Ludmiłę, - podchwycił Mieszko szydersko.

- Spraw tych nie wiem dobrze - odezwał się Dobrosław - ale to wiem, com na swe oczy oglądał, że Bolko do świątyni nowej na Hradczynie chodzi i wiarę swą trzyma.

Mieszko nieco podniósł głowę i zwrócił ją ku Włastowi.

- A ty? - zapytał. - Powiedźże mi ty, co chrześcijan znasz, jaka ta wiara ich jest? Ciężka? Straszna?

Niespodziewanie pochwycony pytaniem tym, Włast oniemiał zrazu, nie

wiedział, co rzec ma, modlił się w duchu o natchnienie i sam nie wiedząc prawie jak, odezwał się z zapalem:

- Miłościwy Panie, wiara to jest, co zaprawdę człowieka szczęśliwym czyni, zbroją mu jest, karmą mu jest, światłem i siłą!

Słyszając te słowa, Dobrosław pobladł, ale z poszanowaniem spojrzął i z trwogą niemal na natchnionego młodzieńca. Kneź też, nie spodziewając się odpowiedzi tak śmiałej, oniemiał na chwilę, oczyma przelękłymi zmierzył

mówiącego i mruzczał coś sam do siebie. Włast stał gotów choćby na męczeństwo.

- Mówią, odezwał się, że człowieka ona dręczy i morzy, i wzbrania mu wszystkiego, prawda li to jest?

Młodzieniec, który już raz czując się natchnionym z góry, ważył się choćby na życia utratę, nie mierzył ani ważył słów swoich.

- Miłościwy Panie - począł - gdy dzikiego konia bierze z pola człowiek albo sokoła z gniazda, aby go nauczył rozumu i dał mu siłę, musi go morzyć głodem, bezsennością i znużeniem; tak wiara ta czyni z człowiekiem dzikim, aby z niego zrobiła istotę nową na obraz boży.

Mieszko zmarszczył brwi, powtarzając dziwnym głosem:

- Na obraz boży, na obraz boży! Coś ty rzekł?

- Tak uczy ta wiara! - powtórzył Włast.

Kneź oczy spuścił i zadumał się. Zdawało się, że zapomniał na czas jakiś, kędy był, z kim i co go otaczało. Milczał zatopiony sam w sobie. Włast stał

przestraszony razem i sobą dumny.

- Na obraz boży! - powtórzył raz jeszcze Mieszko. - Więc ta wiara daje człowiekowi siłę nadludzką?

- Tak jest, Miłościwy Panie - rzekł Włast.

- I zwycięstwo, i potęgę, i panowanie? - mówił Mieszko.

- Daje, gdy człowiek na nie zasłuży.

- A czymże je kupić może? - pytał Mieszko.

Włast milczał nieco.

- Miłościwy Kneziu - rzekł - nie w kilku słowach da się zamknąć ta wiara, pełna tajemnic i cudów, ani ją usta ludzkie wypowiedzieć zdołają łatwo. Cuda ona sprawia, lecz na nie ciężko pracować potrzeba!

- Ale je za skarby też i bez pracy kupić można? - rzekł kneź.

- Nie, - odparł Włast. Złoto i skarby są tam rzeczą pogardzoną i marną.

Mieszko przestał pytać. Zdawało się, że się lękał oczów zwrócić na śmiałego chłopca. Wzrok skierował ku Dobrosławowi znowu.

- Zaszataliście sobie dziewczkę na dworze Bolkowym, mówią ludzie, -

odezwał się nieco zniżając głos. - Musi to prawdą być. Pojedziecie do Pragi, na Hradczyn?

- Czyżbyście Miłość Wasza mi zabronili tego? - spytał Dobrosław.

- Nie bronię - rzekł Mieszko, - Owszem, posłem chcę was mieć. Jedźcie do Pragi, ale nikt o tym wiedzieć nie ma, co rzeknę.

Zwrócił się do Własta, dając mu znak, by i on milczał.

- Ani mówcie, zem ja was posłał na zwiady - kończył Kneź - ale od siebie na dworze pytajcie, azaliby nie radzi mnie tam byli. Azaliby Bolko z Mieszkiem nie podali sobie rąk i nie połączyli się przeciw wspólnemu wrogowi? Mówcie od siebie, nie ode mnie, bo się nie godzi, abym ja prosił; mnie tylko rozkazywać przystało. Zrozumiejcie ich. Gdybym przybył do nich, jak by mnie oni przyjęli?

- wzrokiem dokończył kneź. - Rozum miejcie, - dodał.

- Uczynię wedle rozkazania - z radością prawie odezwał się Dobrosław.

- I nikt o tym wiedzieć nie ma! - powtórzył kneź.

Tych słów dokończywszy, podniósł się rześko Mieszko, stanął, podparł w boki i uszu nadstawił.

Od kilku chwil już psów głosy na ostępie słychać było i zdało się, jakby się one zbliżały coraz. Mieszko oszczep wziął do ręki i nakazał milczenie. Las grał z dala ogarów gonem. Z okiem zaognionym kneź pospieszył kroków kilkanaście naprzód. Rozmowa, którą toczył przed chwilą, zdawała się już zapomniana, cały był w łowach; nie patrzył nawet na Własta i Dobrosława, którzy za nim pozostali, czekając rozkazów. Coraz wyraźniej słychać było pogoń za zwierzem, chrzęst gałęzi i okrzyki. Mieszko za grubym pniem dębu stał z niecierpliwością namiętnego myśliwca.

Wtem w krzakach chrapanie i łomot się dał słyszeć tuż prawie; stary dzik ze spienionym ryjem wypadł dysząc z gęstwiny wprost na knezia i w tejże chwili oszczep jego tkwił już głęboko, ciśnięty silną dłonią, w zakrwawionej bestii, która rzuciwszy się, wściekła biegła na Dobrosława. Miał i on oszczep w rękę i uskoczywszy nieco, uderzył nim na dzika. Włast ustąpił nie wiedząc, co ma czynić, lecz tuż nadbiegali kneziowscy ludzie, którzy rozjuszone stworzenie chwycili i przytrzymali; psy też rzuciły się na pastwę i dzik legł zwyciężony na ziemi.

Radosny okrzyk ozwał się po lesie. Kneź, z dala patrząc obojętnie,

Stogniewowi kazał konie podawać i łowy na ten dzień były skończone. Już na konia wsiadłszy, Dobrosławowi rzekł kneź, aby do domu wracał, a Włastowi za sobą jechać polecił i cały orszak, zebrawszy się w gromadę, milcząc po suwał

się ku grodowi do Poznania.

Rozdział 5.

Gród wznoszący się na prawym brzegu Warty, nad Cybiną, nie odznaczał

się na oko wspaniałością wielką, ale rozległy był dosyć i warowny, choć mógł

się nie lękać napaści, bo go samo oddalenie od nieprzyjaciół broniło. Wysoki wał opasywał go z dala, ostrokoły i tyny obejmowały drugim kołem, domostwa jednak w nim zawarte były z drzewa, i stołbu nawet murowanego nad nim nie było widać. Ziemny usyp obejmował razem kneziowskie dwory, świetlice, komory, stajnie, świrnie, odryny, szopy i nie opodal od rzeki odosobniono stojącą świątynię Jessego, którą maleńki gaj prastarych drzew otaczał, tak iż jej z dala prawie z pośrodka zielonych gałęzi widać nie było.

Zbudowana wzorem innych kontyn, opierała się na słupach rzeźbionych i malowanych, między którymi sukienne opony ściany zastępowały. Za nimi dopiero był przybytek osobny, kapłanom tylko dostępny, drewnianymi ścianami zamknięty. W pośrodku chowano stanice wojenne, noszone na wysokich tykach bogów posążki, które miasto chorągwi służyły; tu wróżbici i gęślarze, będący na straży, przyszłość opowiadali za pomocą ognia, wody i ziemi. Nie rozkazywał tu nikt okrom samego pana, który razem był władcą świątyni i zamku. Pod jego rozkazami stali ci wróżbici, wieszczkowie, śpiewacy i wszystka posługa przy chramie. Gaj święty, który go dokoła otaczał, stanowił granicę, której swawolnie przekroczyć nikomu się nie godziło. Świątynia była zarazem skarbcem wojennym i książęcym. Przy niej straż stała dzień i noc, przemieniając się nieustannie.

Od niej na gród i dwór Mieszków nie było daleko. Zalegały domostwa

pańskie przestrzeń znaczną, a pobudowane były wszystkie na kamiennych podkładach, z drzewa grubego, ciosanego i wyrzynanego misternie,

malowanego w barwy kraśne. Gdzieś wyrobiona dziwnie głowa potworna jakiegoś zwierzęcia wznosiła się u dachu i przyczółków.

Od przodu dworu były izby i komnaty rozleglejsze, z ławy i stołami dla zgromadzeń większych przeznaczonymi; w każdej z nich na stopniu

podwyższonym stało siedzenie pańskie, czyli stolica kneziowska, suknem krasnym okryta. Wielka w niektórych sprzętach prostota łączyła się z przepychem i bogactwem dziwnie od niej odbijającym. Tam, gdzie zwykle biesiadowano w dni uroczyste, kute jakby od siekiery i młota leżały i stały mnogie naczynia ciężkie, ze srebra a nawet złota, niektóre kamieniami ledwie ogładzonymi nasadzone.

A ktoby zajrzał do tego skarbcza, gdzie łupy wojenne składano, zdziwiłby się mnogości niezmiernej na stosy zrzuconych naczyń, blach i sztab kruszców drogich. I na orężu też nie zbywało, jeśli nie dla całych zastępów, to dla pańskiej drużyny, zdobytym w części na pobitych Niemcach lub przybyłym ze Wschodu i Zachodu. Spotykały się tu razem rzymskie oręża dawne i wschodnie z Azji przyniesione, kaftany łuskami naszywane gdzieś ręką wprawną i kawały blach zbroi miedzianych a żelaznych, łuki znad Czarnego Morza, topory normandzkie, siekiery nadreńskie, miecze z krajów, których imienia nikt tu nie znał, wyroby Północy i Południa, włoskie i scytyjskie, z czasów różnych, z światów wielu, drogami handlu i wojny zwleczone na kupę.

Dwór książęcy był liczny, bo stanowił przyboczne wojsko jego. Co

najlepsi wojacy stać tu musieli zawsze w pogotowiu, tak jak po innych grodach, przy żupanach i starostach, inne oddziały czekały ciągle na zawołanie z panami swymi. A gdy na wojnę iść było potrzeba, skinął tylko Mieszko, wychodząc ze swoim, aby inni za nim szli, i ciągnęło się, co żyło. Liczba tych pułków co roku rosła i zwiększała się, ale co roku też i niebezpieczeństwo od Niemców, już panujących za Łabą po Odrę, powiększało się i mnożyło. Z margrafami u granicy, wdzierającymi się we wnętrze, walka była nieustanną.

Serbowie nadłabiańscy coraz się bronili słabiej, wiele plemion znękanych przystało do wrogów i z nimi chodziło przeciw swoim na łupieżę; cała wkrótce waga niemieckich sił, sprzymierzonych z Czechami, na Polanach i Mieszku miała zaciężyć. Czuł kneź, że się tu ważyły teraz losy ludów jednego rodu i języka i że on albo miał je obronić od zagłady, albo paść z nimi.

Najeżdżane też miry polańskie wszystkie już nie o starych swoich

swobodach myślały, ale o własnej obronie i choć kneziowska moc rosła, wołały jej ulegać, niż w jarzmo iść niemieckie.

Na rozdartych ziemiach Słowian działo się różnie, walka wrzała ciągle.

To się Niemcom poddawano z haraczem, to się burzono i opierano, szli jedni hołdować i chrzest przyjmowali, drudzy się łączyli ku obronie. Pokoju godziny nie było. Samopas większa część plemion ratowała się, jak mogła, w kupę się zebrać nie umiejac. Każdy z małych wodzów chciał wielkiej władzy. Ze starych czasów pozostały właśnie graniczne między jednoplemiennymi, które teraz w wojnie z wrogiem odżywały. Gdy Morawy i Czechy już się były zlały w państwo jedno naprzeciw nieprzyjaciołom, chytrą walcząc z nimi, Polanów dopiero Mieszko skupiał, aby szli razem, sięgając i po dalsze, rozbite plemiona.

Od lat już wielu nad Cybiną stało to ognisko, w którym się wszystko przygotowywało, co gdzie dokoła lub zwłaszcza między Wartą a Odrą dziać się miało. Na osobnych grodkach siedzący kneziowie mniejsi poddali się władzy Mieszka, bo ich, karcąc, do tego przymusił.

Na samym grodzie i poza wałami jego, w szopach i chatach, w chizynach i na dworach, szeroko rozłożonych nad Wartą, u prawego jej brzegu, mieszkał

żołnierz kneziowski, setnicy i tysiącnicy. Obok niego ci, co rzemiosło na zamku potrzebne sprawiali, lud od stróży, od posług, od posyłek, od łowów i od wszelkich powinności pańskich, niewolnicy i parobcy. A choć miasto było niepozorne i szare od ścian drewnianych postarzałych, zajmowało już przestrzeń znaczną. Na targi też tu przybywali kupcy z towarem różnym z daleka, ze Wschodu i Zachodu. Ludność się na tysiące liczyła, cała grodowi pańskiemu służąc i podlegając.

Starszyzna wojskowa dalej też siedziała w lasach, po dworach swych i grodkach, nad brzegami rzek i jezior osadzonych.

Przyboczny dwór pański równie był mnogi dla okazałości i wygody. Co najdoborniejsza młodzież stała u boku knezia, mieszkając w podwórzach grodowych. W głębi oddzielone od tej części, pod pilną strażą i zawarciem, siedziały żony pańskie i służba ich niewieścia.

Życie tu wiodło się obozowe więcej niż dworskie, wojacze, bo każdej godziny wszystko pogotowiu być musiało siadać na koń i lecieć, gdzie o niebezpieczeństwie od nieprzyjaciela znać dano. Czasem też, gdy wieść przyniesiono, że Niemcy się nad Łabą pospali, albo na Pomorze bezpiecznie wtargnąć było można, gdy jaki wódz a książątko przywlokło się, o pomoc prosząc i prowadzić obiecując, z dnia na dzień ruszało z grodu, co żyło, ledwie w nim garść na obronę zostawiwszy. Dniem i nocą bieżono nad granicę, za rubieże, dla łupu i postrachu. A powracano różnie; raz z łupem i radością wielką, z niewolniki w łyka powiązanymi, czasem nocą w garści małej, pokrwawionej, za którą się zawstydzone kupki wlokły powoli.

Bywało różnie, chociaż za Mieszka lepiej się szczęściło, bo był i mężny, i przebiegły wielce, na lada się posłuch nie kwapił, dobrze ważył, nim się porwał.

Pan był milczący, ale gdy dobył głosu, a krzyknął, drżało, co ten głos usłyszało, i biegało, co żyło.

Tego wieczora, gdy z łowów nad Cybinę powrócono, a z orszakiem

pańskim blady i niepozorny Włast nadciągnął, zebrała się w podwórzu kupka koło niego niemała, bo go tu nikt jeszcze nie widział i odgadnąć nie umieli, po co go tu ściągnięto. Nie wyglądał ów gość na

wojaka, ani na możnego władcykę, odziany był niepocześnie, patrzył na ludzi nieśmiało. Któż mógł zgadnąć, na co się on tu zdał!

Stogniew ciekawej gawiedzi gęby pozamykał przecie, szepnąwszy, iż był

synem Lubonia, że długo u Niemców w niewoli przesiedział, więc i wszystkie ich tajemnice znał, a tym się mógł przydać kneziowi.

Własta zdał Mieszko na ręce Stogniewowi, poleciwszy, by o nim

pamiętał. Niemniej jednak w pierwszej chwili, gdy Kneź poszedł do swych niewiast jeść i spoczywać na drugie podwórze, a Stogniew dworem rozrządzić miał, Własta został sam na przedsienu pod słupami, siadł na ławie, rozglądał się i nie bardzo wiedział, co miał czynić. Gawiedź się była wszystka rozeszła. Kilka psów, siadłszy naprzeciw niego, obcemu się przypatrywały pomrukując. Wtem od wałów wolnym krokiem przywłókł się człeczyna, który nieznanego zoczywszy na ławie, przybliżył się do słupów prawie, by mu się pilniej przypatrył. Własta też mógł on zaciekawić, bo nie wyglądał jak drudzy, a odgadnąć było trudno, co na kneziowskim dworze robił.

Pięknym wcale nie był, krępy bardzo i zsiadły, nogi miał trochę krzywe, łeb duży, kręcącym się czarnym włosom pokryty. Z ust dobywały mu się dwa kły, dziwnie wyrosłe tak, że wargi ich przysłonić nie mogły; nawet, gdy gębę zaciskał, sterczały z niej żółte kości, nadając twarzy niby wyraz dzikiego śmiechu. Ogromne ręce, silne, grube, pięści jak młoty, kark krótki i żyłasty, pierś wydatna, szeroka, wszystko mu jakąś zwierzęcą nadawało cechę. Czoło też miał bardzo niskie, a ślepia świecące jak u kota. Dłonie, które ściśnięte trzymał, nie przymykały się zupełnie, bo ogromne, rysie pazury nie dawały się im stulić.

Sterczały one długie, pozawracane, spiczaste, ostre, jak oręż do obrony. Prosta gunia okrywała ciało obrosłe włosom, na nogach miał grube płócienne spodnie i nędzne, wykoszlawione chodaki. Takie potworne stworzenia chowali wówczas radzi panowie do posług, tak samo jak oswojone niedźwiedzie i przyłaskawione wilki.

Gdy psy siedzące u słupów zobaczyły go zbliżającego się, ogony

wziąwszy pod siebie, uszły mu zaraz z drogi i pokładły się dalej, jakby go się lękały. Dziki człek, bo na takiego wyglądał, podszedł tuż do Własta i zuchwale ze wszech stron począł mu się przypatrywać.

- Coś ty za jeden, he? - zamruczał wreszcie. Ty, jakiś...?

Spokojnie i łagodnie młodzieniec się zwrócił ku niemu.

- A ty? - spytał.

- A ja? Toć widzisz... Jestem od psów, od padła, od stryczka, od gnoju i od śmiecia. Nazywają mnie Psiajuchą, a ciebie?

- Cóż ci przyjdzie z nieznanego nazwiska? Daj mi pokój! - odparł Włast. -

Nic nie masz do mnie...

- E, a kto wie? Skądżeś ty?

- Z Krasnejgóry.

- To przecie nazwisko nieobce - odezwał się Psiajucha. - Ty musisz być Luboniów sługa.

- Lubonia syn.

- Oho, oho! - rzekł pacholek i skłonił się szydersko. - Tylko bieda, że Luboń syna nie ma.

- Nie miał go - rzekł cierpliwie Włast - ale mu on powrócił.

Chciał się pozbyć natręta, trudno to było; Psiajucha stał z założonymi rękami i wpatrywał się uparcie.

- Chuderlawe to, - począł mruzczyć jakby sam do siebie, - blade, mizerne...

Po co się to tu zda? Komary go zadziobią, a chleb będzie żarł tak jak drudzy!

Włast spojrział nań; obrzydły pacholek ani się ruszał.

- Nie będzie tu z niego pociechy żadnej, ani babom nawet, bo to

wymokło... One by się gzić rade, a to ledwie dysze... Po co to tu wzięli? Ja go do pomocy nie przyjmę. Hej, - ozwał się głośniejszym głosem, pełniąc swój obowiązek błazeński - miłościwy Luboniów synu, władko, nie wiecie, po coście tu przybyli?

- Z Panem Miłościwym przybyłem - odezwał się Włast, choć miał wstręt do tej rozmowy.

Posłyszawszy to, pacholek mruknął i oddalił się. Nie było go dosyć długo i już Włast sądził, że się go pozbył zupełnie, gdy z wolna przywłókł się na powrót Psiajucha, stanął na przeciw niego i w milczeniu przypatrywać mu się zaczął znowu.

- Toś to ty u Niemców w niewoli przez dwanaście lat był? - ozwał się nagle. - Hej?

- A byłem, - sucho odparł Włast.

- O! I pewnie nową wiarę u nich wzięłeś, dodał pacholek. A z nią tutaj pójdziesz na gałęź! Na gałęź!
Na gałęź!

Włast mu na to nie odpowiedział.

Psiajucha, wykrzywiwszy się strasznie, obie pięści nastawił, zębami zgrzytnął i jeszcze parę razy powtórzywszy: - Na gałęź... nogami aż tupać zaczął.

Nie postrzegł tego, że Stogniew, od dawna go widząc dokuczającego

przybyłemu, wysłał chłopaka z biczem, a ten, z tyłu zaszedłszy, smagnął go parę razy z całej siły po nogach. Zrazu chciał się nań porwać Psiajucha, ale postrzegłszy Stogniewa, odwrócił się, zaskowyczał, zęby mu pokazał, kłapnął

nimi parę razy i uciekł. Psy ruszyły się i ujadać za nim zaczęły.

Takie było pierwsze na dworze pańskim Własta przyjęcie. Pozostał potem długo zapomniany w przedsienu, dopóki go Stogniew nie zabrał z sobą do izby, gdzie wieczorny zastawiono posiłek. Znalazło się ich tu trzech starszych ze dworu, którzy razem do stołu zasiedli. Włast, najpokorniejsze miejsce zajmawszy, siedział milczący. Spoglądano nań niemal z politowaniem jakimś i pogardą.

W mężczyźnie, za tych wieków wojen i siły, pierwszą była zaletą siła pięści i zręczności, a że Włast słabowito wyglądał, nie budził też poszanowania dla siebie, choć wiadano, że był synem możnego człowieka. Stogniew i towarzysze jego, Róslaw, pański podczaszy, i Misław, sotnik od straży, spojierali nań ze wstrętem; wiedzieli, że długo był z Niemcami, mieli go niemal za wroga. Dziwno im było, że kneź na dworze go chciał mieć.

- Ano ozwał się w końcu, jakby ulitowawszy milczącemu, Stogniew jakże wam po niemieckiej niewoli u nas się wydaje?

- Niewielem ci ja widział jeszcze oprócz domu pana rodzica mojego, -

rzekł Włast.

- Widzieliście tam u nich murowane grody kamienne, - odezwał się drugi szydersko. - Musi wam po nich być tęskno. Ale te gnuśniki w ciepłym kącie siedzieć lubią i kryją się po norach, a my, dziś tu, jutro tam. Nam drewnianej chałupy dosyć.

- Prawda, grody u nich piękne są - rzekł Włast - dostatek wielki, ale choć wygody lubią, oni też wojować umieją.

- Lepiej od nas? - podchwycił Misław prawie gniewnie.

- Jam nie wojak - odparł Włast. - Na tym się nie znam.

- A na czymże wy się znacie? - zapytał Stogniew.

- Byłem w niewoli - odezwał się Włast, ośmielając się i ciągle spokojnie mówiąc. - Będąc w niewoli, czyniłem po niewoli to, co mi kazano, służąc i sokołom, i koniom, i ludziom.

- Jakżeście się na swobodę dostali?

- W końcu widząc, że im na niewiele przydał, dali mi ją sami, -

mówił zapytany. - Użyłem jej, aby do domu powrócić.

- A doma? - dodał Stogniew. - Doma u was trzeba takiego jak Luboń

wojaka. Cóż wy tam robić myślicie?

- Co mi pan rodzic każe.

Pokora ta i spokój, z jakim odpowiadał na nieco szyderskie pytania syn Lubonia, ton, do którego ci ludzie nawykli nie byli, czynił na nich dziwne wrażenie. Rosław i Miśław śmieli się uzuchwalać; a widząc takiego bezbronego, słabego człeka, który się nawet zagniewać nie umiał, Stogniew czuł nieco litości. Półgębkiem czynione żarciki z biednego chłopaka wywoływały mu rumieniec na lica, cierpiał, ale milczał. Posiliwszy się nieco, już chciał wstać, by odejść i uwolnić się od tych towarzyszków, gdy komornik książęcy, sługa izdebny, wszedł, pozywając go do Mieszka. Zmieniło to nieco usposobienia dwóch butnych wojaków, a Włast żywo i z wielką ochotą, pokłoniwszy się im, z izdebny pośpieszył.

Mieszko był jeszcze w drugim podwórzu, gdzie niewiasty jego mieszkały i sypialnię miał, w której spoczywał.

Pierwszy dziedziniec wewnętrzny, pełen psów i wrzawy, przeszedłszy, przez wrota zawsze zamykane, u których straż stała, wprowadził go komornik na drugie podwórze. W pośrodku jego był ogródek zielony i drzewa. Tu zaledwie zaskrzypiały drzwi, z otwartych okien w lewo ujrzał Włast powychylane głowy w białych chustach młodziuchnych niewiast, z uśmiechem przypatrujących mu się ciekawie i dających znaki prowadzącemu go

komornikowi. Chichotania stłumione dały się słyszeć; kilka strojnych dziewcząt wyrwało się ze wnętrza, aby się śnać obcemu przypatrzeć lepiej. Komornik prędko wskazał mu drogę na prawo, pod słupami, które podsienie dokoła podpierały. Przez wielką sień potem weszli do obszernej izby, w której na ławach siedziało i leżało kilkunastu, tak jak ten, który Własta prowadził, przyodzianych komorników, a oprócz tego straż się znajdowała zbrojna. Izba na słupach drewnianych sparta, które ją na dwoje dzieliły, okopcona od dymu, z ogniskiem ogromnym, wygasłym teraz, cichą była i milczącą. Przeszedłszy ją i drugą mniejszą, pustą, w której stał oręż przy ścianach, a na nich wisiały łuki, obuchy, proce i tarcze, uchyliły się drzwi do komory Mieszkowej.

Kneź leżał wyciągnięty na skórkach niedźwiedzich, z rękami pod głową założonymi, na wpół uśpiony. Zwrócił oczy ku wchodzącemu i nie wstając dał

mu znak, aby się przybliżył. Komornik, drzwi zamknawszy, zniknął.

Jakiś czas panowało milczenie. Mieszko westchnął parę razy, podniósł się z wolna, siadł na łożu i rzekł, przypatrując się Włastowi:

- Tej nowej wiary niemieckiej jestem ciekawy. Ty ją znać musisz... Mów mi o niej. Wszak Bóg ich Chrystus się zowie?

- Tak, Miłościwy Panie, - począł Włast z wolna, (pytanie to rozradowało mu duszę). - Tak, Chrystus był Bogiem na ziemi i powrócił do niebios, skąd zstąpił na nią. Zszedł On, by nowe prawo przyniósł z sobą i zaszczepił go krwią swoją pomiędzy ludźmi...

- Tak, wiem... Był zabity... zamęczony... - rzekł Mieszko.

- I zmartwychwstał! - dodał Włast.

Kneź, usłyszawszy to, podniósł nań oczy z wyrazem niedowierzania i przestachu.

- I czynił cuda wielkie? - zapytał cicho.

- I czyni je ciągle, - dokończył Włast.

Mieszko, jakby własnego lękając się głosu, oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się cicho bardzo:

- Tyś chrześcijanin?

Serce silnie uderzyło Włastowi. Pomimo, że głos ten nie był, a

przynajmniej nie wydawał mu się groźnym, nie mógł być pewien, czy

przyznając się, nie wyda na siebie wyroku śmierci. W tej chwili osłabienie ducha na myśl mu przyszło, jak by dla uniewinnienia kłamstwa, trzykrotne Piotrowe zaparcie się Mistrza. Drgnął, odpychając to jak pokusę nieczystą, i wnet mężnie, zwyciężając niemoc i obawę, rzekł:

- Jestem nim, Miłościwy Panie! Jestem nim i Choćbym za to cierpieć miał

i życie utracić, zaprzeć się nie mogę Boga mojego.

Zdumiony Mieszko, milcząc długo się w natchnionego młodzieńca

wpatrywał.

- I nie lękasz się śmierci? - zapytał.

- Nie, Panie, bo mnie po niej czeka żywot wieczny i wieczna

szczęśliwość.

- Żywot wieczny! - mruknął Kneź wstając. - Jesteśże ty pewnym?

- Miłościwy Panie - zawołał Włast, nabierając coraz więcej odwagi, - Bóg nam go przyrzekł!

Z dziwnym wyrazem twarzy, na pół szyderskim, półtrwożliwym, Kneź

rzucił się na łożo i zadumał głęboko.

Milczenie przykre trwało długą chwilę.

- A cuda ty umiesz czynić? zapytał.

- Nie, Panie, bo ich żaden człowiek nie czyni, - rzekł Włast, - tylko Bóg; a ten, przez kogo Bóg czyni cuda, musi być godnym jego łaski. Jam jej nie godzien.

Tego Mieszko nie zdawał się rozumieć dobrze.

- Przecież są tacy chrześcijanie, co czynią cuda? - odezwał się.

- Są, Miłościwy Panie, ludzie święci, przez których Bóg nasz je czyni.

Znów długo Mieszko się zadumał, położył na swoim po śłaniu i zdawał

zupełnie zapominać o Właście. Młody chrześcijanin z bijącym sercem stał i czekał. Nie mógł rozpoznać z twarzy pana, czy był gniewnym i miał go odepchnąć, skazać na więzienie, na śmierć, na chłostę, czy bezkarnie go puścić.

Widocznym tylko było, że Kneź z podbudzoną ciekawością go słuchał.

Od chrześcijan przeszedł nagle do cesarza.

- Cesarz niemiecki... silny on jest? - zapytał.

- Nie wiem, czy kto nad niego silniejszym jest na świecie, - odparł Włast.

- Nawet ten drugi, siedzący na stolicy dalekiej, nad morzem. Panowanie jego rozciąga się od kraju zimy aż do tego, w którym jej nie ma nigdy. Ma pod sobą królów i kneziów, i panów moc niezliczoną, wojska niezmożone, skarby ogromne. A! Panie, potęga jego straszna!

Mieszko uśmiechnął się znowu z niedowierzaniem.

- A przecież, - odezwał się, - dotąd jego margrafowie i książęta nas: Serbów, Polan, Wendów, zmóc i podbić nie mogą! - zamruczał jakby sam do siebie. - Nas, cośmy rozbici i podzieleni. Czechy mają, ale ich zdradzą Czesi, gdy chwilę upatrzą. Poszli z nimi, bo Ugrów złamać trzeba było, co się nam wpili pod trzewa...

Zaczął potem pytać o zamki, o zbroje, oręż i szyki wojenne, i o wszystko, co w obcych ziemiach inne było. Włast odpowiadał, powoli i z rozważą opisując, co widział: stare grody z ich murami wielkimi, zamki na gór wyżynach, żelazne uzbrojenia rycerzy, bogactwa cesarskiego skarbu, wspaniałość pałaców i świątyń. Nie przerywając mu, tylko nowymi pytaniami, Kneź dał mówić tak długo, jak starczyło wieści. Dumając posępnie,

przysłuchiwał się to z ożywionym zajęciem, gdy szło o sprawy wojenne, to z lekceważeniem, gdy mowa była o złocie. O wojskach i wojennych szykach Włast mało co powiedzieć umiał, chyba co mu samo w oczy wpadło. Myśli Mieszka trudno było odgadnąć, wszelako na twarzy malować się zdawała raczej nadzieja jakaś i niecierpliwość niż zwątpienie, jak gdyby szukał środków dorównania tej sile, wcale się nią nie trwożąc.

Gdy w końcu Włast znudzony, wyczerpawszy wspomnienia, zamilkł,

Mieszko, popatrzawszy w okno, rzekł, głos znizywszy:

- Patrzaj, abyś się ze swym Bogiem nowym przed ludźmi nie chwalił!

Gdyby cię obwiniono, żeś wiarę niemiecką przyjął, ukarać bym musiał. Ojca mi żal twojego. My czcimy naszych starych bogów, innych u nas ludzie nie znają, nic wspólnego z wrogiem mieć nie będziemy! Nie!

Włast chciał go żegnać, gdy Kneź dorzucił:

- Od dworu cię nie puszczam. Musisz tu zostać! Mnie przystało znać tych wrogów, z którymi się o każdą piędź ziemi mojej, co by ją zagarnąć pragnęli, nieustannie drzeć potrzeba. Stogniew ci da miejsce. Gdy cię puścić zechcę, powiem. Na zawołanie mi być i milczeć!

Z tym odpuścił Kneź Własta, nie okazując mu większego gniewu, a gdy ten wychodził na pierwsze podwórze, aby sobie szukać przytułku, Mieszko się położył na pościeli i zadumał jak wprzód.

Przez okno od podwórza wpadały śpiewy niewieście, krzyki, a ujadania wrzawliwe i śmiechy szyderskie, a złośliwe. Ustawiało to czasem, jakby siłą i rozkazem tłumione, ale wnet kłótnia wracała znowu. Wtem drzwi osłonięte oponą otwarły się i w progu stanęła niemłoda niewiasta, wysokiego wzrostu, przybrana bogato, cała obwieszona łańcuchami i kolcami, jakby jej szło o to, aby się okazała piękną i młodą. Spod białego rąbka, który jej głowę okrywał, dobywały się włosy ciemne, ale już posrebrzone. Z dawnej piękności zostały jej zaledwie czarne oczy iskrzące się jeszcze i usta małe, zaciśnięte, z wyrazem gniewu.

Od progów postąpiła kroków kilka, wyciągnęła ręce białe ku panu i

pokłon oddawszy, zdawała szukać wyrazów, od których by poczęła. Dłonią niecierpliwą to przegładzała włos, to poprawiała na sobie szatę.

- Cóż mi powiesz, Różana? - zapytał kneź, spoglądając na nią

roztargnionymi oczyma.

- A co zawsze, co zawsze, Miłościwy Panie! ja tu ze zgryzoty z tymi twoimi niewiastami życie stracę albo mnie z nich która zieleń struje jakim, bo to wszystko złe, zazdrosne jędze.

- Cóż się znowu stało? - spytał, śmiejąc się, Mieszko.

- A to, to co się tu dzień i noc dzieje, jak się tylko pobudzą te wasze bogunki! Jedzą siebie i mnie, oczy by sobie powydzierać rade! Słyszycie wrzawę, Miłościwy Panie; gdy jedna śpiewa, druga płacze, gdy się cieszy która, zaraz inna się wścieka. Nie pomaga nic. Ja tam starszą jestem, a porządku utrzymać nie mogę. Nocy nie dośpię, a nie upilnuję.

Założyła ręce na piersiach i stanęła naprzeciw knezia, jak by błagając o ratunek.

- Cóż to? Nie macie siły i władzy, żeby sześciu głupim młodycom nie dać rady? - krzyknął Mieszko.

Prędeż sobie Stogniew da rady ze stu pacholkami, niż ja z tym

utrapieniem, z tymi gąsienicami.

- Cóż więc począć z nimi?

- Co? co? - mruzczała stara Różana. - Rozpędzić to na cztery wiatry, poodsyłać do domów, ja nie wiem, ale ja ich już nie zmożę.

- A któraż najgorsza z nich? - spytał kneż.

- Zawsze ostatnia, ta, którą najlepiej lubisz, Miłościwy Panie, ta, co wam najmilejsza, a której palcem nikt tknąć nie śmie. Ta na mnie i nie patrzy, nie żeby mnie słuchać miała, ta grozi i mnie, i drugim.

- Któż? Lilia?

- Dziś Lilia, a jutro będzie ta, co po niej przyjdzie, - mówiła głową potrząsając, zrozpaczona Różana.

- Dobrze one wszystkie!

- A cóż mam na to uczynić, co? - począł żartobliwie kneż.

- Wszystkie odpędzić, odpędzić!

- To nie może być, nudno by mi było - rzekł Mieszko. - Kto wie? Zmienić się to może jeszcze, ale nie zaraz. Różana, miej cierpliwość, trzymaj je ostro!

Moc masz nad nimi, zagroź w moim imieniu.

Rozpaczliwie niemal rękami rzuciła Różana, gdy szelest się dał słyszeć za oponą i piękna, młoda niewiasta zuchwale, śmiało wpadła do komory książęcej.

Dziewczę było, nie mające lat dwudziestu, z czarnymi, pięknymi oczyma i długimi kosy czarnymi, zręczne i gibkie jak łania, silne i odważne. Na czole, w oczach i ustach malowała się ta pewność siebie, jaką daje piękność i młodość. Z

pogardą i gniewem spojrzała na Różane, która się nie cofnęła przed nią, minęła ją i postąpiła do Mieszka.

- Miłościwy Panie, słyszałam ja wszystko, stałam za oponą. Co wy tej starej jędzy wierzycie? Zła jest na wszystkich, bo jej młodość pełźnie z włosami, bo ma już zmarszczki na twarzy i Stogniew ją dla młodszej porzucił.

Różana zacisnęła pięści, Lilia zaczęła się śmiać.

- Myśmy winne, bośmy młode, bośmy wesołe, kiedy ona już ani krasną, ani młodą być nie może. Tak, tak! - powtórzyła, widząc, że Różanie się oczy paliły i usta drżały. - Tak, Miłościwy Panie! Chciałaby, abyśmy u kądzieli siedziały cały dzień, a ona sobie mogła spokojnie starszyznę na miód zwabić do siebie.

- A ty gadzino! - krzyknęła Różana, w gniewie po wstrzymać się nie mogąc.

Mieszko śmiał się z kłótni, która się go bawić zdawała, lecz zarazem czoło coraz mu się groźniej fałdowało. Lilia uśmiech wywoływała na usta, usiłując pana rozbroić.

Nie dość było na tych dwu zapaśnicach, drzwi się otwarły głośno, wpadła trzecia jeszcze. Było to dziewczę równego może wieku z Lilią, ale do niej niepodobne, drobne, wątłe, białe, z włosami złotawymi, z oczami szarymi, jakby do płaczu stworzonymi. Na pozór słaba i bezbronna, mała Barwina więcej może miała dumy i siły w obliczu niż te dwie, co ją uprzedziły. Z jakąś powagą dziwną zbliżyła się, główkę podnosząc do knezia.

- Ta Lilia, - rzekła - kropiwa, nie lilia. Ona wszystkiemu winna! Ona mnie i żadnej nie daje spokoju! Jam przecież starsza od niej i mam prawa moje! Ja jestem żupana córka, mój ród kneziowski, my Lechy, a ona kto? Ojcem jej niewolnik, dziecko po rabie, porabka jakaś i śmie...

Lilia, nie dając jej dokończyć, przyskoczyła z gniewem i groźbą tak straszną, że Różana, zapomniawszy własnej urazy, stanęła co żywiej między nimi, aby walki nie dopuścić. Mieszko śmiał się jeszcze, ale twarz pańska coraz się stawała straszniejszą, brwi i czoło marszczyły się. Sparty jedną ręką na łożu, drugą wyciągnął ku zwaśnionym.

- Barwina i ty, Lilio! Kto wam wchodzić pozwolił? Do izby nazad, w tej chwili!

- Panie! Lilia cię zdradza! - zawołała mała Barwina.

- Kłamiesz! Ty sama masz kochanka, ty, ty! - czerwieniąc się cała, krzyknęła Lilia.

- Różana, prowadź je do izby! Precz, natychmiast! Rozeznam sprawy wasze i ukarzę.

Stara chwyciła za rękę wrywającą się Barwinę i podstąpiła z nią ku drzwiom. Lilia znać pozostać chciała, aby skorzystać z ich odprawy, lecz Mieszko ręką drzwi jej wskazał także i posłuszna niewiasta, głowę spuściwszy, powoli, gniewna, zapłoniona, musiała wyjść za Różaną. W sieni słychać jeszcze było głosy kłótniwe, które się powoli oddalały i zmieniły w gwar niewyraźny. W

tej chwili Stogniew się ukazał w progu. Spojrzał na pochmurne pańskie oblicze i nie śmiał ust otworzyć.

- Na Peruna! - zawołał Mieszko. - Całe chyba to stado precz rozegnać potrzeba. Zamiast pociechy i spoczynku, waśń tylko i męka z nimi.

Ręką groźnie zamachał w powietrzu.

- Do Peruna, te białogłowy z ich językami! - powtórzył.

Stogniew zdawał się czekać na rozkazy, ale Mieszko się zadumał i zbył go posępnym wejrzeniem.

Rozdział 6.

Włast pozostał na dworze Mieszka, chociaż mimo iż mu kneź twarz

okazywał łaskawą, inni nań koso patrzyli. Domyślano się w nim znać tego, czym był w istocie, chrześcijanina, a tu to znaczyło tyle, co Niemiec i wróg.

Spokojna i pokorna postać nie przypadła zresztą do butnego i rycerskiego dworu, który ciągle oddychał wojną lub zabawiał się łowami i zapasami siłaczy.

Ściągano nieustannie i zbrojono, a przysposabiano ludzi, jakby nazajutrz wojna miała wybuchnąć, bo na granicy nigdy spokoju nie było. Stamtąd przychodziły wieści dniem i nocą, szczególnie o czynnościach srogiego nieprzyjaciela Słowian, margrafa Gerona. Mieszko, jeśli się osobiście nie mieszał do drobnych tych utarczek, podsyczał je, wywiadywał się, pomagał

potajemnie. Kneź sam i wszyscy, co go otaczali, mieli już to przekonanie, że do niego należała władza i panowanie nad wszystkimi plemionami bratnimi aż do morza, aż za Wisłę; że Szląsko też i Chroboty a powinny były, prędzej czy później, Czechom być odebrane i do Polanów jedności włączone. Wszystko, co Gero zdobywał nad Łabą, co zdradą odpadało od bałwochwalstwa i słowiańskiego przymierza, Mieszko uważał jakby sobie wydarte.

Pomagał mu w tym brat po ojcu, choć nie po matce, starszy od niego Sydbór, z ulubienicy Ziemiomysłowej zrodzony, przed zaślubieniem Górki, matki Mieszkowej, wojak z lat młodych, który żył tylko wojną. Po matce, która była prostą dziewczyną, z lasów kędyś wziętą, Sydbór wziął naturę dziką, upodobanie w życiu swobodnym, pod gołym niebem, na zasadzkach, w walce i napadach. W Mieszku szlachetniejsze górowały instynkta, pragnienie

panowania, przemyślne poszukiwanie środków, chęć dorównania narodom, które więcej mogły i umiały. Sydbór był prostym zapaśnikiem, który chciał się tylko bić i miał upodobanie w rzezi, a krwawych walkach. Litości u niego prosić było próżno, nie prosił jej dla siebie, nie miał dla drugih.

Mieszko dawał mu dowództwo nad niesforniejszymi oddziałami,

najtrudniejsze do wykonania polecenia, używał go, nie dając mu tchnąć. Sydbór był rad i więcej nie pragnął. W wyznaczonej sobie dzielnicy, którą mu brat puścił, nie siedział nigdy prawie, domu dotąd

nie miał, rodziny nie pragnął, koczował z oddziałem swym konnicy na wiecznych czatach, włócząc się ponad granicą i gdziekolwiek można było napaść znieścacka, łupu zagarnąć siła i ludzi nabić mnogo. W boju śmiał się i całą krwią obluźgany szalał zwycięstwem. W

Poznaniu zjawiał się wołany, często niespodzianie, ale miejsca nie zagrzał.

Drugiego dnia już go piekło w pole. Czasem, nie opowiedziawszy się kneziowi, ruszał i nie wiedziano nawet dokąd. Ruchawy ten i przedsiębiorczy brat byłby może niepokojem nabawiał Mieszka, gdyby w nim dostrzegł jaką chęć

samoistnego panowania, ale Sydbór zdawał się nic nie pragnąć nad to życie, które prowadził. A srogi ten, nielitościwy kat na ludzi, którego znano z tego, iż żadnej winy nigdy nie przebaczył i miłosierdzia nie miał nad nikim, kochał

przecie i szanował Mieszka, a nade wszystko ccił i przywiązany był do siostry, która nosiła toż imię, co matka jej - i zwała się Górka.

W osobnym dworze na zamku nad Cybiną mieszkała ona pod knezia

opieką; miała swą służbę oddzielną i żyła odosobniona. Niewieście towarzystwo żon kneziowskich nie przystało jej, trzymała się od niego z dala. Mieszko z dawna za mąż wydać ją pragnął, lecz lada komu dać nie chciał. Górka też nie wrywała mu się na świat. Była ona najmłodszą z rodzeństwa, a gdy Ziemomysł

umierał, dzieckiem ją zostawił. Doszła lat dwudziestu, wychowując się ze starymi niewiastami, które niegdy matce jej służyły, wśród wrzawy wojennej dworu brata, mając upodobania prawie męskie i charakter Mieszkowemu podobny. Górka była teraz piękną, ciemnowłosą dziewczicą, silną i śmiałą, która by, jak owe czeskie dziewczęta, chętnie poszła na wojnę, gdyby jej pozwolono.

Wszystko, co Mieszko sobie poczynał, obchodziło ją mocno; rozumiała go i zgadywała, choć go pytać nie śmiała, a jak jemu marzyło się szerokie panowanie nad zjednoczonymi plemionami, tak jej też zaślubienie jakiegoś knezia, który by Mieszkowi z orężem stanął do boku.

Kneź szanował siostrę i lubił ją, ale niczym było jego przywiązanie do niej, przy części, a uwielbieniu dzikiego Sydbóra, który ile razy nad Cybinę przybył, zawsze tej siostrze musiał dań jakąś przywieźć, a najszcześniejszy był, gdy go do niej dopuszczono. Górka z tym przyrodnim swym czyniła, co chciała, a gdyby mu najdziwniejszy rozkaz wydała, spełniłby go niechybnie, o niebezpieczeństwo nie pytając. Nazajutrz po przybyciu Własta, rano nadciągnął

właśnie Sydbór, a jeszcze do wrót nie doszedł, gdy już na grodzie panowało poruszenie wielkie i wszyscy biegli widzieć go nadciągającego. Wyszedł i Włast. W przedsieniu stał Mieszko otoczony dworem, czekając także na zapowiedzianego gościa, gdy z dala od wałów pokazał się orszak jego.

Nie był on zaprawdę świetny, ale dziwnie wyglądał. Stu może ludzi

konnych, na zwawych mierzynach prowadził z sobą Sydbór. Sam on jechał

przodem, istny wódz dzikich, czerwony cały, zarosły, w odzieży jaskrawej i naszywanej blaszkami a świecidły, w czapce z pióropuszem nieco oszarpanym, obwieszony bronią wszelkiego rodzaju, której miał tyle, ile się jej u pasa, na ramionach, przy koniu, w rękach mogło zmieścić. Jeden miecz wisiał u pasa, drugich dwa tkwiło za nim, młot miał pod ręką, łuk na plecach, procę na ramionach, dzidę i oszczep poczepiane misternie. Komu innemu ta mnogość narzędzi więcej by przeszkadzała, niż dogadzała. Sydbór ich z taką zręcznością umiał używać, iż nic zbytecznym dlań nie było. Tarczę zwykle miał uwieszoną tylko przy koniu i mało jej używał.

Ludzie jego mieli wszyscy grubo kute pancerze łuskowe i blachy,

niektórzy kaftany, dzidy, szable krzywe, oszczepy i odziani byli jednakowo, co naówczas wielki przepych stanowiło. Jak Sydbór, tak jego drużyna cała wyglądała strasznie. Nie było jednego całego: twarze porąbane, ciała sińcami okryte, orężę poszczerbione, na wszystkim krwi i pyłu pełno. Pomimo to szli butnie, rażno i z twarzami wesołymi jakby w triumfie. Tłumaczyło się to tym, że pośrodku orszaku ich szło jakby stado ludzi powiązanych sznurami,

poczepianych z sobą, starców, młodzieńców, kobiety i dzieci.

Sydbór napadł na osadę niemiecką pod grodkiem nad Odrą, niedawno

założonym, i wszystko, co znalazł, zagarnął, wieś puściwszy z dymem. Zabrane konie i bydło pędzili osobno ludzie, którzy się wolniej ciągnęli.

Wszyscy ci niewolnicy, odarci i pobici, na których twarzach i ciałach rany ledwie pozasychały, przerażający widok przedstawiali niemej, a wścieklej rozpacz. Jak tylko orszak ten stanął w podwórzu, kilka niewiast padło spoczywać na ziemię, a kilka zwaliwszy się, nie powstało już więcej. Kupka dzieci nagich, z włosami rozczochranymi, jęczała i płakała, a wojacy je dla uspokojenia smagali. Z wrzawą, jękiem, śmiechem i płaczem przyciągnął tak Sydbór przed Mieszka, pokazując mu na zdobycz swoją i z konia jeszcze rozpoczynając opowiadanie o wyprawie. Mowę jego jęśliwą trudno było zrozumieć, ale to, co wiódł z sobą, wymownym było.

Na widok ten i Mieszkowi oczy się zaśmiały. Śmiech i radość były

usprawiedliwione, bo tak samo i gorzej w pętach prowadzono Słowian branych nad Odrą, a margraf Gero nie tylko mieczem, ale zdradą tępił to plemię, któremu nie mógł dać rady.

Zbiegło się, co było ludzi na grodzie, po części niewolnikom, w części znanym wojakom Sydbóra się przypatrywać i rozpytywać, kędy bywali.

Zaglądano do Niemców, dopatrując w nich ludzi zdrowych do pracy i posługi.

Niewolnik wówczas był drogi i pożądany.

Z dala patrzył i Włast, a twarz mu pobladła nagle na widok siwego,

odartego staruszka, który zaledwie łachman mając na sobie, obnażony, wychudły, do ran prawie skrępowany sznurami, ze spuszczoną głową stał, ledwie się mogąc na nogach utrzymać. Krótko

ostrzyżone włosy, a na wierzchu głowy wygolona korona, która pośmiewiskiem była dla pacholków Sydbóra, dały w nieszczęśliwym poznać chrześcijańskiego kapłana. Włast mimowolnie załamał ręce; szczęściem, nim postrzeżono ten ruch zdradzający politowanie, miał czas się opamiętać.

Po tym okazy łupów i zrzuceniu przed Mieszkiem różnego naczyń,

oreża, szat pobranych na kupę, wśród której Włast dostrzegł srebrny kielich kościelny i dwa lichtarze, gdy ludzie jedni zabierali do skarbcza zdobycz, a kneź

brata schylonego przed nim po ramieniu klepał, drudzy, z gromadą niewolnika, powoli odciągnęli ku szopom dla wypoczynku. Kneziowie oba weszli do dworu, służba, komornicy, gawiedź pozostała, rozwiadując się o wyprawie, śmiejąc i pokrzykując wesoło.

Włast, którego widok ten przejął litością jako chrześcijanina i kapłana, jako długi czas w Niemczech i z Niemcami żyć nawykłego, stał osłupiały myśląc, co by mógł począć, aby starca, którego znał, mógł z niewoli srogiej wydobyć. Przychodziło mu na myśl rzucić się do nóg kneziowi, gdy doń przypuszczony zostanie i prosić go o darowanie staruszka, który bezsilnym będąc, mało na co komu mógł się przydać. Stał tak jeszcze zamyślony, gdy poczuł, że go ktoś za rękaw pociągnął. Obejrzał się i zobaczył za sobą staruszkę, obwinętą płachtami białymi, która coś po cichu szeptała mu do ucha. Nie mógł

jej zrazu zrozumieć, ani się domyśleć, czego by od niego chcieć mogła. Stara odwiodła go na stronę i odezwała się:

- Wy to jesteście Luboniów syn, coście dwanaście lat przebyli w niemieckiej niewoli?

- Tak, - rzekł Włast - ja nim jestem.

Stara popatrzała nań długo.

- A pamiętacie wy Srokicę?

Włast, któremu się wspomnienia młodości zatarły w pamięci, zaledwie to imię mógł przypomnieć.

- Tak nazywali u nas w Krasnejgórze poczciwą niewiastę, co mnie po śmierci matki swoją piersią karmiła.

Staruszka objęła mu kolana, a potem prędko podniosła oczy i załzawione razem, i rozpromienione.

- Gołąbku mój, dziecko moje! Toć to ja jestem Srokicą. Ojciec twój darował mnie do dworu knezia, bom umiała leczyć i zamawiać. Dali mnie do kniehini, do Górki. Siedzę przy niej, biedną dziewczynę zabawiając, jak umiem.

Gołąbku mój! Dziecko moje! A, cóż to z ciebie niewola zrobiła! Jam myślała, karmiąc ciebie, że jak

dębczak wyrośniesz, a tyś jak leszczyna wiotki i wątły.

Włast przypatrywał się staruszce z rozrzewnieniem; powoli na myśl

przychodziły mu lata młode, które zawsze urok wielki mają. Łza mu się kręciła w oku. Chciałby był czymś obdarzyć staruszkę, mamkę swoją, nie miał nic. Nie widać też po niej było ubóstwa i potrzeby; odzież miała dostatnią, płótno białe i cienkie, a ręce niezapracowane okazywały, że wczasu używała.

- Gołąbku mój - powtórzyła cicho Srokicha - chodź ze mną, ja cię

kniehini mojej pokażę, bo ty tak jak dziecko moje. Krew w tobie żupanów i władyków, ale mleko też moje płynie.

Ocierala łzy stara i pragnąc, i nie śmiejąc głaskać swojego wychowańca, który się jej smutnie uśmiechał.

- Chodź, - dodała. - Kniehini dobra pani, piękna pani, miłosierna. Sama jedna, męża nie ma, nudno jej w świecie, bawić ją trzeba to śpiewami, to gadkami. Niechajże się pobawi, słuchając o twojej niewoli. Ja cię do niej zaprowadzę.

Włast stał nie bardzo rad zaproszeniu, ale starej nie śmiejąc się opierać; myślał przy tym, że jako chrześcijanin i kapłan winien był zbliżać się do ludzi, aby choć próbować nawrócenia.

Stara, wiodąc go za sobą, przeszła część podwórza aż do drugiego dworu kniehini, otworzyła sobie wrotka boczne i nimi Własta wpuściwszy, zaraz je za sobą zasunęła.

W podwórku niewielkim cicho było i zielono. Całe ono jakby ogródek

bujno zarosły stanowiło. W pośrodku była lipa stara rozłożysta, po rogach, w plecionych z łoziny klatkach, świergotały zamknięte ptaszki. Małeńka sarenka chodziła, gryząc trawę, swobodna, a gdy ujrzała wchodzącą Srokichę, stanęła, podniosła główkę z oczkami czarnymi i nóżką tupnęła, a za nią postrzegłszy obcego, pierzchnęła w drugi koniec podwórza.

Stara kazała się Włastowi zatrzymać, ławę mu pod ścianą pokazując, aby sobie na niej spoczął, a sama poszła do kniehini. Z okien na podwórze wychodzących kilka głów wyjrzało, przypatrując się oczekującemu i znikło.

Przypatrywała mu się i hodowana sarenka, to przybliżając, to uchodząc, a nad głowami ptaszki szczebiotały.

Po dosyć długim oczekiwaniu ukazała się wreszcie Srokicha i dała znać Włastowi, by szedł za nią.

W trzeciej izbie z oknami zwróconymi na podwórze, przeszedłszy dwie puste, pełne niewieściego sprzętu, znalazł Włast Górkę. Stała, spodziewając się go, w pośrodku komory, całej przystrojonej w kwiaty i kobierce, z rękami na piersiach założonymi, w postawie prawie męskiej, piękna, ale surowej twarzy kniehini. Była tak podobną do Mieszka, iżby ją za siostrę jego wszędzie poznać było można. Piękniejszą była, nie inną, ten sam rozum i zadumanie miała w twarzy i dumę tę samą. Ubrana

w suknie krasne, z wianuszkami na głowie, którego dziewice nigdy naówczas nie zrzuciły, oczyma bystrymi od wnijscia zaraz zmierzyla Własta ciekawie.

Stara, sama jej do kolan przypadłszy, jemu też paść do nóg pani kazała, co Włast dopełnić musiał. Nim on otworzył usta, Srokicha za niego mówiła już o dwunastoletniej niewoli jego skarżąc, że tak ona go znękała i wysuszała.

Kniehini stała długo milcząc, patrzyła i nierychło dopiero głosem męskim rzuciła pytanie, czy go bardzo Niemcy męczyli.

- Miłościwa Kniehini - odpowiedział Włast, - żadna niewola rozkoszą nie jest, lecz między nimi są ludzie litościwi.

Górka potrząsnęła głową.

- Daleko was pędzili? - zapytała.

Włast tedy rozpowiadać zaczął, jako był na dworze cesarskim, a z nim w tej ziemi, która nie ma zimy i w której cuda prawie widzieć można, tak piękną jest i ludną. Wspomnienie o cesarzu, o tych krajach oddalonych, o cudach, żywo dopiero zajmować zaczęło kniehinię i pytała już, a przysłuchiwała się bacznie.

Opowiadanie, którego Srokicha też słuchała bardzo chciwie, byłoby długo może trwało, gdyby hałas w podwórzu nie zwiastował gościa nowego. Nim stara rozmyśliła, co z Włastem uczyni, wparł się już Sydbór do siostry.

Otworzyła drzwi i przypadłszy do niej, bił jej czołem, całując kraj szaty, śmiejąc się i rychocząc, że ją mógł widzieć. Górka mu rękę swą białą położyła na ramieniu i uśmiechnęła się nie jak bratu, ale jak słudze, pytając, kędy bywał i z czym powracał.

- Miłościwa Kniehini - bełkotał dziki wojak, ciągle się śmiejąc i patrząc jej w oczy - byłem daleko, wpadłem aż do niemieckich wsi w granicy, dwie ich spaliłem, niewolnikom nabrałem, bydła i koni, i bab, i dzieci, a to dla Ciebie, Kniehini, bo ja o Was nigdy nie zapominam, wybrałem co najlepszego.

To mówiąc wskazał jej, aby nastawiła ręce. Górka podniosła nieco połę sukni, a Sydbór począł wyjmować z zanadrza, sypać jej, śmiejąc się, na nastawioną połę pierścienie, kolce złote i ozdoby kobiece. Przy jednym z kolców trzymała się część ucha, oderwanego z nim razem, ale nikt nie spojrzał

na to. Sydbór śmiał się chwaląc łupem, kniehini zdawała też nim cieszyć, lecz dziękowała bratu bez wielkiego zapału. Po chwili wszystką tę zdobycz oddała starej Srokisze do schowania, a wojak począł opowiadać, jak palił i zabijał.

Włast stał jeszcze, lecz nie miał już tu co robić, nikt nań nie patrzył; pokłoniwszy się więc, dał znak starej, ażeby go wypuściła. Wyszła ona za nim, a w komorze kniehini słysząc już było tylko dzikie śmiechy Sydbóra.

Wypuszczając dziecko swe, stara szepnęła mu, gdzie i jak znaleźć ją może, jeśliby czego potrzebował. W istocie ona to go najwięcej widzieć i cieszyć się nim potrzebowała.

Wyszedłszy ze dworu kniehini, Włast, któremu na pamięci stał ciągle obraz starca niemiłosiernie skrępowanego, choć nie wiedział, gdzie go miał

szukać, postanowił iść dowiedzieć się o niewolniku, aby mu być jaką pomocą.

Lecz na grodzie obszernym szop i budowli tyle było różnych, że w nich łatwo mógł się obłąkać. I byłby długo musiał szukać jeńców, gdyby tłum gawiedzi dworskiej, otaczający ich, nie wskazał mu, gdzie byli. Starszyzna wojskowa gromadziła się tu, wcześniej sobie upatrując ludzi, których zamianą, darem lub za zapłatę dostać sobie mogła do usług. Brańcy i branki leżeli tu na ziemi, pędzeniem długim i nielitościwym znużeni, pospieranani jedni na drugich.

Ponieważ lękano się, by z długiego nie pomarli głodu, rzucono im chleba suchego i postawiono wiadro z wodą. Niektórzy chciwie gryźli spleśniałe okruchy, inni pili, większa część bezmyślnym snem ujęta, nie lękając się już ani razów, ani śmierci, leżała jak martwa.

Włast z trudnością się mógł przecisnąć przez ciżbę, szukając oczyma staruszka. On jeden siedział nie pijąc, nie jedząc, nie mogąc usnąć, ze spokojną rezygnacją człowieka czekającego na śmierć. Mógł się jej spodziewać, bo sił do pracy nie miał, stary był, a karmić go darmo nikt by nie chciał może. Wzięto go z tłumem przy rabunku kościoła, nie ubito na drodze, ale zbliżała się chwila, gdy ich przebierać miano.

Z wolna obchodząc jeńców, Włast się zbliżył do starca, tak że oczy jego, błądzące bezmyślnie po tłumie, na nim się zatrzymały. Poznał go prawie przerażony. Chciał się ruszyć, lecz więzy nie dawały. Wśród gwaru panującego dokoła, łatwo do siebie przemówić mogli.

- Ojcie Gabrielu, - rzekł Włast, - jakżeście się tu dostali?

- Ojciec Matia - odparł niewyraźnie starzec - skąd wy tu?

- Jam powrócił, musiałem.

- Jam schwycony, jam w niewoli, - mówił starzec. - Wola Pańska!

Gotówem na męczeństwo. Patrzałem na kościółek mój splugawiony, na

świętokradztwo... o Boże! Los własny mnie nie obchodzi!

- Ale mnie on na sercu leży, ojciec Gabrielu, i jeśli potrafię, ja was uwolnić muszę.

- Po co? - zapytał stary. - Kościół mój spłonął i obalił się, owieczki rozbite, pasterz nie potrzebny.

I głowę na piersi pochylił.

- Ojciec Gabrielu, bądźcie dobrej myśli! Idę prosić za wami.

- Proście za sobą Ojca miłosierdzia - odezwał się staruszek, - aby wam dał

wytrwać w wierze. Bóg niech was błogosławi.

Związaną ręką krzyżyk zrobił staruszek.

Nie miał już tu Włast więcej co czynić; wysunął się więc co najrychlej i spieszył nazad do dworca książęcego. Lecz tu docisnąć się teraz ani pomyśleć było można. Jakieś kneziątko Obodrytów z gromadą Lutyków przybyło właśnie i do Mieszka wpuszczone zostało.

Wrzawliwa narada odbywała się z nimi w wielkiej izbie. Mieszko, siedząc na stolicy swej, otoczony dworem licznym i zbrojnymi ludźmi, przyjmował ich uroczyście. A że po kilkakroć doświadczył ich niewiary i krzywoprzysięstwa, łajał więc i bezcześcił przybyłych, którzy go na kolanach przebłagać się starali i posiłki sobie, a opiekę wyprosić. Przez otwarte okna od podwórza widać było tę scenę we wnętrzu: klęczących starców brodatych i z siedzenia swego groźno im odpowiadającego Mieszka. Groził im nawet śmiercią, ale z wolna gniew się uśmierzać zaczął i łagodniejsza zaczęła umowa. Trwało jednak długo spieranie się z ludźmi do niesforne go krzyku nawykłymi, którzy więcej narzekali, niż tłumaczyli się, a prostymi słowy powiedzieć nic nie umieli. Kilkakroć zrywał się ku nim kneź, jakby wpaść chciał i rozgromić, wstawali oni i klękali, bili czołem o ziemię, wreszcie zgodą się skończyło wszystko i naród przyniesiono, a potem stół im zastawić kazano.

Nadejście Sydbóra, wracającego od siostry, nie ułatwiło zgody, bo dziki kneź nastawać począł na Lutyków zwłaszcza i ledwie się dał ukoić.

Cały ten dzień prawie zszedł na takich sprawach; Włast musiał czekać zbliżenia się do pana, nie mogąc o nic prosić. Wieczorem dopiero pozwał go Stogniew do knezia. Składało się nadspodziewanie szczęśliwie. Mieszko kazał

ić Włastowi ze Stogniewem razem dla przebrania niewolnika i rozpytania go, bo mało kto język ich dobrze rozumiał. Mieszko, baczną we wszystkim, kazał

roz badać, czyby między jeńcami rzemieślników nie było, szczególniej płatnerzy, kowalów i tych, co około oręża chodzić umieli.

Chwycił się tej zręczności Włast i do nóg pokłoniwszy się Mieszkowi, opowiedział mu, iż między niewolnikami znajdował się starzec mu znajomy, który niegdyś dobrze się z nim w czasie pobytu jego wśród Niemców obchodził.

Prosił więc, unizając się, aby go mógł dostać.

Zamyśliwszy się nieco, kneź skinieniem głowy zezwolił na to i dał rozkaz Stogniewowi, by starca Włastowi dano. Podziękowawszy za tę łaskę, szedł

weselszy już spełnić dane rozkazy.

Jeńców znaleźli leżących tak kupą na ziemi i powiązanych, jak przybyli.

Włast sam podbiegł porozcinać sznury staremu ojcu Gabrielowi i opończą go przyniesioną okrył. Posadziwszy go pod szopką, począł potem obchodzić wszystkich pytać i rozdzielać. Wnet część jedną dano na chaty do miasteczka, do rzemiosł różnych, innych rozebrała starszyzna, dzieci też rozdzielono różnie, często osobno od matek. Dwa czy trzy trupy i kilka dogorywających zostało na placu, około których Psiajucha się kręcił, bo ci do niego należeli.

Wieczór był późny, gdy rękę podawszy osłabłemu starcowi, Włast, który sam liche miał pomieszczenie w ciasnej izdebce ciemnej, bez okna, gdzie tylko postanie się mieściło, poprowadził do niej ojca Gabriela, sam wybierając się do Srokichy, aby dlań dostał posiłek jaki i czym by wycieńzonego mógł

pokrzepić. Ciepła noc letnia jemu dozwalała u drzwi tej ciupki na twardej ziemi położyć się na spoczynek.

Ocalony kapłan jak posłuszne dziecko poszedł za swym oswobodzicielem, czyniąc, co mu było rozkazane. Włast sam go nakarmił, układał, poobwiązywał

rany od sznurów i okrywwszy na noc, ucałowawszy ręce starca, cofnął się, aby na straży pozostać u progu.

Rozdział 7.

Upłynęło dni kilkanaście podobnych do pierwszych, które Włast spędził

na dworze książęcym. Nie zmieniło się nic. Kilka razy prosił, aby go do Krasnejgóry, do ojca kneź raczył odpuścić, ale na to nie otrzymał zezwolenia.

Razem z oswobodzonym ojcem Gabrielem, który leżał chory i ruszyć się nie mógł, pilnując go i karmiąc z pomocą starej Srokichy, nie bardzo chętnej dla Niemca. Włast pozostać musiał wśród nieprzyjaznego dosyć dworu. Patrzano nań zawsze nie chętnie.

Kilka razy, w wolniejszych godzinach, Kneź kazał go pozywać do siebie, zawsze zwracając rozmowę to na wiarę nową i ostrość jej, to na Niemców i ich cesarza, a jego siły. Włast ośmielił się nieco i czuł się w obowiązku, jeśli nie nawracania knezia, to przynajmniej do oswajania go z chrześcijaństwem i jego potęgą. Pomagało mu do tego wiele, iż najpotężniejszy naówczas władca ziemi czeskiej, Bolesław, którego państwo rozciągało się od Wełtawy do Styru, obejmując Chrobację, Ruś, Szląsko, kraje niezmiernie rozległe, pomimo wstrętu, jaki czuł on i matka jego ku chrześcijaństwu, mimo popełnionego na pobożnym, a świętym bracie morderstwa, sam wreszcie musiał przyjąć tę wiarę i ocalił Czechy, wchodząc w przymierze z cesarstwem.

Mieszko tłumaczył to sobie grozą najazdów węgierskich, przeciw którym Czechy się obronić nie mogły; lecz nowa wiara płynęła z Zachodu z siłą tak nieprzepartą, iż nie pozostawało i jemu nic nad to, by albo ją przyjąć dla ocalenia, lub paść w walce daremnej.

Kilka razy w ciągu tych dni Kneź posyłał i pytał niecierpliwie o

Dobrosława, wyprawionego do Pragi, przychodziły mu na myśl posądzenia nawet, iż mógł go zdradzić i nie chce powracać, gdy jednego rana zjawił się pożądanym poseł. A chociaż dnia tego znowu wyprawiano ludzi na Pomorze, których Sydbór wiódł dla pomszczenia jakiegoś napadu, choć byli posłowie od Łużyczan i Dulebów, Mieszko natychmiast powołać do siebie kazał Dobrosława i sam na sam się z nim zamknął.

- Mów, - rzekł, - mów mi wszystko, co widziałeś, coś słyszał, co mi przynosisz.

Czarne oczy knezia, pałające ogniem niespokojnym, nagliły Dobrosława do jak najspieszniejszej odpowiedzi. A człek, co miał tak niecierpliwie oczekiwane przynieść wiadomości, był powolny, rozmyślny i wążący mowę swą, a wyraz każdy; nie pewny siebie, jeśli nie bojaźliwy, to do zbytku rozważny. Zbierał więc myśli, gdy Mieszko posadzający go, że się ociągał tak, bo nic mu dobrego nie przynosił, płonął już gniewem przedwczesnym. Pierwsza myśl, jaka mu się nastęczyła, była, że Bolesław teraz gorliwy chrześcijanin, mógł mu tak wzgardliwie odpowiedzieć, jak Świętopelk Morawski ochrzczony poganinowi Borzywojowi, przybyłemu doń w gościnę, gdy do stołu zasiąść mieli: - Niegodzienieś się przy mnie, ze psami usiądź i jedz na ziemi.

Spostrzegłszy Dobrosław ognistą twarz pana, strwożył się wielce.

- Miłościwy Panie, pozwólcie mi powiedzieć, jako umiem, to, com

widział i co słyszałem, złego nie przynoszę nic, ani słowa wzgardy, ani niechęci, owszem pokój, zgodę i przyjaźń od knezia Bolesława.

Twarz Mieszka się rozchmurzyła, odetchnął.

- Strasznyż ten Bolko Luty, ten zwierz okrutny? zapytał.

- Czasy te minęły, gdy Bolko był tak okrutnym - mówił Dobrosław. Ze śmiercią Ludmiły i ucieczką Drahomiry dawno zmieniło się to wszystko.

Bolesław zestarzał, osłabł. Pokutuje dobrowolnie za przelaną krew, on i jego dzieci. Strachkwas, ten syn, co się narodził w dzień zabicia Wacesława, jest duchownym chrześcijańskim; Mlada, córka jego, zamknięta w klasztorze u świętego Idziego. Zabity brat za świętego jest poczytywany i po śmierci czyni cuda.

Mieszko się rzucił z dziwnym śmiechem. Dobrosław zamilkł.

- Co uczynił z bratem - rzekł kneź, - wiedział dlaczego; państwo

podzielone być nie mogło. Ale mógł mu oczy kazać wyłupić, niechby żył, a że książątek nieposłusznych nabił dużo, dobrze uczynił dodał, inaczej by nie panował i nie obronił się. Srogi jest, ale rozumny, przebiegły...

Dobrosław milczał.

- Mów, silny on jest? - zapytał.

- Siły jego nie znam, lecz wiem to, - począł Dobrosław, - iż go i cesarz szanuje, a ma za sprzymierzeńca, i Niemcy się go boją, i Ugrowie siedzą cicho...

- Rozumny jest i ja szanuję go - odezwał się Mieszko - i dlatego chcę jechać do niego, rękę mu podać a powiedzieć: "Bądźmy jako dwaj bracia, a nie zapotrzebujemy cesarza ani Niemców, ni ty, ni ja i będziemy silniejsi od nich.

Ziemie to nasze, język nasz... nie damy ich... Panujmy we dwu".

Zamilkł chwilę i cicho mruknął do siebie:

- Potem, gdy bezpieczni będziemy od Ugrów i Niemca, zobaczymy

między nami, komu dane ma być panowanie. Ziemie nasze ciągną się szeroko, a to, co nam wydarł cesarz, odbierzemy. Co on mówi? - spytał Mieszko. - Co myśli o mnie?

- Miłościwy Panie, - odparł Dobrosław, - kneź Bolko Luty mógłby równie nazwać się Milczącym jak Sierdzistym. Nie mówi on nic, a głosu dobędzie wówczas chyba, kiedy miecz chowa. Rzekł mi tylko: "Zechce przybyć Mieszko, rad mu będę. Chce, bym go uczcił jak brata, uczynię to, zapragnie, abym go rzekomo nie znał, udam, jakoby nie wiedział, kto jest".

Kneziowi oczy zajaśniały.

- Dobrześ sprawił twe poselstwo - rzekł - a powiedzie się li podróż moja, do której wnet gotować się każę, otrzymasz nagrodę i łaskę moją mieć będziesz.

Nie skończyło się na tym badanie, ponieważ Dobrosław nie po raz

pierwszy na dworze praskim przebywał, a dzieje tamtejszych książąt znał; pytał

o nie Mieszko i o wszystko, co zasłyszał o krwawych przygodach rodu tego, dziś pokutującego za krew przelaną, pytał o stolicę i gród, i o kraj, czyli ochrzczony był cały i jak lud nową wiarę przyjmował, a jak go do porzucenia dawnej skłonić umiano. Wreszcie o całym rodzie Wratysławiczów dopytując Mieszko, jał badać, czyli by dziewczki kneziowskie nie poślubione były i dlaczego mężów nie znalazły?

Jał tedy Dobrosław opowiadać, iż jedna z nich Bogu życie swe

poświęciła, skąd dziewice za męż nie wychodzą; a druga, dojrzała już, Dubrawka, wolną była.

- Widziałeś Dubrawkę tę? - zapytał kneź ciekawie.

- Obyczaj chrześcijański nie zakazuje się pokazywać niewiastom i

zamykać ich nie zmusza; przychodzą one i obcują wraz z mężczyznami. Na dworze więc Bolka Lutego - mówił Dobrosław - widziałem Dubrawkę.

Dziewica jest urodziwa, dorosła i dojrzała, wesola i śmiała, jak na kniehinę przystało. Śpiewy i pioski lubi, odwagę ma męską prawie, a rozum też, jak niewiele niewiast miewa.

Zamilkł zamyślony Mieszko, lecz nie odpuścił jeszcze Dobrosława; pytał

znowu, jaki był na dworze porządek i dostatek, jak tam jechać przystało i okazać się skromnie czy pańsko. Wielkiego pocztu z sobą prowadzić wskroś przez Łużyce i czeską ziemię nie było podobna, w kilku się przekradać dla knezia nie przystało. Dobrosław w kilkadziesiąt koni radził wyruszyć i obiecał prowadzić tak lasami, wymijając grodki łużyckie i czeskie osady, idąc za biegiem Łaby i Wełtawy, iż nie postrzeżeni prawie do Pragi samej przybyć mogli, jakby na łowy się wybrałszy.

Nie chciał też Mieszko, aby u niego w domu ktokolwiek wiedział o celu podróży, ani było we zwyczaju oznajmywać o tym. Zaraz nazajutrz do drogi sposobić się miano, wybierając do orszaku zaufanych ludzi, najlepszą zbroję, najpiękniejsze konie, najświetniejsze szaty, a dla knezia Bolka wspaniałe dary.

Stogniew, który nigdy nie odstępował Mieszka, Dobrosław i Włast, dlatego że oba chrześcijanami byli i za tłumaczów służyć mogli, oprócz tego komornicy najulubieńsi, którym nie mówiono, dokąd kneź jechał, wyznaczeni zostali.

Włast, przypomniawszy starego ojca Gabriela, którego chciał uwolnić, odważył

się prosić za nim, by i on mógł kneziowi towarzyszyć. Zmarszczył się na to Kneź, ale zezwolił, nakazując tylko, aby starego jeńca ludzie między siebie wzięli. Nie chciał, aby widocznym był i dał odgadywać drogę, którą się udać mieli. Włast miał potajemną nadzieję, iż raz między chrześcijan się dostawszy, uwolnić go potrafi.

Gdy Mieszko, wydawszy Stogniewowi rozkazy, obu ich na reszcie

odpuścił, Dobrosław i Włast wyszli razem. Na grodzie z sobą mówić nie mogli, lękając się, by ich nie podsłuchano; wyszli więc za wały, w pole nad rzekę i tam sam na sam siedli.

Dobrosław nie mógł się powstrzymać, by z radości nie uściskał Własta.

- Rozradowane serce moje! - zawołał w uniesieniu. - Stało się, o co prosiłem Boga... Mieszko nasz jedzie do Bolka, a rozumny pan ujrzy tam, że nic mu nie pozostało, ino wiarę tę przyjąć, bez której my ocaleni być nie możemy. Z

nią do nas przyjdzie wszystko i ziemia nasza zakwitnie, a Niemcom odjęty będzie pozór prześladowania. Jeśli się nie mylę, Mieszko chce być

chrześcijaninem, ale się lęka.

- On? A kogóż lub czegóż by się miał trwożyć? - zapytał Włast.

- Dwanaście lat nie byliście z nami - począł Dobrosław. - Nie znacie, co się u nas dzieje. Starą wiarę, którą lud żyje i oddycha, w której się narodził, urósł, niełatwo wytepić. Policzmy: ile nas tu

jest chrześcijan, a ilu nieprzyjaciół?

W chwili, gdy przyjmie chrzest pan nasz, wszystko, co mu służy dziś, obróci się przeciwko niemu.

- Lecz siłę ma - rzekł Włast.

- I ta siła stanie po stronie ludu. Mruczają już teraz i odgrażają się. Patrząc na nas groźnie, choć tylko posądzają.

- Nie przetoż - rzekł Włast - ulęknąć się potrzeba i w błędzie pozostać.

Bóg pomoże.

- Tak, - dokończył Dobrosław - ale krwi wiele się przeleje i westchnął smutnie.

Gwarzyli tak długo jeszcze, gdy wreszcie Włast, który kneziowi nazajutrz miał towarzyszyć i potrzebował nad to od ojca pozwolenia i wyprawy, pożegnawszy Dobrosława, na koń siadł, aby jechać do Krasnejgóry, skąd nocą mu powrócić było trzeba.

Droga była mu dosyć dobrze dawniej znaną, oddalenie niewielkie, sam jeden więc, konia wzięwszy, puścił się, aby przed wieczorem stanąć u ojca.

Więcej niż on sam, koń go do domu i żłobu prowadził. W Krasnejgórze znalazł

ten spokój, jaki tam zostawił; wybiegła przeciw niemu Hoża, szczebiotaniem go witając, ukazała się zza węgła z nieodstępną kądzielą stara prządka, twarzą pochmurną dosyć zwracając się do wnuka, na ostatek wyszedł Luboń stary, ucieszony syna powrotem i Jarmierz, który wraz z nim sądził, że Własta Kneź

puścił do domu.

Sklonił się ojcu do nóg syn i oznajmił, że po wyprawę tylko przybył i dla opowiedzenia się, bo Kneź nazajutrz jechał w drogę (zakazano mówić dokąd) i kazał mu być w swym orszaku. Nachmurzyła się twarz Lubonia, ale wola książęca musiała się spełnić. Jarmierzowi kazano wydać, co potrzebował Włast, aby wstydu ojcu nie uczynił.

Wszystko, co żyło w domu, zbiegło się do przybyłego, który o dworze opowiadać musiał, co widział tam i słyszał. Stara Dobrogniewa, milcząc, przysłuchiwała się także, ale z twarzą posępną. Wolałaby mieć na oku wnuka, zwłaszcza że podejrzenia jej co do chrześcijaństwa nabrały teraz większej jeszcze wagi. Po odjeździe Własta stara potajemnie rozwinięła zostawione przez niego sakwy i znalazła w nich kielich srebrny, patynę, ampułki, wyszywane przybory do odprawiania mszy świętej służące, co wszystko za czarodziejskie jakieś narzędzia chrześcijańskich wieszczków mając, wnuka już zgubionym sądziła. Ona, jak Luboń, nie widzieli innego ratunku, tylko ożenienie go i trzymanie na oku. Pobyt na dworze nie był im na rękę. Gdy oprócz innych rzeczy Włast i swojego zostawionego węzełka zażądał, stara wydała go wprawdzie mruczając, ale zasępiła się więcej jeszcze.

Tymczasem dobywano szaty i uzbrojenie, wyprowadzono innego konia i

Jarmierz się krzątał pilno około wyprawy syna pańskiego. Luboń na próżno dopytywał, dokąd jechali i na jak długo, i nie dziwił się, gdy syn mu odpowiedzieć nie umiał, gdyż nie było w obyczaju knezia naprzód oznajmywać o sobie. Stary ojciec tym się pocieszał, że wyprawa cel musiała mieć wojenny i że syn się zaprawi do oręża.

Ściemniało już nieco, gdy się przygotowania skończyły i na koniu

objuczonym Włast, pożegnawszy swoich, nazad ku Cybinie wyruszył. W

pierwszej swej jeździe z Poznania miał za przewodnika konia, teraz, choć drogę mu rozpowiedziano i on sam ją sobie przypominał, gdy w las wjechał, nie bardzo jednak sobie umiał poradzić. Dróg wielkich nie było, gdzieniegdzie lasem i zaroślami prowadziła mało wybita ścieżka. O zmierzchu niedobrze ją było można rozeznąć. Puścił się więc, kierując mniej więcej w stronę, w której gród, jak mu się zdało, leżeć musiał. Noc nadchodziła szybko, pusto było dokoła. Włast niecierpliwy, zwracając się raźnie podług swej myśli, w końcu się zupełnie obłąkał. Las coraz był gęstszy, zarośla niedostępniejsze, a mrok we wnętrzu jego trudno rozpoznać dawał drogę i kierunek. W gęstwinie żadnego głosu i znaku życia nie było, wreszcie z koniem się przez nią przedzierać coraz stawało trudniej. Zsiadłszy więc z niego, dla lepszego rozpoznania ścieżek i prowadząc go w rękę, szedł Włast, nie wiedząc dobrze, co pocznie. Dosyć już, długo błądził tak, coraz mniej mogąc zmiarkować, w którą się miał kierować stronę, gdy z głębi lasu z dala postrzegł światółko.

W miejscu tym podnosiło się nieco wzgórze lasem zarosłe i ogień

rozpalony był na jego wierzchołku; kłęby czerwonego dymu wiły się pośród drzew i płomienie oświecały wysokie pnie starych dębów. Włast, zbliżając się, dostrzegł gromadę ludzi, z których jedni stali, drudzy siedzieli dokoła ogniska.

Uszu jego dochodziły stłumione i zmieszane głosy. Niepewien będąc, na kogo trafił i lękając się, aby go samotnie jadącego nie odarto, przywiązawszy u dołu konia do pnia sosny, sam pieszo poszedł po cichu na zwiady. Ostrożnie się przedzierając przez krzaki, z wolna zbliżył się ku wierzchołkowi wzgórza, tak że mógł już ukryty za kłodą obaloną dojrzeć i słyszeć, co się tu działo.

Płaszczyznę wzgórza okrywały rzadko rozsądzone drzewa olbrzymie. W

pośrodku najogromniejszy z nich stał dąb rozłożysty, którego gałęzie wielką przestrzeń ziemi osłaniały. U pnia jego głąz mchem obrosły, na pół w ziemię wpadły, widać było przy ognisku. Kilkunastu ludzi z brodami długimi, z dzidami i kijmi w rękę stało nie opodal, kilku siedziało. Naczynia gliniane na kamieniu rozstawione były.

Z kolei starcy ci głos zabierali. Niektórzy mówili tak cicho, że ich posłyszeć nie było można, inni podnosili głos. Włast, który w ciągu pobytu na grodzie zbliżał się przez ciekawość nieraz do świątyni, spostrzegł tu te same twarze, które tam widywał.

Byli to wieszczkowie i gęślarze od kontyny, a z nimi i inni jacyś ludzie.

Miejsce musiało być ofiarne, co kamień zdawał się oznaczać. Rozpoznavszy nieco ludzi i twarze, Włast przysunął się bliżej. Tu mógł już słyszeć, co mówili, i wyraźniej widzieć starych, co ołtarz otaczali.

- Z Niemcami - mówił jeden - i z ludźmi, co u nich żyli, obcuje ciągle, nami on gardzi. Pieśni posłuchać nie chce, a trafi na nią, to się śmieje i ramionami rusza. Ponawracali na swą wiarę Lutyków i Obotrytów wielu, wzięli Czechów. Przyszła kolej na nas. Biada nam, ten nas zgubi, ten, nie kto... z oczów mu to widać!

- U niego na dworze - rzekł drugi - najlepsi ci, co zdradę od nich czuć. Do kontyny po wróżbę nie pośle, gdy idzie na wyprawę, nas nie pyta. Wieszczyby żadnej nie chce, niewolnika jak nie zabito na ofiarę, lat już wiele...

- Bojan niech powie - przerwał inny - czy kiedy on albo siostra poszli się pokłonić do gaju, albo złożyli obiatę. Nigdy!

Szemrano coś niewyraźnie.

- Czuć u nas to, co było w Czechach: kontyny obalą, drzewa wytną -

krzyknął jeden - a Niemców zaprowadzą!

- Niedoczekanie ich! - ozwał się potężny głos z ziemi. - Nie da się lud, obroni bogów swoich! Pilne na niego mamy oko. Stogniew, który ucho jego ma i od boku nie odstępował nigdy, pierwszy wstanie przeciw niemu. Wstaną kneziowie inni, kmiecie wszyscy. Uczynią mu, co zrobili z Leszkami.

Znajdziem wodza innego.

- Lud zbrojny ma w ręku...

- Nie pójdzie z nim na nas, - rzekł siedzący, - nie pójdzie.

Gwar powstał znowu.

- Gdy tylko zdrady znak da, ubiją go - mówił jeden.

- A Sydbór? - zapytał ktoś z tłumu.

- O! Ten mu służy jak niewolnik i uczyni, co każe.

- Na co nam Sydbora, mamy innych.

Zaczęli po imieniu liczyć nieznanym Włastowi władyków i kmieci.

Niektóre tylko w pamięci utkwic mu mogły.

Na ziemi, u kamienia siedzący wywoływał tych, którym ufano.

- Zawisła, Nadek, Sulin, Stanieć, Radosz, Besior, Sulenta...

Wtem z boku krzyknął ktoś imię ojca jego: - Luboń.

- Nie - zaprzeczył drugi. - Luboń mu nogi liże.

Gwar i sprzeczka powstała, a ktoś Stogniewa o zdradę zaczął obwiniać.

Inni go bronili mówiąc, że pewni byli, iż wiary dotrzyma i swoją ręką gotów ubić pana, gdyby chciał z Niemcami trzymać i ich wiarą. Dość długo trwała rozmowa coraz gwarniejsza, przerywana cichymi szeptami, aż pieśń jakąś starą zawodzić poczęto. Przerwała ona radę i spory.

Włost już dłużej słuchać nie mógł i nie chciał, dosyć mu było tego, co pochwycił; nazad więc zszedł do konia, którego znalazł z zaplątanymi cugłami u drzewa, siadł nań i na los już puścił się, nie kierując wcale. Noc była nadeszła gwiazdzista, pogodna ale ciemna, koń, instynktem szukając drogi łatwiejszej, wyprowadził go na łąkę. Zrozpaczywszy, by na noc mógł się dostać do grodu, chciał na niej obozować do dnia Włost, gdy cień idącego człowieka dostrzegł

nie opodal się przesuający. Ozwał się doń nawołując. Człek stanął.

Zbliżywszy się, ujrzał zbłąkany starca o kiju, znać jednego z tych, którzy na wzgórzu byli na radzie, powracającego do chaty. Zawołał nań, o drogę do grodu pytając.

Przypatrzwszy mu się bacznie, stary wskazał ręką kierunek dodając:

- I ja tam idę. Z boru prędko wydostaniemy się, a za borem widać gród, traficie doń sami.

Na zapytanie, skąd by jechał, odparł Włost, że z Krasnejgóry; nie znając drogi zbłąkał, a do grodu mu było pilno.

- A wyście tu obcy? - spytał stary, idąc powoli koło konia.

- Obcym nie jestem - rzekł Włost - alem tu nie bywałem dawno.

- Wojowaliście?

- Nie, - począł spytany - w niewoli byłem u Niemców.

- Psie syny - mruknął stary. - Wszystkich nas oni po biorą i wpręgą do pługa. Pobrali już braci naszych nad Łabą, nad Odrą, poburzyli kontyny, powycinali gaje. Zdradzili nas knezie nasze i sami do nich poprzystawali, starszyzna nas sprzedała, ale przyjdzie czas i na starszyznę, i na nich. Dosyć my się leż napili, drudzy krew pić będą musieli.

Umilkł chwilę stary, ale idąc mrucał, jakby przeklinał, a że Włost mu nie wtórował i nie odzywał się, umilkł wkrótce. Z tych słów i z tego, co podsłuchał

na wzgórzu, mógł się przekonać Włost, jakie było usposobienie między Polany.

Z lasu wyjechawszy, już widać było z dala rozrzucone światła i ogniska nad Cybiną.

- Jedź odezwał się stary - wam pilno. Ja pójdę pieszo powoli. Ze starym się wlec młodemu nudno.

I spuściwszy głowę na piersi, pokazał mu ścieżkę wiodącą do grodu.

Włast konia popędził i wprędce stanął u okopów, gdzie straż przy ogniskach leżała. Nie wstrzymał go nikt, wjechał więc do uśpionego zamku i zabrawszy sakwy swoje, postawiwszy konia, pospieszył do ojca Gabriela.

Rozdział 8.

Piękny był wieczór kończącego się lata, poza którym już nieco

nadchodzącą jesień czuć było. Przeszły lipcowe skwary, noce zaczynały być orzeźwiająco i chłodne, drzewa wprzód powarzone upałami zdawały się odżywać na nowo. W blaskach popołudniowych, w świeżej tej zieleni drzew, zwieszonych koronami nad Wełtawą, jak gdyby wody jej pić chciały, cudnie wydawała się okolica Pragi ze wzgórzem Hradczyna, którego mury widać było sterczące wysoko.

Gromadka z kilkudziesięciu ludzi złożona, zbrojnych i dostatnio

poprzybieranych, zatrzymywała się właśnie w gaju nad rzeką, dla spoczynku i narady o dalszym pochodzie. Miasto już stąd widać było.

Podróżni przybyli z dalekiego znać kraju, konie mieli zdrożone i suknie pyłem okryte. Niektórzy ocierali pot z czoła i zsiadali z wierzchowców, aby się po męczącej wyprostować jeździe. Wybrano na to ustronny, cienisty kątek nad rzeką, aby ludzie i konie przed wjazdem do obcego miasta, oczyszczone i przybrane, lepiej wydać się mogły. Orszak, mimo że ucierpiał w podróży, okazał się wydawał; składająca go młodzież była urodziwa i silna, konie piękne i okazałe, opony na nich z sukna cienkiego, broń jednakowa u wszystkich doborna i droga. Sama liczba ludzi towarzysząca panu, który właśnie pod drzewem spoczywał, mówiła o jego znaczeniu. Kneziem po drodze mianowali go i ci, co go nie znali, czołem mu bijąc nisko.

Z juk na luźnych koniach zdejmowano właśnie, co było potrzeba włożyć na konie i ludzi, aby nie lada jako się pokazać u obcych. Tymczasem gromadka wojaków wesoło się rozpierzchnęła po okolicy, szukając cienia, pragnąc wody.

Orszak ten, stojący chwilowo obozem pod Pragą, należał do Mieszka,

Ziemiomysłowego syna.

Widać było wśród niego Dobrosława Wiotkiego, Własta, syna Lubonia i starego jeńca, ojca Gabriela, którzy razem na uboczu się trzymali. Oprócz nich nikt, gdy wyjeżdżali z grodu nad Cybiną, nie wiedział, dokąd jadą i po co.

Domyślał się może bystrzejszy Stogniew z tego, co wieźli z sobą, że nie na wojnę się wyprawili.

Prowadzeni przez Dobrosława drogami mu znajomymi, na pozór bez żadnego drogi śladu, górami i lasami gęstymi, przedzierali się podróżni, idąc za brzegiem Łaby i Wełtawy, aż do stolicy czeskiej, do Pragi.

Zręcznie musieli unikać i wymijać grodki nad rzekami, osady w parowach i kupki włóczących się za łupieżą Serbów, Niemców i różnych rabusiów

zbrojnych. Ale w tym przedzieraniu się cichym, do którego wdrożeni byli, na męstwie i przebiegłości nie zbywało ludziom Mieszkowym. Dobrze zbrojni, silni, byliby się i dwakroć większej nie ulękli gromady. Na czeską ziemię wszedłszy, już śmieiej posuwać się mogli, bo Dobrosław miał słowo książęce.

Bolko Luty wiedział o odwiedzinach Mieszka i rad mu był bardzo; różne rachuby wiązały się z tym zbliżeniem dwu kneziów sąsiadujących z sobą.

Polański pan i czeski oba pono liczyli na siebie; obu się marzyło może, Bolkowi szczególnie, który potężniejszy się czuł i o cesarstwo opierał, że pobratyma hołdownikiem podległym sobie uczynić potrafi. Zwycięstwo nad Ugrami odniesione wzbijało Bolka w dumę, a podległość cesarstwu czasowa nie upokarzała. Z tej mógł się on wyzwolić, kiedy chciał, a do tego wszak i Mieszko mógł mu być pomocnym.

Przodem wysłany Dobrosław wyrozumiał dobrze, iż tu zdrady nie knują, bo z niej by nie mieli korzyści.

Mieszko jechał, też w głowie coś obmyślając, przez całą podróż

zadumany i chmurny. Raz z noclegu chciał zawrócić nad Cybinę, potem Dobrosława badał znowu, a gdy stanęli na ziemi już ochrzczonej, niepokój zwiększył się jeszcze. Kneź się wszystkiemu przypatrywał z ciekawością chciwą, czasem z trwogą prawie. Tu już panował wszędzie ten Bóg wielki, jedyny, potężny, któremu on jeden, poganin, nie kłaniał się jeszcze.

Gdzeniegdzie spotykali po drodze ślady świeżego jeszcze nawrócenia, powycinane gaje święte, obalone ołtarze stare, u krynic pozatykane niedawno krzyże drewniane, ściany rozwalonych kontyn, zielskiem porośłe, wśród których też sterczały już znaki nowej wiary.

Na widok tego zniszczenia, wydającego mu się świętokradztwem,

Mieszkowi twarz płonęła gniewem, niedowierzająco spoglądał na spokój, który te miejsca otaczał, dziwiąc się, iż starzy bogowie krzywdy swej nie mścili.

Mimowolnie rodziła się wątpliwość o ich sile. Każdy krzyż obawą go napełniał.

Spoglądał nań z zabobonną trwogą, azali nie pozna on w nim obcego i wroga. Z

tymi w duszy wrażeniami niepokojącymi Mieszko przybył aż pod Bolesławową Pragę.

Dobrosław, jakby odgadując myśli jego, dodawał mu ducha, ręczył i

zapewniał o gościnnym przyjęciu. Kneź słuchał i milczał.

Komornicy przynosili mu właśnie bogate ubranie i płaszcz czerwony,

złotem szyty, który miał wdziać na siebie, Włast podawał kołpak, drugi miecz przypasywał, gdy z dala nadbiegł Stogniew z twarzą dziwnie rozpromienioną i wesołą.

- Miłościwy Panie, - zawołał, - zanim na hrad pana Bolesławowy

przybędziemy, zaprawdę warto się przyjrzeć tutejszym niewiastom. Ja się im już nie postrzeżony tu przypatrywałem. Krasne stworzenia! Oto tu, nie opodal nad rzeką, przybiło ich kilkanaście czółnami, czy dla kąpieli, czy dla zabawy.

Usadowiły się na łące w gaju i śmieją się, płasają a śpiewają i pieśni zawodzą.

Muszą być chyba z pańskiego dworu, bo pięknie strojne i wyglądają jak królowny. - To mówiąc na zarośla ukazywał.

A chociaż mówił dosyć cicho, komornicy pańscy coś o dziewczętach

posłyszeć musieli i kilku z nich zaraz biec poczęło w stronę ukazaną, ale Stogniew pogroził im, wstrzymał i cofnął, aby nie spłoszyli pierzchliwych.

Mieszko porwał się spieszenie i począł iść za Stogniewem, który go poprzedzał, na Dobrosława też skinąwszy, aby mu towarzyszył.

Za łąką, na której spoczywali, gaj się w tej stronie poczynał podszyty i gęstwiną można się było podkraść do miejsca, ku któremu Stogniew prowadził.

Dokoła osłaniały kawał zielonej murawy u brzegu drzewa z pospuszczanymi w dół gałęzmi. Cicho było w tej ustroni i chłodno, od oczów ludzkich zakrytej, a Węłtawa, mrużąc, myła zwieszane nad nią trawy i kwiaty. Na falach jej, tuż u brzegu, kołysało się czółen kilka okrytych suknamy; z tych właśnie reszta gromadki postrojonych, kraśnych dziewcząt wysiadała, poskakując, wiosła rzuciwszy na nie.

Temu, co znał czeskie podania, wydać się mogło, że Własta z grobu

wstała ze swoimi towarzyszkami i jakaś Lumirowa pieśń ze słowa w widmo się zmieniła .

Dziewczęta wszystkie prawie jednako były poubierane, w wianuszkach

dziewiczych na głowach, z kosami w krasne wstęgi wplecionymi, w białych, cienkich gieźlach, szytych wzorzyście i malowanych zapaskach. Niektóre z nich były bose, inne stąpały w chodaczkach wyszywanych z czerwonymi, około nóg poopatanych sznurkami. Biegały po łączce, jakby sposobiąc się do jakiejś zabawy. Śmieszki rozlegały się wesołe, ale tłumione jakby poszanowaniem i trwogą, którego pobudkę odgadnąć było łatwo.

Wśród tego wieńca dziewczątek, od lat piętnastu do osiemnastu,

dobrych jakby do wieku i miary, stała urodziwa dziewczica, którą po stroju i twarzy poznać było można za panią. Głową całą, wzrostem bujnym przechodziła towarzyski swe, a postawą poważną i dumną wszystkie je gasiła. Z wianku i kos znać w niej było dziewicę, nie dopiero rozkwitła, ale w pełnym młodości kwiecie. Starszą była znacznie od swych towarzyszek, zdawała się też mieć zwierzchnią władzę nad nimi. Dziecko pańskie, krew rycerską, potomstwo Jakiejś Libuszy czuć było w pięknej pani. Silna jej dłoń biała nie ulękłaby się znać miecza ani cugli szalonego konia; na twarzy nieco smagłej, w czarnych oczach ognistych pałało nieustraszone męstwo, ale razem z nim swobodna panowała wesołość. Nie zbywało jej na wdzięku niewieścim w ruchach

zręcznych, ale męska śmiałość z nim się łączyła.

Taką niewiastę-panią niełatwo było spotkać i zobaczyć, gdy one

wszystkie sługami były, i Mieszko, ujrawszy ją, wlepił oczy ciekawe, oderwać ich nie mogąc od tego zjawiska, wydającego mu się czymś czarodziejskim, wyższym i doskonalszym nad to, co widywał w życiu. Wśród kilkunastu młodszych i piękniejszych ona ciągnęła oczy jak królowa.

Na pierwszy rzut oka otaczające ją dziewczęce twarzyczki gasiły, ale po tamtych oko przebiegało, a od tej wzrok oderwać się nie mógł. Rysy twarzy ostro się znaczyły i dobitnie, coś męskiego miały w sobie, ale niewieści urok okraszał je uśmiechem; białe zęby wśród ciemnych ust różowych jak dwa sznury pereł jaśniały. Siłą, wzrostem, urodą wśród tej gromadki nieznajoma pani zajmowała pierwsze miejsce.

Wszystkie dziewczęta patrzyły jej w oczy, czekały skinienia, zdawały się chcieć zgadnąć myśli. Dziewica, mianując je po imionach: Młada, Hodka, Swatawa, Radka, Wratka, Czastawa, jakby z pieśni pożyczonych, wyznaczała im miejsca na łące, stawiała kołem przy sobie, kazała się brać za ręce i plasnąwszy w dłonie białe, dała znak.

Razem ze wszystkich ust odezwała się piosnka rzewna jakaś na pół, na pół wesoła, dziewczęta w takt jej się poruszyły i śpiewając poczęły płać, obracając się około pani. Ona, stojąc w pośrodku ich, słuchała z widoczną rozkoszą, nucąc z cicha, pochylając głowę, niekiedy przyklaskując w dłonie, lubując się skokom i pieśni.

Widok tej zabawy dziewiczej poruszył knezia i zajął niewymownie; oczy mu zabłyśły i usta się śmiać poczęły. Ukryty w zaroślach wpatrzył się tak, że o wszystkim, co go otaczało i czekało, zapomniał, gdy Dobrosław, z lekka potrąciwszy go, szepnął mu do ucha:

- Kniehini Dubrawka!

Była to w istocie córka Bolesława, jedyna po wnijściu Młodej do

klasztoru. Dubrawka, która dotąd nie znalazłszy sobie małżonka i nie szukając go pędziła życie swobodne przy ojcu, nie bardzo o przeszłość się troszcząc. W

jej pięknych rysach, na pół męskich, widać było bujną krew tego rodu Przemysławów, który w złym i

dobrym nie znał miary, wnuczka Drahomiry Lutyckiej, co nad miłość własnego dziecka przeniosła chęć panowania; córkę Bolka Lutego, co nad sobą starszemu nie chciał dać przewodzić, synowicę Wacława, co pobożnością stał się niemal kapłanem, cnotą doszedł świętości, pogardą życia męczeństwa, krew rodu pańskiego, wojowniczego, stworzonego do królowania i dowództwa. Ojciec jej był jednym z kneziów czeskich, a został

jedynym. Co mu nie ulegało, pościwał.

Takiej niewiasty męznej i silnej wśród ówczesnych pokornych i

bojaźliwych, bo je do tego z dzieciństwa wdrażano, Mieszko nawet nie marzył.

Znał je trwożliwymi tylko, zuchwałymi w gniewie, a rozpływającymi się we łzy na skinienie, płochymi i płochliwymi. Ta niewiasta, jakby stworzona dla wojaka, zachwyciła go. Zapomniawszy się czy umyślnie, Mieszko gąszcz, która go zakrywała, przebił i stanął na widoku, aby się swobodnie przyjrzeć tej królowi i pięknym jej towarzyszkom.

Lecz za ledwie się ukazał, kilka dziewcząt spostrzegło tę strojną postać mężczyzny nieznanego, obcego, nagle zjawiającą się, jakby czarem z ziemi wyrosłą i pieśń zmieniła się w okrzyk przestachu. Zakrywając oczy, rzuciły się strwożone i pobiegły do czółen, szukając w nich schronienia.

Jedna Dubrawka nie ulękła się wcale, choć nie wiedziała jeszcze, co ten strach wzbudziło, i odwróciła się, śmiało a groźnie spoglądając w tę stronę, gdzie stał Mieszko. Zadziwił i ją też zapewne człowiek nieznanany, który śmiało tak podejść na zabawie i podpatrzeć. Z brwią namarszczoną spojrzała groźnie na Mieszka, który stał uśmiechając się.

Groźna twarz dziewicy wcale go nie przeraziła; dopiero wpatrzywszy się w nią, gdy spostrzegł na szyi wiszący krzyżyk, spochmurniał. Znak ten spotykał

wszędzie, nawet na tej pięknej kniehini.

- Kto wy jesteście? Co tu robicie? - donośnym głosem zawołała

Dubrawka.

- Piękna Kniehini - rzekł, ośmielając się, - Mieszko jestem wojak

podróżny, szukam służby do wojny, może Wy mnie przyjmiecie?

Dubrawka popatrzyła nań długo, z dźwięku mowy, do czeskiej tak

podobnej, a trochę różnie brzmiącej, starając się odgadnąć, skąd by ten przybysz pochodził. Suknia bogata świadczyła o nieprostego stanu człowieka. Płaszcz miał na sobie książęcy.

Żartobliwie jakoś zaczęły się jej uśmiechać usta.

- Hej! - rzekła, biorąc się w boki. - Nie proście wy się na służbę do mnie, służba ciężka, spokoju nigdy nie ma, nie wydołalibyście u mnie! Wojaków moich głodem morzę, a gdy się popsują, policzkami naprawiam. Niezdrowo służyć u mnie!

- Jednak mi jakoś nie strach tej grozy - odparł, swobodnie przybliżając się ku niej, Mieszko. - A cóż Wy sługom płacicie, piękna pani?

- Ho! - Różnie! - poczęła wesoło Dubrawka. Czasem kijami, czasem

różgami, niekiedy ciemnicą o chlebie i wodzie. Ja bym was też do służby nie przyjęła, boście już musieli wielu takim panom służyć. Ano, choć nie mój sługa, ukaraniaście godni. Kto wam tu się wkraść pozwolił? Radzę wam, uchodźcie, bo moim dziewczynom każę na was uderzyć, a to wszystko Własty wnuczki i wojaczki z Dziewina!

Mieszko rozśmiał się głośno.

- Ano, piękna Kniehini, wydawajcie do wojny rozkazy! Kiedy wojna, to wojna... Gdy mi ją wypowiecie, na Was pierwszą uderzę.

Słyszając to wezwanie, dziewczęta na pół w czólnach pochowane,

ośmielone żartobliwą rozmową, głośno się śmiać poczyniły i chichotać.

Niektóre groźnie wiosła podniosły.

- Jam tu też może nie sam i nie bez obrony - rzekł Mieszko - a jak klasnę w ręce i moich zawołam, weźmiemy wszystkie do niewoli.

Dubrawce żarty te podobać się musiały, patrzyła na nieznanego z coraz większym zajęciem.

- Wieluż tam was jest na wojsko moje? Macie tam choć dwie sotnie? -

odezwała się śmiejąc.

Wtem wiszący na sznurku rożek wzięła w rękę i pokazała go kneziowi.

- W tym rożku u mnie więcej żołnierzy na obronę, niż wy mieć możecie do napaści.

I wskazała ręką ku Hradczynowi.

- No, to zawrzyjmy pokój z sobą, piękna Kniehini - odezwał się Mieszko.

- Dajcie mi jeno okup, choćby wianuszek wasz, to Was puszcze całą.

- Kto? Ja wam okup? Wianuszka wam się zachciało? Chyba wy mi się

wykupicie, gdy was życiem daruję.

- No, zgoda, okup! Przyjmiecie okup ode mnie? zapytał Kneź.

Milcząc popatrzyła Dubrawka na mówiącego, jakby odgadnąć pragnęła,

kto był; uśmiechała mu się bez gniewu.

Mieszko miał na palcu pierścień stary, który z domu wiozł, aby go komu dał jako zapłatę lub podarek. Siedział w nim spory kamień czerwony, grubo złotem w plecionkę okuty. Nie mówiąc nic, zdjął go z palca i podał Dubrawce.

Kniehini, spojrzawszy nań, zarumieniła się mocno, ale nie gniewnie; nie wiedziała sama, czy go ma przyjąć lub odtrącić. Milczała.

- Chcieliście ode mnie okupu - rzekł Mieszko. - Oto go macie; niewielki on jest, ale i wina nie straszna.

To mówiąc zbliżył się o krok jeszcze do kniehini i gdy się najmniej spodziewała w twarz ją zuchwale pocałował. Właśnie w tej chwili, jakby na próbę, przez ciekawość pierścień na palec kładła.

Z krzykiem i gniewem popchnęła knezia od siebie Dubrawka tak silnie, że Mieszko się zachwiał i pierścień zostawując w jej rękach, natychmiast w gąszcze uszedł, śmiejąc się wesoło.

Tu czekającym nań Stogniewowi i Dobrosławowi dał znak, aby za nim

spieszyli do koni. Stały one już w gotowości na łące i na dany znak wszyscy posiadali na nie. Naówczas Stogniew orszak podzielił i ustawił w porządku.

Dobrosław samoszost jechać miał na zamek przodem z oznajmieniem i

pokłonem do Bolesława, z prośbą, aby w gościnę był przyjęty nie jako pan polańskiego kraju, ale jako kneź znad granicy. Wysłaniec miał poprzedzić orszak pański, który wolnym krokiem zwrócił na drogę ku Hradczynowi.

Jeszcze się wszyscy ustawiali na łące, w środek biorąc konie juczne i niepokazną czeladź, Stogniew ludzi dobierał i szykował, gdy śmiała Dubrawka puściła się sama w pogoń za uciekającym nieznajomym i z gąszczy miała czas się przy patrzeć Mieszkowi, gdy na koń siadał z całym swoim orszakiem.

Chciała zrazu zawołać nań, aby sobie pierścień wziął nazad, nie będąc rada zuchwałemu podarkowi, lecz zobaczywszy, że Mieszek otoczony był znacznym orszakiem, zawstydziała się i zachowała go na palcu, nie wątpiąc, że kto by kolwiek był ów nieznajomy, musi się zjawić na zamku, nie gdzie indziej jak tam zmierzając. Zgadnąć, kto by to był, trudno jej było, jednakże z rysów twarzy szlachetnych, z butnej postawy, z wielkiej tej śmiałości człowieka domyślała się kniehini równego sobie stanu jakiegoś pogranicznego pana. Mowa świadczyła, że nie należał do niemieckiego plemienia.

Zadumana stała tak dosyć długo, spoglądając za odjeżdżającymi, aż

dopóki jej z oczów nie znikli. Kierunek, którym odjechali, upewnił ją, że do Pragi dążyli. Zabawa była już przerwana i popsuta, wnet więc dziewczęta na czółna siadły i Dubrawka z nimi popłynęła do stóp wzgórza, na którym Hradczyn się wznosił.

Od wjazdu na czeską ziemię spotykając ciągle krzyże i oznaki

chrześcijaństwa, Mieszko nękany był tą myślą, jak on, poganin, przyjęty zostanie przez pobożnych teraz i surowych Przemysławiczów. Owo podanie o Borzywoju, któremu ze psy na ziemi jeść dano, przychodziło na myśl

nieustannie i burzył się na przypuszczenie podobnej obelgi, której by był nie ścierpiał, choćby tam miał życie poświęcić. Jadącemu więc przodem

Dobrosławowi powiedział raz jeszcze:

- Oznajmijcie bratu Bolkowi, że poganinem jestem, zem nie chrzczony, ale przez to zniewagi sobie uczynić żadnej nie dopuszczę. Jeśli jako brata dla pogaństwa mego znać mnie nie chcę, od wrót jego precz wolę odjechać.

Ani też myślał Bolesław dać poznać Mieszkowi, iż go przez to niższym od siebie czuł; pragnął go zyskać, nie narazić. Oba byli wzajem potrzebni sobie.

Z wolna, drapiąc się po przykrej i stromej drodze na górę, orszak

Mieszków zbliżał się ku wałom, opasującym gród Bolesława. Z dala już widać tu było inny kraj i obyczaj, większą potęgę i umiejętność, przyniesioną z Zachodu. Kamienne ściany otaczały dokoła warownię, ponad nimi widać było dachy malowane, a wyżej nad nie sterczał krzyż wielki na kościele Świętego Wita, którego widok przejął znowu Mieszka trwogą i niepokojem.

Był tu pod panowaniem krzyża. Nad głowy wszystkich, nad dwór

książęcy, nad góry i lasy w obłoki wzniesiony królował ten znak tajemniczy, który już całym prawie władał światem i jednoczył świat cały. Wlepiwszy weń oczy, jechał Mieszko. Nie trwożyło go tu nic, oprócz tego wysoko wyniesionego krzyża, któremu królowie i kneziowie, co żyło, podlegało. Krzyż ten już stał nad polańską granicą; uznać tego Boga poganinowi zdało się przejściem ze swobody i bezkarności do niewoli i posłuszeństwa. Wydał mu się nieprzyjacielem ten znak wysoko, dumnie świecący ostatnimi zachodzącego słońca promieniami na niebiosach.

Dobrosław, pospieszywszy przodem, znacznie prędzej stanął na zamku w Hradczynie, opowiedział się u bramy, poznany został i wpuszczony, a starszy od dworu Bolesława poprowadził go do knezia.

Spoczywał Luty Bolko, gdy mu o gościu znać dano, ale wstał wnet, choć ociążały był już i osłabły wiekiem. Twarz jego, nasepiona, blada od zmarszczek poorana, oczy niespokojne biegające pod nawisłymi brwiami, zaciśnięte usta, czyniły oblicze jego groźnym, choć lata i wspomnienia przeszłości znacznie srogość dawną złagodziły. Dzikiego coś zawsze pozostało w rysach tego władcy, na którego ramionach ciążyło niezmyte znamię kainowskiej zbrodni i niezliczona moc krwawych zapasów, którymi się dobijać musiał panowania nad zjednoczonym państwem swoim.

Długa pokuta, ofiara dwojga dzieci nie zgładziła jeszcze tego piętna bratobójczego, którego pamięć odżywiały cuda grobu Wacława. Krwawy ów poranek dnia świętych Kuźmy i Damiana w przedsięwzięciu kościoła w Bolesławiu, po wielu latach stał w oczach starca do dziś dnia .

Gdy Dobrosław stanął przed nim, schylając się do kolan i oznajmując przybycie pana swojego, starzec poruszył się żywo, z widoczną radością przyjmując nowinę. Wnet kazał podać sobie suknię wierzchnią bogatą, kołpak książęcy, przypasał miecz i ująwszy w dłoń laskę, zawołał na dwór i komorników, na starszyznę, by mu towarzyszyła. Posłano po młodego Bolka, syna książęcego, dorodnego i dojrzałego już męża i na jego ramieniu spierając się, otoczony mnogim dworem, zszedł stary kneź w podwórzec zamkowy.

Ale tu jeszcze dobrą chwilę stać musieli, nim we wrotach ukazał się na siwym koniu jadący, Mieszko. Ujrawszy gospodarza i orszak jego, wnet z konia skoczył przybywający i stała się w nim zmiana, na którą ci, co go znali, patrzyli ze zdumieniem, nie sądząc, by do niej był zdolnym.

Dumny kneź stał się na widok Bolesława niemal pokornym, z

uśmiechniętą i łagodną twarzą przybliżył się ku niemu i pochylił nisko głowę, kołpak zdejmując.

- Sąsiad do sąsiada, pobratym do pobratymca - rzekł - przybywam do

Was, Miłościwy Panie, z braterstwem i pokojem.

- A ja wam jako bratu rad jestem! - zawołał Bolko, obejmując za szyję.

W tej chwili, wśród tego uścisku, Mieszko mimowolnie wspomniął brata Wacława i kneź sam drgnął, przypomniawszy dzień Kuźmy i Damiana. Po chwili milczenia wskazał na syna.

- Dziecko to moje, bądźcie mu też druham - ozwał się głosem cichym.

Nie rzekłszy więcej, pod ręce się wzięwszy, weszli do obszernego

gmachu murowanego, który Mieszkowi, nawykłemu do drewnianych dworów, wydał się okazałym nad miarę i prawdziwie królewskim.

Inaczej też wyglądały budowy na Hradczynie niż u Polan na ich grodach.

Tu już prawie zupełnie stare owe rzezane i kraszone słupy, ozdoby z drzewa misterne i ciesielska robota wedle starego Słowian obyczaju, znikły. Kamień je zastępował i stropy tylko ozdobne z drzewa przypominały dawniejsze czasy.

Gruby mur z ciasnymi oknami otaczał izby niewesołe, ciemne, prawie

więzienne. Wszędzie pełno było wśród tego mroku świecących, pozawieszanych zbroi, rynsztunków różnych a na stołach naczyń kruszcowych i kunsztownych wyrobów. Ściany gdzieś osłaniały szyte opony kwieciste i kobierce.

Oznaki nowej wiary wszędzie uderzały w oczy. Duchowieństwo, które otaczało Bolesława, którego wychowawcą był syn jego, starało się o to, aby nowo nawróceni mieli na oczach ciągle obrazy, przypominające im ich obowiązki. Nie było jednej izby bez wizerunku Zbawiciela na krzyżu, ze straszliwym realizmem wyrzeźbionego wyraziście i nieforemnie. U każdych drzwi wisiało naczynie z wodą święconą, a na ścianach obrazki w tłach złocistych, których Bizancjum dostarczało.

Przedmioty te, których znaczenia Mieszko się tylko mógł domyślać,

równie go niespokojnym czyniły jak ów krzyż, który ujrzął w obłokach nad Hradczynem. Na pamięć przychodziły cuda, o których słyszał i których się lękał.

Gospodarz i gość po chwili siedli razem na ustroniu, we wgłębieniu muru, z którego okno wychodziło ku Pradze. Dwie ławy kamienne, okryte

wezłowiami bogatymi, jakby dla ustronnej rozmowy przeznaczone się

zdawały. Stary Bolko ręką wskazał Mieszkowi na stolicę, która u stóp jego się rozciągała.

Nigdy równie pięknego obrazu nie widziały oczy Mieszka, do równin

polańskich i lasów nawykłe. Z okna tego widać było wesoło płynącą wśród zielonych drzew i zarośli rzekę. Z głębin tej zieleni sterczały, wybijając się do góry, dachy domostw licznych, rozsypane szeroko i krzyże kilku kościołów.

Zielona wyspa, zarosła także drzewami, jak kosz kwiatów pełny, śmiała się, zdając kołysać na srebrnych wodach Wełtawy.

W milczeniu patrzali czas jakiś oba na ten widok; w oczach starego Bolka jakby łza się zakręciła, choć one do niej nie były nawykłe. Może niedaleki zgon przeczuwał i rozstanie z tym pięknym krajem, okupionym tak drogo.

W owych wiekach i w spotkaniu podobnym rozmowa wcale inną być

musiała niż dwu panujących późniejszych wieków. Oba ci ludzie nie umieli słowem obracać, byli mężami czynu nie języka, oba całej myśli swej

wypowiedzieć ani chcieli, ani mogli, a wybadać się pragnęli. Skierowali ku sobie oczy. Instynkt uczył ich, że wejrzenie mówi w jednym błysku więcej niż na dnię przeciągniona rozmowa,

Mieszko w oczach starca znalazł, co przeczuwał: żelazną wolę i nieugiętą siłę. Bolko we wzroku knezia polańskiego, o którym mało słyszał, nie dobadał

się nic. Pierwszy z nich wiedział, że pokornym być musiał, aby go sobie pozyskać, drugi wcale nie był pewien tego, co gość przynosił z sobą, słabość czy siłę, ale poczuł jedno, że z przebiegłym miał do czynienia. Patrzali tak na siebie, wzajem się uśmiechając sobie, jak dwaj zapaśnicy, co walkę rozpocząć mają.

Mieszko krótkim miał tu być gościem, nie miał czasu do trawienia na długich rozmowach. Czeski pan wiedział też o tym. Położył mu pomarszczoną dłoń na kolanie.

- Za późno, - rzekł, - przychodzisz do mnie; Bolko już nie ten, co był.

Patrz, czoło mi się zmarszczyło, dłoń drży, oczy świata mało widzą, głos osłabł.

Do grobu idę, o śmierci myślę.

- Będziecie żyli długo i panowali, - odrzekł Mieszko. - Macie spokój w domu i siłę, a syna, który wam stoi u boku, i sprzymierzeńców potężnych.

Bolko ręką rzucił.

- Sprzymierzeńcy we wrogów się mieniają - mruknął. - A czemuż wy ich tam, gdzie ja, nie szukacie?

Mieszko spojrział bystro, ale nic nie odpowiedział.

- Niemców nam nie pożyc - dodał stary. - Trzeba mir z nimi zrobić, aby w domu się zagospodarzyć. Do tego miru, bracie mój, Wy wiecie, co trzeba.

Mieszko zadumał się.

- Lud przy swoich bogach stoi twardo - rzekł.

- Macie Waszych wojaków i siłę, zmusić trzeba.

Nic nie odpowiedział Mieszko i Bolesław, popatrzywszy nań bacznie, przestał nalegać zrazu. Z kolei polański pan rozmowę począł.

- Miłościwy Panie - rzekł - nie darmo przybył do Was, jeden u nas język, jedna krew, chcemy Niemca pożyc, dajmy sobie ręce.

Bolko pomyślał.

- Jakże to może być, jeśli przy swoich bogach stać będziecie? - odezwał się.

- Wszak ci Niemcy się nieraz z Wilkami, Obodryty i Lutykami łączyli, choć ci poganami byli jeszcze - rzekł Mieszko.

- Niemcom wszystko wolno! - westchnął kneź. - Siła przy nich. Cesarz i papież rzymski władną dziś światem. Ten, co króluje w Bizancjum, niewiele już znaczy. Uczyńmy przymierze, Mieszku, uczyńmy, ale chrzest przyjąć trzeba.

Spuścił głowę Kneź i umilkł.

Bolko uderzył go znowu po kolanie, jakby obudzić chciał.

- Myślcie ino o tym, wszystko za tym pójdzie.

Wyrazów tych domawiał stary, gdy Wok, który nade dworem po kneziu

miał pierwszą władzę, starzec poważny, z łańcuchem złotym na szyi, przyszedł

z pokłonem, oznajmiając, że chleb i sól czekały. Wieczera już od dawna była gotową, bo kneź wydał rozkazy i polecił, aby wspaniała była.

Cały więc liczny dwór, cały niemal skarbiec stołowy ściągnięto do

wielkiej izby, w której się już paliły pochodnie. Ogromne stoły dla panów i dworów ich ponakrywane czekały. Pod ścianami rzędem stali pachołkowie, jedni trzymający światło, drudzy misy, nalewki srebrne i ręczniki szyte. Dla dwu kneziów zgotowane były przy osobnym stole dwa obok siedzenia, paśowym sukniem okryte. Tu Bolko powiódł po umyciu rąk gościa swego i po prawej ręce go posadził. Osobne misy postawiono przed nimi.

U drugiego też stołu za ojcem siadł młody Bolesław, za nim kilku

duchownych z krzyżami na piersiach. Tych oczy zwróciły się ciekawie na Mieszka, który spojrzeć na nich nie śmiał. Za nimi siedzieli dostojnicy dworu, Wok, Sławnik z Libie i wielu innych w kaftanach bogatych, łańcuchach i sukniach paradnych. U osobnego stołu przyjmowano dwór Mieszków i

starszyznę jego.

Gdy u Słowian, w pogaństwie jeszcze żyjących, niewiasty tylko jako sługi i gospodynie przy biesiadach się ukazywały, tu już obyczaj chrześcijański i rycerski zaprowadzony był i przedniejsze niewiasty a panie wespół z rodziną zasiadały. Prawo to, choć nie wszędzie zaprowadzonym było, po dworach książęcych już ze czcią dla niewiast wchodziło razem.

Gdy z jednej strony Bolko wiódł polańskiego księcia do stołu, z drugiej wchodziła gromadka niewiast skromna, wśród których znalazł Mieszko tę, której szukał. Nie myślał jednak wcale dać poznać Dubrawce, iż pamiętał o niedawnym spotkaniu nad Wełtawą; udał, jakby ją pierwszy raz zobaczył.

Kniehini, mniej trwożliwa, uśmiechała się, patrząc na gościa i mierząc go śmiałymi oczyma, poniżej miejsce swe zajęła.

Ojciec wskazał gościowi córkę, której dwie starsze panie towarzyszyły.

Oczyma tylko jednak rozmawiać mogli Kneź i Dubrawka, gdyż stary Bolko zajmował się gościem mocno. Miód i wino podawano obficie, pić było potrzeba, a starzec po pierwszym kubku rozgrzany poweselał widocznie. Cicho się plotła rozmowa otwarta i raźna, a rubaszna obyczajem wieku.

Bolko spytał gościa o żonę.

Zmilczał zagadnięty.

- Mnie już wszystkie razem, ile ich jest, niewiasty zobojętniały rzekł.

Patrzę na nie jak na wodę kozioł, gdy się napije.

Mieszko w tej chwili spoglądał na Dubrawkę, która mu się bardzo jawnie wdziękowała.

- Wam się ożenić potrzeba z chrześcijanką - dodał Bolko. - Najlepiej ona i wiary nauczy, i zachęci do niej.

Mieszko spojrział w oczy staremu, trzymali kubki w ręku. Któż wie, może Dobrosław potajemnym był swatem.

- Dajcie mi córkę! - odezwał się Mieszko, śmiejąc się. - Wezmę ją.

Zmarszczył się trochę stary.

- Nie rad bym ją dać mimo jej woli, a gdyby chciała, któż wie? Jest tam u Was ich kilka, teć by trzeba precz wygnać chyba.

- Nie będzie mi ich żal - rzekł Mieszko.

Zamilkli nieco, kneź czeski nie opierał się, Mieszko otuchy nabrał.

Tymczasem kubki się napełniały i gwar podnosił wesoły. Młodzież mówiła o łowach i wojnie, o strzelaniu i o koniach, wyzywając się i przechwalając. Czesi Polanów na próbę jutrzejszą powoływali, Stogniew ze swymi nie wzdragał się.

Biesiada przeciągała się długo, ale już o swatach mowy nie było. Rzucone słowa zdawały się zapomniane, choć i Bolko, i Mieszko dumali nad nimi. W

końcu, gdy misy były powypróżniane, a niewiasty znikły nie postrzeżone, po ostatnich kubkach stary Bolko synowi kazał do przeznaczonych mu izb odprowadzić.

Rozdział 9.

Niczym było przyjęcie dnia pierwszego obok tego, co nazajutrz

zgotowanym było. Trzeciego potem rana Mieszko się nazad wybierać począł, stary kneź więc niewiele miał czasu na pochwalenie się ze swym bogactwem, mocą i gościnnością. Gościowi też niewiele godzin zostawało, by zamiar powzięty doprowadzić do skutku. Myśl zaślubienia Dubrawki, z którą z domu wyjechał, musiała lub być porzuconą, albo stanowczo objawioną. Dobrosław wieczorem jeszcze wysłany został z prośbą o rękę kniehini. Przeczuwał ją albo raczej wiedział o niej zawczasu Bolesław, ale zbył posła, odraczając do jutra.

Jak świt, powołał kneź do siebie ojca duchownego, świątobliwego

kapłana Prokopa. Nie zajmował on żadnego widocznego w hierarchii duchownej i wyższego stanowiska, bo go nie pragnął. Apostołował, modlił się i wiódł życie ascety, zamknięty w ciasnej celce na zamku. Resztki dawnej wiary, po całych jeszcze Czechach pod różnymi postaciami się kryjące, trzebił kapłan niezmordowany, nauczał, nawracał, gromił, a miał tę apostołską odwagę, iż potędze ziemskiej z prawdą wiekuiłą odważnie stawał w oczy. Sam Bolko, któremu nieraz inni ulegali duchowni, a któremu ksiądz Prokop mówił prawdę śmiało, szanować go musiał i upokarzać się przed nim. Grubą suknią z prostego sukna odziany, w obuwiu wieśniaczym, z twarzą wychudłą i ogorzałą, z głową przedwcześnie osiwioną i wypełzłą, mąż boży stanął przed starym księciem ze spokojem ducha, który go nigdy nie opuszczał.

- Ojczy mój, - odezwał się kneź żywo, - rady twej potrzebuję.

Starzec skłonił głowę w milczeniu, mówił zwykle mało.

- Wiecie, kogo mam gościem?

- Poganina upartego i żyjącego w grzechu.

- Tak jest. Azaliż nie byłoby zasługą dla mnie i rodu mojego, gdyby przezeń on i naród jego na wiarę świętą Chrystusową się nawrócił?

- Dałby to miłościwy Bóg! zawołał Prokop, ręce podnosząc do góry, i oczy wlepił w starca.

- Mieszko prosi o Dubrawkę za żonę.

- Ze chrztem razem - dodał ksiądz.

- Nie odmawia go on, lecz z pogany swymi musi się wprzódy

zabezpieczyć. Mam mu ją dać?

- Jeżeli przez nią światło i zbawienie wnijdzie na te kraje... a! dlaczegoż byście dziecka dla Boga poświęcić nie mieli? Daliście mu już jednego syna i córkę, dajcie drugą, a przebłagacie gniew i pomstę bożą.

- Dziecka nie chciałbym zmuszać - odezwał się kneź. - Jedno mi

pozostało! Jedno tylko! Idźcie, ojczy mój, przygotujcie ją, ośmielcie, a gdy to uczynicie, ślijcie ją do mnie.

Ksiądz Prokop wyszedł natychmiast. Kneź pozostał sam, w oknie sypialni siedząc. Stąd widok był na obszerny podwórzec, a na nim już młodzież się uganiała z oszczepami, wśród której Bolko i Mieszko też zabawiali się.

Lat niemal trzydzieści ubiegło od pamiętnego poranku dnia świętych

Kuźmy i Damiana, gdy pobożny Wacław także o świcie gonitwy sprawiał

przedśmiertne. Widok tej zabawy przypomniawszy Bolkowi brata, teraz znowu drgnął! Pokuta, ofiary, żal, wszystko to jeszcze zatrzeć nie mogło pamięci tego strasznego poranka. Łzy mu popłynęły z oczów i dłonie zwarły boleśnie.

Drżącymi wargami począł odmawiać modlitwę, a wlepione w podwórzec oczy nie widziały już nic. I nie czuł ani wiedział, ile czasu upłynęło od wyjścia księdza Prokopa, gdy drzwi się otworzyły i Dubrawka, już strojna, cała we wstęgach, łańcuchach i kolcach, z twarzą rozpromienioną weszła do izby ojcowskiej, przypadając do ręki starego, która się ku niej wyciągnęła.

Zdziwił się, widząc ją tak wesołą, a uląkł niemal, że Prokop powiedziec chyba jej nie śmiał, z czym go posłał.

Kniehini, się uśmiechając, patrzyła nań śmiało.

- Dubrawka - rzekł kneź - a widzieliście Prokopa?

- Idę od niego, Miłościwy Ojczy i Panie.

- Mówił on z Wami?

Dubrawka pokraśniała, spuszczać zrazu oczy, potem nagle je na ojca podniosła.

- Mówił...

- Cóż Wy na to? Czy chętnie pójdziecie, niosąc krzyż między pogany?

- Chętnie... z ochotą!

- Tak! zawołała Dubrawka. - Czuję w tym rozkaz boży...

- I nie masz obawy?

- O, nie! - śmiejąc się zawołała Dubrawka. - Mam odwagi dosyć. Kneź

Mieszko straszny mi się nie wydaje.

Bolko widząc, z jaką łatwością córka wybierała się go porzucić, rozstać z rodzeństwem, iść w nieznany kraj, na losy niepewne, uląkł się niemal i posmutniał.

- A nie żal ci będzie Hradczyna i Pragi - zawołał - i mnie ojca starego, i siostry, i braci?

- O, żal, okrutny żal! - przerwała Dubrawka. - Ale nie mówionoż nam, iż przeznaczeniem niewiasty iść za mężem? Jam jak Młada nie stworzona do klasztoru... ja wolę inne życie... mnie cisza ciąży.

Mówiąc, jakby zawstydzona spuściła trochę oczy, ale pół uśmiech krążył

jej po ustach. Podeszła do ojca, w rękę go całując; stary, milcząc, w głowę ją pocałował i westchnął:

- Idź, - rzekł, - niech Bóg cię błogosławi! Idź, i mnie czas do gościa.

Jeszcze raz ucałowawszy rękę ojca, Dubrawka żywo z izby wybiegła.

Stary kneź klasnął na sługi. I on także szedł w podwórze przypatrywać się zapasom młodzieży.

Tak się ten dzień rozpoczął od igrzysk w podwórzu, przy których i

Mieszko mógł popisać się z niepospolitą siłą i zręcznością. Trzaskano włócznie, rzucano oszczepy, biegano pieszo i konno. Uznojeni i gwarząc wesoło, siedli potem wszyscy do uczy, bo obiad naówczas w rannej dawano godzinie. Znowu tedy dwaj kneziowie siedli razem, ale weselszą wiedli i poufalszą rozmowę.

Bolko niemal już jak syna gościa uważał.

Dubrawka przybyła do stołu, ubrana wytworniej jak wczora, z twarzą

figlarnie rozweseloną. Spojrzał Mieszko na nią.

- Miłościwy Panie - odezwał się po cichu - gdybym się wam naprawdę do kolan o córkę pokłonił, co byście rzekli?

Stary pochylił mu się do ucha.

- Weźcie ją sobie i niech Bóg wam błogosławi... Chrzest przyjąć musicie!

- Gdy będę mógł, wierzcie mi i ufajcie, zostanę chrześcijaninem.

- Mówcie z nią sami.

Zaledwie od stołu wstawać poczęto, już się Mieszko nie wahał wprost przystąpić do Dubrawki.

Wszyscy jeszcze byli w izbie i patrzali, jak się zbliżył do niej i odwiódł ją, lekko za rękę wzięwszy, ku oknu; wszystkich też oczy ciekawe zwrócone na nich były. Dubrawka szła śmiało i nie udając wstydlivości niewieściej, która kniehini, wedle jej przekonania, nie przystała.

- Piękna Kniehini, - rzekł Mieszko, - my poganie wierzymy w dolę i losy.

Od wczorajszego wieczora wierzę i ja, że mnie Was dola i los przeznaczyły za małżonkę. Kłaniałem się ojcu Waszemu, chcieli mnie za syna... odesłał do Waszej Miłości. Cóż mam rzec? Chcecie mnie za męża?

Dubrawka mu w oczy spojrzała, uśmiechając się.

- Choćbym Was i nie chciała, toć muszę wziąć, kiedyście mi jeszcze

wczora wasz pierścień narzucili, a u nas pierścień zaślubiny znaczy. Cóż mam czynić nieszczęśliwa? Wysłałabym z niesławą, gdybym przyjąwszy pierścień, nie dała zań wianka? Ano, czekajcie, nie dziękujcie - dodała widząc, że kneź się zabiera znowu ją w twarz całować, nie zważając na oczów tyle, - ano, czekajcie.

Mówiłam wam wczora, że u mnie służba ciężka. Myślicie, że ja na gród pojedę, gdzie niewiast pełno, i że siódma czy dziesiąta siądę z nimi? Jam przecie Bolesławowa córka i chrześcijanka, a u nas obyczaj jedne żonę daje mężowi, jednego męża żonie.

- Nie będzie na grodzie nikogo Miłościwa Kniehini, oprócz Was, a służby Waszej.

- Pierw chrzest, potem wesele - dodała Dubrawka.

Mieszko się schmurzył.

- Weźcie mnie poganinem rzekł i nawróćcie na wiarę waszą. Nie

wzdragam się jej, przyjąc ją ślubuję, ale moich ludzi i naród muszę w garść wziąć, abym i ja, i Wy nie nałożyli głowę. Jeżeli ufacie mi, pójdziecie za mną.

Spojrzał jej w oczy, westchnęła i kładąc rękę w jego dłoni, odezwała się:

- Wierzę Wam... i pójdę za Wami!

Gdy tych słów domawiała, popędliwy Mieszko wpół ją pochwycił i w

czoło pocałował. Na widok tego zuchwalstwa cała izba zatrzęsa się oklaskami i okrzyki; Dubrawka wyrwała się i uciekła. Mieszko poszedł w ramię starego ojca pocałować, a w twarz brata.

Podano miód stary i wesołość się wzięła taka, że nawet smutny Kneź

Bolko rozruszał się i oczy mu zapałały wesoło. Na całym grodzie tejże godziny wiedziano, że Dubrawka kneziowi polańskiemu przyrzeczona. Śpiewy, uczta, okrzyki rozległy się na Hradczynie, a z niego popłynęły na miasto.

Wśród tej wesołości i zajęcia nikt nie dostrzegł, co się działo z gromadką ludzi przybyłych z Mieszkiem, nikt nie widział, jak wszyscy oni niemal posmutnieli i pomieszani stali na boku, jakby zawstydzeni czy strwożeni.

Stogniew, najzręczniejszy z nich, najlepiej w sobie ukryć umiał, co czuł ale w nim się poganina starego krew zburzyła cała i musiał na chwilę wyniść z izby, aby ochłonąć z gniewu. Za nim pociągnął Wojsław, koniuszy książęcy, druh jego i jednej z nim myśli człek. Oba wybiegli nie postrzeżeni w podwórce i spojrzawszy w oczy, ręce tylko sobie podali milczący.

- Jam się tego spodziewał! - zawołał Stogniew, odwodząc Wojsława na stronę. - Jam jechał tu wiedząc, co nas czeka, ale wiem też, co jego czeka dodał, pięść ściskając. - Gdy te Dobrosławy i Własty zaczęły nam się kręcić u dworu, czułem, co z nimi idzie... niewola niemiecka, Bóg niemiecki.

Rozśmiała się Stogniew.

- Niedoczekanie ich! - rzekł. - Wracajmy! Nie trzeba po sobie dać znać nic... Naradzimy się w drodze, a w domu wiedzieć będziemy, co robić.

Wojśław i on, jak zwierzę w klatce zamknięty, przeszli się w ciasnym kółku kilka razy, rzucając myślami gniewnymi; spojrzeli sobie w oczy, podali znowu ręce, Stogniew twarz ułożył i wrócili na powrót do izby, gdzie też Mieszko oczyma ich szukał. Jak skoro zobaczył wchodzących, szepnął

Stogniewowi, by przygotowane dary przyniesiono. Były one bądź co bądź

przeznaczone dla Bolesława, inne, na wypadek, dla Dubrawki. Posłuszny Stogniew skinął na komorników i wyszedł.

Nie upłynęło pół godziny, gdy we drzwiach gwar się zrobił, szli

Mieszkowi ludzie ze Stogniewem na czele szeregiem; każdy z nich niósł

naczynie, zbroję, kosztowny klejnot jakiś. Postrzegłszy ich, kneź wystąpił przed Bolka, pokłonił mu się nisko i przemówił, prosząc, aby miłościwie dary od niego przyjąć raczył. Szli potem z kolei wszyscy, przyklękając i u nóg knezia składając, co który niósł.

Kołem stał dwór, na którego twarzach malowało się nie małe zdumienie.

Nie wyobrażano sobie, żeby w pogańskim kraju mogło się znaleźć bogactw tyle, które tylko z Zachodu zwykle przychodziły. Kupcy od Wschodu przywozili naówczas do Polan wyroby, które mało nawet na zachodzie Europy były znane.

Niektóre z nich, z wielkim kunsztem wykonane, obudzały podziwienie, inne, nie znane wcale, osobliwością swą zastanawiały. Koberce, opony, srebrne ozdoby, brązowe sprzęty, emalie wschodnie, wszystko to na kupę u nóg Bolka złożone zostało. Ludzie, do rąk biorąc dary te, oglądali je ciekawie.

Prosił zatem Mieszko, aby mu wolno było dary złożyć Dubrawce, i

powtórnie wysłał komorników ze Stogniewem po nie. Pobiegł brat po siostrę, aby ją samą do przyjęcia ich przyprowadził, i przyszła Dubrawka zasiąść przy ojcu.

Ten sam obrzęd odbył się po wtóre z tą tylko różnicą, że dla kniehini niewieście przybory, futra, tkaniny i ozdoby do stroju przyniesiono, nie mniej bogate i piękne.

W ten sposób, niemal uroczyście, odbyły się zrzekowiny wobec dworu

całego, gdy ich inaczej i z obrzędem kościelnym nie można było odprawić z powodu, iż Mieszko ochrzczonym nie był.

Ku wieczorowi uczta i śpiewy przedłużały się jeszcze, przy których już Dubrawka swobodnie z

narzeczonym swym mówić mogła. Gdybyśmy te

rozmowy żartobliwe, rubaszne, w duchu owych wieków, powtórzyć mieli, nadto by się one dziwne wydały. W obcowaniu z niewiastami ton ten wesoły był

niemal obowiązkowym.

Mieszko zajęty tym, co się z nim działo, radosny z powodzenia, ledwie miał czas, zobaczywszy Dobrosława, uderzyć go po ramieniu i powiedzieć, że mu daje szeroką ziemię i lasy dla niego i potomków.

Włast przez cały ten dzień się nie okazywał, a nie był też potrzebny. Jako kapłan, z wieczora zaraz zapukał do księży przy kościele Świętego Wita, ich prosząc o gościnę. Ze zdumieniem i radością go tu przyjęto wraz ze starym ojcem Gabrielem, który złamany drogą legł zaraz do spoczynku. Włast, a raczej ojciec Matia, bo tak się tu syn Lubonia nazywał, z niecierpliwością wyglądał

następnego poranka, w którym, po tak długim od ołtarza oddzieleniu, miał

znowu niekrwawą odprawić ofiarę. Wieczór cały spędził na modlitwie, wstrzymując się od pokarmów, legł spać z myślą pełną tego jutra i wcześniej, nim się igrzyska poczęły na podwórku, on już stał drżący przed ołtarzem i zapłakany. Przy drugim mszę świętą odprawiał ojciec Gabriel, dziękując Bogu za cudowne niemal ocalenie. Dobrosław klęczał z dala.

Ojciec Matia tę ofiarę tak upragnioną poświęcił w duchu za nawrócenie rodziny swej i narodu. Lecz myśląc nad trudnym dziełem tym, nad ofiarami, jakie kosztować miało, płakał. Przypomniało mu się, co słyszał nocą na wzgórzu, wracając z Krasnejgóry, co znalazł we własnym domu.

Ojciec Prokop przyniósł mu, tu spędzającemu cały dzień, przy kościele i z braćmi, wiadomość o zaswataniu Dubrawki. Była to wieść radości wielkiej i nadziei. Padł na kolana ojciec Matia, modlił się i płakał znowu.

Imię Stogniewa słyszane w nocy na myśl mu przyszło. Czuł się w

obowiązku kneziowi stać na straży, a w razie najmniejszej oznaki zdrady w oczy Stogniewowi zadać ją i wyzwać, by się oczyścił lub usuniętym został. Z

Mieszkiem wszakże, gwałtownym i porywczym, trudna była sprawa, a i z rodziną własną nie wiedział, co pocnie nawrócony. Wszystko jednak, co go spotkać miało, ofiarując Bogu, gotował się młody kapłan choćby na

męczeństwo.

Dobrosław był daleko lepszej myśli ufając, że Mieszko poczynać sobie będzie tak, aby się na niebezpieczeństwo nie narażać. Lecz na próżno starał się dodawać otuchy Włastowi, który milczał zasepiony, spoglądając na radość powszechną, lękając się, aby ona za wcześnie w krew i łzy się nie zmieniła.

Twarz Stogniewa, chociaż ją układać się starał, mieniła się dziwnie i strasznie, oczy mu pobłyskiwały. Włast odgadywał, a raczej przeczuwał, co się działo w jego duszy. Trwoga go ogarniała. Odwiódł na stronę Dobrosława nieznacznie i pokazał mu tych ludzi. Mogli tu nie postrzegani przez nikogo po cichu rozmówić się z sobą i Włast wyznał Dobrosławowi, co słyszał w lesie, jak się tam odgrażano i imię Stogniewa wymieniono. Z narady to tylko wyszło, iż należało mieć się od niego na baczności, nie donosząc o niczym kneziowi, boć dowodów żadnych winy nie było, a z posądzeń Stogniew łatwo się oczyściwszy, na przyszłość tylko mógł się stać baczniejszym.

Jak wprzód, już czasu podróży, tak i tu Wojśław, Stogniew i większa część ludzi z orszaku Mieszka okazywała dwom chrześcijanom niechęć i pogardę. Nie mówiono do nich, chyba gdy to było koniecznym, odwracano się i rzucano ich samych. Dobrosław na próżno się starał zbliżyć do Stogniewa, który go unikał milcząco.

Gdy się tak wieczór wśród śpiewów i ucztowania zbliżał do końca, a Mieszko to przy starym księciu siadał, to z Dubrawką żartobliwie rozmawiał, dwór też częstowany podochocił sobie. Pomimo to starszyzna Mieszkowa pozostała niewesołą i do Czechów mało się zbliżyła. Zapito jeszcze zrzękowiny, kneź zapowiedział, iż nazajutrz powracać musi do kraju swego i przed północą wszyscy się rozchodzić poczeli.

Młody Bolko znowu przyszłego brata odprowadził do jego izby i tu go w twarz pocałował, odszedł. Mieszko pozostał sam ze Stogniewem i kilku komornikami. Teraz dopiero, spojrzawszy na twarz swojego ulubieńca, dostrzegł w niej ponury wyraz zamiast radości. Stogniew jednak odzywać się nie śmiał.

- Kniehinię mieć będziecie - odezwał się do niego Mieszek, - wielkiego rodu i możną panią. Podaliśmy sobie z Bolkiem ręce, abyśmy oba silniejsi byli.

Stogniew spuścił głowę.

- Nie radujecie się? - zapytał kneź.

Zmilczał zapytany. Mieszko też nie odzywał się doń więcej. Wydał

rozkazy i odprawił. Po odejściu jego Dobrosława przywołano. Kneź, pacholków odprawiwszy, dziękować mu znowu począł.

- Miłościwy Panie - rzekł przybyły cicho - cieszę się ja, że panu memu mógł usłużyć, ale się drudzy pono burzą i nie wszystkim to sprawia radość.

Nie wymienił nikogo. Kneź też unikał pytania.

Zmarszczyła mu się brew, błysnęły oczy, ale ze słowem nie zwykł był

spieszyć. Nierychło dopiero poszedł ku Dobrosławowi, rękę mu kładąc na ramieniu.

- Ty i Włast, i co was jest chrześcijan, gotujcie mi drogę i pomagajcie -

odezwał się cicho. - Wielki jest Bóg ich, ale niełatwo od swoich odstać i nową odziać skórę, gdy ta, z którą człek na świat przyszedł, do ciała przyrosła... Tych, co się opierać będą, zmożę, ale gromadkę wierną mieć muszę, by przy mnie stanęła... Mów, - dodał, - mów Dobrosławie, jako wiesz. Wielu chrześcijan naliczysz w ziemiach naszych? Wiem, iż byli oni już za ojca i dziada mojego, ale się kryli z wiarą swoją...

- Miłościwy Kneziu - odezwał się Dobrosław - jest nas rozsianych po wielkiej przestrzeni niewielu. Strach niejednego odwiódł już od krzyża.

Kapłanów trzeba jak Włast, aby szli między lud i nauczali, a pilnego oka na to, aby starszyzna, wieszczkowie i gęslarze nie burzyli go. Co kneź Bolko uczynił u siebie, czemuż by się też u nas dokonać nie miało?

Kneź się zadumał nieco i z tym Dobrosława odprawił, by Czechów

nawróconych, jacy się znaleźć mogli, do Polan zaciągnął.

Nazajutrz rano już konie stały w podwórcu, gdy w izbie jeszcze obiad podawano na pożegnanie. Wysła i kniehini do narzeczonego, aby mu dobre słowo dać na odjezdnym, cały dwór Bolesławów dla uczczenia gościa był na nogach i dziesięciu jezdnych dodano do orszaku, by przeprowadzili Mieszka do granicy łużyckiej. Tak się w drużbie i weselu rozstali z miłością wielką i cały poczet ruszył z Hradczyna uroczyście przy okrzykach, które się jeszcze z murów grodu długo słyszeć dawały.

Ani Dobrosław, ani Włast nie śmieli potem już rzec słowa kneziowi, aby w podróży baczny był na tych, co go otaczali. Do granicy też czeskiej, dopóki dodani Bolesławowscy ludzie im towarzyszyli, nie było niebezpieczeństwa. Gdy ich obdarzonych odprawiono z pozdrowieniem do Pragi, a kneź z orszakiem swoim pozostał, przypadł spoczynek w lesie dla skwaru, który tego dnia panował i wszyscy się do snu po kładli.

Włast, też szukając cienia, odszedł opodal od gwaru i w zaroślach się gęstych położył. Leżał tu już czas jakiś, nie mogąc zasnąć jeszcze, gdy szelest się dał słyszeć w pobliżu i szepty. Pomimo iż go dostrzec trudno było w trawie i krzakach, z miejsca swego mógł widzieć, że Stogniew z Wojsławem stali, po tajemnie się naradzając z sobą. Zrazu słów ich usłyszeć nie mógł, lecz natężywszy ucha i podpełznawszy ostrożnie, pochwyił wyrazy Stogniewa:

- Dziś na noclegu... Czego więcej czekać mamy? Jawna rzecz, że nas

Niemcom zaprzędają...

- Czekajmy do domu - mówił Wojsław. - Sydbora namówim z nami aby

zdradził! - rzekł Stogniew. - Nie potrzeba nikogo. Śpiącemu oszczep w piersi wraz i nim się przebudzi, ducha wyzionie. We dwu im trzem po kolei radę damy. Dobrosław go prowadził, Lubonia syn jawnym chrześcijaninem jest, widziałem go do ich kontyny idącego i obcującego z czarnymi wróżbitami.

Sprzeczali się jeszcze po cichu czas jakiś, lecz Stogniew na swym

postawił i z zarośli wyszli umówiwszy się, iż spać nie będą, a gdy wszyscy zasną, wstaną, aby ich wymordować z kolei. Stogniew miał pewnych ludzi kilku do pomocy.

Zaledwie się oddalili, zimnym potem okryty wstał Włast i pobiegł szukać Dobrosława, aby mu o niebezpieczeństwie oznajmić. Unikać musiał oczów i tak to dopełnić, aby żadnego nie obudził podejrzenia. Księżciu też potrzeba było powiedzieć o tym, co się gotowało, aby obmyślił, co miał czynić. Dobrosław chodził około konia swojego w miejscu, gdzie nikogo nie było, łatwo więc przyszło Włastowi natychmiast mu rozmowę, podchwyconą cudem, powtórzyć.

Mieszko na wysłanym suknie pod dębem zasypiał bezpiecznie, budzić go nie śmiał Dobrosław, ale stanął na straży, by się zbliżyć natychmiast, gdy ze snu wstanie.

Włast poszedł krążyć z dala, aby innych przed czasem nie dopuścić.

Znużony drogą kneź spał prawie do wieczora; szczęściem, rzenie koni sen ten głęboki przerwało, a gdy oczy przecierać zaczął, znalazł się przy nim pierwszy Dobrosław i nie tracąc chwili, rzekł mu:

- Miłościwy Panie, Włast podsłuchał rozmowę, zmówili się Stogniew z Wojsławem, aby cię w pierwszym śnie zamordowali.

Słyszając to Mieszko wcale nie okazał poruszenia. Kazał sobie powtórzyć prędko wszystko, co Włast usłyszał, i wstał, ręką odprawiając precz Dobrosława, słowa więcej nie rzekłszy.

Wnet dano znak, aby na konie siadać. Stogniew się zbliżył po rozkazy.

Mieszko nie dał poznać po sobie, iżby go miał w podejrzeniu. W zwykły sposób zagadał doń i zwykować ludzi rozkazawszy, sam siadł na koń z twarzą pogodną.

Zdumiał się Dobrosław sądząc, że mu chyba wiary nie dawał, lecz przystąpić już nie mogąc, trzymał się w pobliżu wraz z Włastem.

W drodze, aż do nocy przez gęste przedzierając się bory, Mieszko nie okazał też najmniejszej po sobie trwogi. Późnym już wieczorem, w lesie na polanie, między skałami, które nad nimi ścianę wysoką tworzyły, na nocleg kneź zatrzymać się kazał. Tuż z drugiej strony stromo ścięty brzeg wprost do Łaby spadał. Przez stojące tu rzadko drzewa widać było łąkami w dali płynącą rzekę i lasy piętrzące się ławami, jedne nad drugimi, z pośrodku których gdzieniegdzie szare ściany kamienne wyglądały.

Kazano ogień rozpalic, zwierzynę w drodze ubitą piec i konie na paszę wypuścić. Kneź pod starą sosną, na czystym miejscu posłanie sobie

przygotować kazał, głośno zapowiadając Stogniewowi, ażeby wcześniej wszyscy do snu się kładli, gdyż z pierwszym brzaskiem ruszyć miano. Dobrosław, z nie pokojem przypatrujący się Mieszkowi, najmniejszej w obejściu się jego nie dostrzegł zmiany. Stogniew chodził widocznie niespokojny i chmurny. Po rozdaniu jedzenia wprędce ludzie się pokładać zaczęli, straż opodal postawiwszy; ognisku dano wygasnąć i czarna noc milczeniem posępny osłoniła obozowisko. Dobrosław i Włast

z miejsc swoich podpełzli bliżej, aby być panu z pomocą na skinienie. Cisza panowała długo, gdy Mieszko silnie chrapać zaczął.

W chwilę potem usłyszeli w krzakach zaczajeni, jak nie daleko śpiący Stogniew i Wojsław wstali po cichu i skradać się poczęli ku miejscu, w którym kneź spoczywał, chrapiąc coraz mocniej. Noc była tak ciemna, iż zaledwie poruszające i skradające z cicha postacie dwu morderców dostrzec było można.

Stanęli oni oba już przy Mieszku, gdy nagle stłumiony krzyk się dał słyszeć.

Dobrosław, który się zerwał i nadbieżał, spostrzegł, jak Kneź, uchwyciwszy Stogniewa, gdy się ten najmniej spodziewał, obalił go, przygniótł, oburącz za gardło ścisnął i udusił. Wojsław, który stał zrazu przelękły, umknął natychmiast i biegł w las na oślep.

Nim Włast i Dobrosław przybiegli, Stogniew już ducha wyzionął w

rękach knezia, który wnet krzyknął, aby ognia rozpalono. Gorzały jeszcze węgle pod popiołem, od których łatwo było suche zażec gałęzie. Pobiegli pacholki; Mieszko tymczasem stał spokojnie nad trupem, oglądając się czy drugiego napastnika nie zobaczy.

Gdy ogień błysnął, a służba w pierwospy zbudzona nadbiegła, strach ogarnął wszystkich, słowa nikt nie śmiał rzec. Mieszko skinął na ludzi, aby trupa ściągnęli i z góry go rzucili do rzeki. Stało się w jednej chwili, jak przykazał, nikt pytać nie śmiał ani spojrzeć panu w zagniewane oczy. Posłano szukać Wojsława, lecz nigdzie go nie znaleziono. Ucieczka sama o winie świadczyła.

Gdy Stogniewa ciało z hałasem toczyło się po skałach, Mieszko, ognia kazawszy naniecić, słowa nie mówiąc, legł nazad na posłanie, sparł się na rękę i drzymać począł. Ludzie przerażeni wrócili na miejsca swoje. Tak doczekano ranka.

O świcie dowództwo nad ludźmi objął Dobrosław; siedli wszyscy na

konie i w milczeniu jechali w dalszą drogę ku domowi. Z pocztu kneziowskiego nikt o Stogniewie wspomnieć nie śmiał, a wjeżdżając na gród nad Cybiną, towarzysze pańscy na pytania odpowiadali milczeniem.

Rozdział 10.

Już w podróży przez Dobrosława miał sobie oznajmionym Włast, że mógł

się udać do Krasnejgóry do ojca, z tym tylko, by na każde zawołanie się stawił.

Przybywszy więc na zamek, natychmiast się wybierał, gdy stara Srokicha dowiedziała się o powrocie i do swojego dziecięcia przybiegła.

Zaledwie godzina upłynęła, jak na zamek wjechali, służba zdawała się nie mówić słowa, oglądając się bojaźliwie, przecież cały niemal już dwór wiedział i skąd, i z czym powracano. Śmierć Stogniewa przeraziła wszystkich. Na twarzach widać było postrach i smutek. Jawnie nikt się do

nikogo nie zbliżał, ale po kątkach, za węglami szeptali ci, co wracali, z tymi, co pozostali. W

niewieścim dworze już płacz słychać było i narzekanie; popłoch panował

wszędzie, kniehini Górka czekała, wyglądając brata, nie mogąc się go doczekać.

Mieszko natychmiast wysłał gońca po Sydbóra do Gniezna, aby nie tracąc chwili do niego przybywał. Sześć mil miał konny ubiec tak, aby przed nocą wezwany był nad Cybiną.

Dobrosław wydawał rozkazy i nad dworem miał zwierzchnią władzę.

Srokicha, pochwywszy Własta pieszczoty macierzyńskimi, wnet

rozpłakała się i wypytywać natarczywie zaczęła, nie dając mu odetchnąć. Po dworze chodziły wieści straszne. Strwożeni byli wszyscy. Włast, któremu nakazano milczenie, nic powiedzieć jej nie mógł. Nie było już tajnym, że do Pragi jeździli, lecz nadto nie wiedział nic. Srokicha niedowierzająco potrząsała głową.

- Gołąbku mój, - mówiła płacząc, - straszne dni na nas przysły. Nie darmo wy do Pragi tej, do Czech jeździli. Groza idzie na nas i niewola, zginiemy wszyscy! Nasi starzy przyszłość wróżą krwawą.

Próżno Włast się jej wyrывał; Srokicha ścisnęła go, jakby się lękała utracić i zalewała się łzami. Chciała go zaprowadzić do swej pani, ale Włast się wyprosił. Wycalowałwszy go i wygłaskawszy, puściła wreszcie staruszka, tym niespokojniejsza, iż nic od niego dowiedzieć się nie mogła.

Unikając pytań podobnych, Włast poszedł po konia swojego, aby za dnia jeszcze zdążyć do Krasnejgóry. Pocięgą dlań było, że z Pragi wioził dane mu do mszy świętej wino i opłatki, których w domu upiec nie miał sposobu.

Wino naówczas było w kraju rzadkością, prawie nie do nabycia, a

duchowieństwo chleb też do mszy świętej używany chciało mieć z

nadzwyczajną pieczony troskliwością. Święty Wacław sam zżynał kłosa pszenicy, sam wybierał i wyciskał grona, z których wino i chleb do świętej ofiary użyte być miały. Z równym poszanowaniem i inni kapłani

przygotowywali się do niej. Włast, długo pozbawiony tej kapłańskiej pociechy, sposobił się teraz, choć potajemnie, gdzieś na ustroniu, w lesie odprawiać mszę, aby w niej zaczerpnąć siły i znaleźć pociechę. Gorliwym był, jak człowiek długim głodem zmorzony, a gdy o rodzinie swej myślał, zalewał się łzami, rozpaczając prawie, aby mógł ją nawrócić. Nie wiedział sam, jak ma to wielkie rozpocząć dzieło, lecz czuł święty obowiązek. Ze wszystkich dusz, jakie chciał

ocalić, los tych najbliższych najmocniej go obchodził.

W tych myślach zbliżył się do Krasnejgóry i już widział dwór z daleka, a serce mu biło niespokojnie, gdy wracając konno z pola, nadjechał Jarmierz, witając go serdecznie.

- Pan nasz ucieszy się wam wielce - rzekł - bo niecierpliwie czeka

powrotu...

- Jam też spieszył, jak mógł, alem był pod rozkazami. Zdrowi wszyscy? -

spytał Włast.

- Dobrogniewa zaniemogła trochę, przecie się włóczy o kiju. Luboń dla was już Mładę zaswatał, ani dnia wam nie da spocząć i jechać będziecie musieli z nim, a do wesela się gotować.

Włast zbladł i zadrżał; nie odpowiadając nic, jechał dalej. Ani na chwilę nie zawahał się nad tym, co miał począć. Jeśliby go ojciec przymuszać chciał, postanowił paść mu do kolan, wyznać wszystko i znieść, cokolwiek by go spotkać mogło.

Rozmawiając zbliżyli się ku dworowi, a tętent koni wywołał sługi, które o nadjeżdżającym wnet w domu oznajmiły. Pierwsza wybiegła Hoża na spotkanie, za nią szedł stary Luboń z brwią namarszczoną. Na widok syna rozchmurzył się wnet. Gdy ten mu do nóg przypadł, uderzył go ręką po ramieniu i zamruczał.

- Przecie kneź się ulitował nade mną. Gdzieście byli?

- Jeździłem do grodu, mówiono mi, że Kneź wziął was z sobą? Czy

polował na wilków?

- Do Czech jeździliśmy, - odparł Włast.

- Do Czech, - chmurno się odezwał stary. - A po co? Łup przywieźliście?

- Myślę, że chyba przymierze lepsze od niego.

Stary się trząsł i nie pytał więcej.

Wyszła i babka, chmurnym okiem jak zawsze mierząc chłopaka. Nie

pytano go więcej. Luboń też nie oznajmił mu o niczym, tylko że jutro bierze go z sobą, że jechać muszą.

Włast wiedział już, co zamierza, lecz dopytywać nie było wolno, czekać musiał, aż mu oznajmi ojciec swą wolę.

Jedna Hoża swą wesołością cały dom ożywiała, krzątając się, śmiejąc się i śpiewając. Stara mruzczała przy kądzieli. Po wieczery zwołano i inne dziewczęta do śpiewu, bo stary Luboń rad słuchał pieśni i do późnej nocy przesiedzieli tak u ognia przy łuczywie. Dobrogniewa drzemała nad swą kądzielą, wrzeczono wypadło jej z rąk, ale do snu nie szła. Późno już było, gdy Luboń, z ławy wstawszy, naprzeciw syna stanął i odezwał się:

- Jarmierz ci na jutro odzież da nową i ogarnąć się trzeba czysto, jedziemy w swaty. Dobrałem ci dziewczynę piękną, młodą i posażną, czas życie zaczynać i do gospodarstwa się nałożyć.

Włast westchnął, zbliżył się do ręki ojca i ucałował ją, rzekł cicho, ale śmiałym głosem:

- Ojczy, a panie miłościwy, nie mogę tego uczynić, abym niewiastę brał.

Przyszła chwila, gdy ci całą prawdę objawić muszę; oto ślubowałem

chrześcijańskiemu Bogu i przyjąłem wiarę nową, a poprzysiągłem, że nigdy niewiasty znać nie będę.

Wyznanie to, wśród głuchego milczenia wyrzeczone, przerwał krzyk

starej Dobrogniewy, która kądziel rzucając na ziemię, przypadła do wnuka z pięściami zaciśniętymi. Luboń zuchwalstwem syna osłupiał, jakiś czas przemówić nawet nie mógł. Z ust jego wyrwało się coś jakby ryk dziki i rękę podniósłszy do góry, z całej siły uderzył syna, który padł na ziemię. Skroń jego uderzyła o twardą nogę stołu i krew trysnęła z niej. Ból, przestrasz, znużenie sprawiły, że omdlał.

Hoża, którą krzyk ojca zwabił, widząc obalonego i skrwawionego brata, klękała na ziemi, chwytając bladą jego głowę i zaszła się wielkim płaczem.

Luboń stał, wcale nie poruszony tym, co uczynił.

Z wolna otwarły się oczy Własta, poruszył się, usiłował powstać i z pomocą siostry, ocierając skroń, na nogi się podniósł, oparłszy o stół.

- Psie ty niewierny. - krzyknął Luboń. - Myślisz, że ja ci dam czynić, co zechcesz, przeciwko mej woli! Nad dzieckiem moim mam prawo życia i

śmierci, słuchać musisz i uczynić, co każę!

Dobrogniewa oczyma i ruchem rąk potwierdzała mowę ojca; Włast milczał.

- Kajaj mi się zaraz; a bądź posłusznym! Chrześcijaninem ci nie być!

Szczenie wolę przybrać za dziecko.

- Ojczy, a panie - odezwał się Włast - usłucham rozkazu twego we

wszystkim, lecz wiary się nie wyrzekę, a co mi mój Bóg każe, uczynię, choćbym miał życie dać.

Luboń w krwawą twarz dał mu bezlitosny policzek. W tejże chwili poczuł

na dłoni ciepłą tę krew własnego dziecięcia i wzdrygnął się. Hoża, obejmując brata rękami płakała.

Stary z gniewu drżał i rzucał się, babka pięściami ciągle wnukowi groziła i powtarzała:

- Sobaka!

Włast stał, na nogach się chwiejąc, milczący, z głową spuszczoną.

- Będziesz posłusznym - wołał Luboń - lub zginiesz, psie niewierny!

- Czyń, co ci się podoba ze mną - odparł Włast. Jestem w mocy twojej.

W pierwszej chwili Luboń z gniewu chciał zawołać na pachołków i sieć nieszczęśliwego, już bełkocząc, począł dawać rozkazy, gdy Hoża do nóg mu się rzuciła. Popchnął ją zrazu, ale mu się uczepiła mocno. Krzyk i płacz rozlegał

się po dworze, ludzie pobudzeni zbiegli pod okna, do sieni i stali patrząc, a nie rozumiejąc, co to znaczyło. Niewiasty łamały ręce i płakały. Jarmierz stał w progu.

Opamiętał się stary w gniewie.

- Związać go! - krzyknął. Na strych w świrniu posadzić i nie puszczać...

suchy dać chleb i wodę... niech mrze głodem!

Jarmierz, chcąc ocalić Włast, odezwał się, że w świrniu strych był zajęty.

- Do jamy z nim! Do jamy! - zawołał Luboń. - Łyka mi daj! Związać go!

Sprzedam jak niewolnika, ubiję jak psa.

Na próżno córka błagała jeszcze, zwracając się to do ojca, to do Własta, aby uległ woli jego. Włast milczał, ojciec zapalał się gniewem coraz większym.

Jarmierz wreszcie lękając się, aby stary nie porwał się znowu do dziecka, wołał

już spełnić polecenie i przyniósł łyka.

- Do jamy z nim! - powtórzył Luboń.

Jama ta była wygrzebaną w ziemi i służyła na schowanie w zimie, często za więzienie w lecie. Spuszczano do niej winowajców, a wnijscie zawałano drzwiami, na których kładziono kamienie.

Włast szedł posłuszny. Hoża, zakrywszy sobie oczy, upadła na ziemię.

Milczenie było w izbie, tylko oddech wzburzonej piersi Lubonia i mruczenie starej je przerywało.

- Będziesz posłusznym? krzyknął stary, widząc już syna w progu.

- Ojczy... nie mogę... Bogu posłusznym być muszę...

- To mówiąc zwrócił się do Jarmierza i rzekł mu spokojnie:

- Prowadź mnie.

Ta odwaga i stałość słabego na pozór chłopaka, któremu się urągano, iż męstwa nie miał, dziwne uczyniła wrażenie na wszystkich. Stara Dobrogniewa wściekała się, Hoża płakała. Luboń stał drżący z gniewu. Jarmierz był

przerażony.

- Prowadź do jamy! - krzyknął stary.

Włast ruszył się posłusznie, nie mówiąc słowa i przestąpił próg, przeszli sień, znaleźli się w podwórku.

- Poddajcie się ojcu. Jamy wy nie wytrzymacie długo - szepnął Jarmierz. -

Poddajcie się! Co czynicie?

- Prowadź mnie - rzekł Włast. - Niech się stanie wola jego, śmierci się nie lękam.

W progu jeszcze zjawił się rozjuszony ojciec, krzycząc na Jarmierza:

- Do jamy!

Nie było już ratunku. W głębi dziedzińca znajdowała się ta studzienka wilgotna. Jarmierz odwalił drzwi i litość chwyciła go za serce; puścił sznur, który trzymał w ręku.

- Uciekaj! - szepnął.

- Dokąd? - odparł Włast. - Czyń, co ci kazano. Uciekać nie mogę i nie chcę.

Trzeba więc było spełnić nakaz surowego ojca. Jarmierz wskazał jamę i pomógł Włastowi się w nią spuścić. Sam siadł nad nią i podparty na rękach został tak na straży, nie wiedząc, co począć z sobą.

Luboń tymczasem rozpędzał czeladź, która się była zgromadziła,

rozkazując jej iść precz na barłogi. W trwodze rozpierchło się wszystko i znikło. Głuche milczenie nastało we dworze. W świetlicy stara stała, ręce założywszy, przed ogniem, a Hoża płakała, leżąc na ziemi. Noc była późna, pierwsze kury pisać zaczynały. Stary ojciec, zamiast iść na posłanie, siadł na przyzbie przed dworem, sparł głowę na rękach i pozostał tak, dysząc gniewem, do rana. Brzask dnia znalazł go tam siedzącym jeszcze.

Jarmierz na ziemi legł nad jamą i tam go sen ujął nad ranem. We dworze było cicho i ciemno. U zgasłego ogniska stara Dobrogniewa drzemała, mrucząc snem niespokojnym. Hoża, zwłókłszy się na ławę, z głową na stole usnęła.

Dzień się robić zaczynał i parobcy wstawali do pojenia koni, gdy Luboń ruszył się z przyzby, poszedł nad jamę, nogą budząc śpiącego Jarmierza, kazał

mu drzwiami otwór przyrzucić i poszedł.

Gdy zakładając drzwi, spojrział w dół Jarmierz, chcąc słowo pociechy rzucić biednemu, w głębi zobaczył go klęczącego i modlącego się spokojnie.

Powoli zasunął ciężkie wrota i odszedł zadumany.

Dzień cały upłynął bez zmiany, spuszczone tylko chleb i wodę Włastowi.

Jarmierz chciał przemówić do niego, ale z dala stojąca z kądzielą Dobrogniewa pogroziła mu. Luboń nie wyjechał ani na łowy, ani wyszedł w pole, w chacie przesiedział dzień nieruchomy prawie, a gdy mu jedzenie przyniesiono, popchnął je od siebie. Wodę pił tylko.

Nad wieczór przywłókł się do wrót starzec z gęślą na plecach. Był to gość częsty we dworze Luboniów, znany całej okolicy śpiewak, wróżbit i znachor, który przez rok cały zwykł był obchodzić dwory i chaty, karmić się, spoczywać i płacić za gościnność śpiewem i wieszczbą. Zwano go Wargą. Z siwą, rozczochraną brodą, z rozwianym włosom, w szarej opończy, z kijem białym w ręku, z sakwami na plecach stary Warga wchodził jak pan do każdego domu, siadał na najlepszym miejscu, kazał sobie podawać, co mu się podobało, łajał

czasem najmoźniejszych i słuchano go z pokorą, a niemal trwogą. Uchodził za straszego czarownika. Nawet podobni dziadowie wróżbici cześć mu jak głowie swej oddawali. Słowo jego ważyło wiele. Toteż gdy na wyprawę iść trzeba było z ludem a wojakom dodać serca, nikogo do wrózenia z ziemi, patyków i ognia nie wołano, tylko jego. Śmiały i silny, choć stary, nocami chodził jak we dnie, nie obawiając się niczego, ani zwierza, ani człowieka.

Wedle obyczaju swojego Warga, wejrząwszy w podwórze, wrota sobie

otworzył śmiało, oczyma poszukał kogoś, do kogo by się odezwał, i nie postrzegłszy żywej duszy, prosto kroczył ku dworowi. Tu znalazł Lubonia jak odrętwiałego na ławie.

- Co tobie, stary? - zawołał. - Choroba?

Gospodarz głowę podniósł, popatrzył oczyma obłąkanymi i nic nie

odpowiadając, podparł się znowu na dłoni. U drzwi Warga kij postawił, sakwy zrzucił na ławę i postąpił bliżej do niego, biorąc go za ramię.

- Co tobie, stary? - Mów!

- Nie mogę mówić! - szepnął Luboń.

Bystre oczy długo w niego wlepiając, gęślarz głową potrząsał, nareszcie na ławie naprzeciw niego przysiadł.

- Powiesz ty mi, co tobie jest? - mruknął.

Wtem Dobrogniewa wyszła z kądzielą z komory.

- Co wam? Co się w waszym domu stało?

Dobrogniewa rzucać głową poczęła.

- Syna miał, wnuka miałam... - straciliśmy go. Wrócił po dwunastu latach niewoli... psem, Niemcem... niewiarą... trzeba go było zamknąć wczoraj do jamy jak wściekłego.

Warga uderzył ręką po stole.

- Dwanaście lat go nie było! Oplakaliście, zapomnieli, a co gorszego dziś?

- Niechby nie żył! - krzyknął Luboń.

- To go zamórz głodem - rzekł Warga. - Z chrześcijanina ty pociechy mieć nie będziesz... darmo... Umieją oni człowieka przerobić, że się zaprze rodzonej matki i ojca... czarownik! Skosztował ich chleba, naszego nie będzie jadł więcej. - Tu Warga zniżył głos.

- Co twoje dziecko jedno! - rzekł. - Nam wszystkim oni nóż prędko

przyłożą do gardła. Już Kneź wacha się z chrześcijany i jak inni pójdzie z Niemcami, aby nam na kark jarzmo włożyć. Co im! Jeździli do Czecha, tam mu żonę swatają. Biada nam! Biada nam!

Luboń głowę podniósł.

- Stogniewa w drodze Mieszko udusił, że mu się sprzeciwił! Wydusi nas, jeśli o sobie nie pomyślimy, wydusi!

Warga westchnął; śmiały jego głos płaczkliwym począł się stawać.

- A wy, baby bezsilne, ścierpicie to? - zawołała nagle Dobrogniewa.

Głową począł Warga potrząsać.

- Do kądzieli, stara - mruknął gniewnie - do kądzieli, precz! Co wam do naszej sprawy?

Dobrogniewa, spuściwszy głowę, powoli, posłuszna, nie śmiejąc

odpowiedzieć nic, odsunęła się do kąta, siadła na kądzieli i poczęła nic wyciągać. Warga sparł się oburącz na stole i patrząc w oczy Luboniowi, potrząsał głową smutnie.

- Prawda to, że do Czech jeździli po kniehinie? - spytał Luboń. - Mieszko by nas miał sprzedać za jedną dziewczkę?

- Za dziewczkę nie, - odezwał się Warga - ale za to, by nas mógł z nimi gnębić, obrócić w niewolniki

jak Niemcy swoich. Pójdzie reszta kmiących swobód z bogami naszymi, pójdzie!

- Jeśli my się mu damy - mruknął Luboń.

Warga przysunął się ku niemu, popatrzył na siedzącą z dala Dobrogniewę i zaczął ku niemu coś szeptać do ucha. Z twarzy i oczów widać było, że to, co mówił, gorącym było i poruszało go mocno. Oczy mu to się świeciły, to pod zmarszczone chowały czoło, zaciskał dłonie, targał Lubonia za ramię, podnosił

ręce, bił o stół nimi, rzucał się, śmiał i krzywił, a gdy wreszcie umilkł, Luboń wstał, jakby w niego nowe życie wstąpiło.

Była to pora wieczery; wniesiono misy, chleb, strawę i piwo, a Warga zgłodniały rzucił się na nie chciwie. Luboń pił tylko, a szeptali ciągle. Noc już była, gdy tętent się dał słyszeć, głosy u bramy, a wkrótce potem wszedł do izby opończą osłonięty mężczyzna, od progu naprzód wpatrując się, kogo zastanie.

Dopiero upewniwszy się, że Luboń sam był z Wargą, wsunął się i twarz odsłonił.

Był to Wojsław, koniuszy Mieszka, który zbiegł w las, gdy Stogniewa kneź pochwycił. Dawny Lubonia znajomy i powinowaty przychodził widać żądać u niego przytułku. Gospodarz, który o niczym nie wiedział, nawet o losie Stogniewa zasłyszał ledwie i sądził przybyłego zawsze Mieszkowym sługą, przyjął go po starej drużbie.

- Cóż mi tam niesiecie? - spytał. - Pewno was Kneź posyła? Byle nie po syna...

Wojsław strząsnął się, nie odpowiadając, i usiadł na ławie milczący; popatrzył na Wargę.

Stary włóczęga myśl jego zdawał się odgadywać.

- Co wy patrzycie mi w oczy, jakbyście Wargi nie znali? Przy mnie

śmiało mówić możecie, co serce poda do gęby.

Luboń ciekawie wpatrywał się w wybladłego i na twarzy zmienionego

krewniaka.

- Coś ty nieswój jesteś? - rzekł.

- Nic nie wiecie? - zapytał Wojsław schrypłym głosem.

- Cóż mam wiedzieć, siedzę w domu...

- Gdzie syn twój? - zapytał Wojsław.

Na to pytanie zmarszczył się Luboń. Od rana już postanowił był nie

przyznawać się przed ludźmi do tego sromu, że dziecko mu nie chciało być posłusznym, do tej doli, że mu chrześcijaństwo odebrali, cicho więc odparł:

- Synam wyprawili w swaty...żenię go...

- Doprawdy? - zapytał Wojsław. - Toście go zmusili chyba! Przecie go widziałem w Pradze, że z chrześcijańskimi wróżbitami w ich kontynie odprawiał tam jakieś obrzędy, a tym, co do nich należą, żenić się nie wolno.

- Tak jest, - dodał porywczy Luboń. - Zmusiłem go do porzucenia tej wiary niemieckiej, zagroziłem mu. Musiał być posłusznym.

- Nic wam nie mówił o naszej podróży? - pytał dalej Wojsław.

- Nie pytałem go wiele - odezwał się Luboń, - jakby zbyć się chciał

rozmowy. Co tam z gołowąsem takim rozhowory prowadzić?

Machnął ręką.

- Nie będziecie wy z syna mieli pociechy - rzekł Wojsław, - nie! Dobrze, że ja z jego przyczyny nie nałożył głowę, a Stogniewa śmierci nikt nie winien, ino on. Widzieli go pacholki, jak, w krzakach leżąc, podsłuchiwał nas na rozmowie i wydał przed kneziem.

- A cóżeście mówili? - spytał Luboń zdziwiony.

Wojsław z ławy powstał poruszony mocno.

- Co mam kłamać! Mieszko nas Niemcom sprzedaje. Do Pragi jeździł się o naszą skórę targować. Jawna to rzecz. Starą dziewczkę mu daje Bolko i dobre wiano: swoją przyjaźń i cesarską łaskę. Myśmy to ze Stogniewem widzieli, a mieliśmy czekać, aż nam na kark włożą obręcz?

Reszty można się było domyślać. Wojsław jej nie dopowiedział i po

chwili kończył;

- Gdyśmy nocą przyszli do niego, już nas, przez twojego syna ostrzeżony, czekał. Stogniewa zdusił jak chrząszcza! Jam życie uniósł... tułam się.

Milczenie nastąpiło długie. Wojsław przeszedł się po izbie, Warga pilno nań patrzył, Luboń stał zamyślony.

- Dacie mi przytułek? - zapytał Wojsław.

- Właśnie to go tu szukać! - krzyknął Warga. - Człowiecze, pod bokiem knezia, gdzie cię każdej godziny może zajrzeć i ludzie cię znają! Pójdiesz ze mną, ja ci dam schronienie, w którym będziesz bezpiecznym. Schowam się do chramu, gdzie nikomu dostąpić nie wolno. Takich ludzi jak ty nam

trzeba!

Odwrócony ku starcowi Wojsław słuchał.

- Pójdiesz ze mną! - powtórzył Warga.

- Ja ci też w lesie na pasieczysku chatę dać mogę rzekł Luboń.

- Byłem gdzie tego twojego syna, psiawiare, nie spotkał - odezwał się Wojsław - bo choć on was posłuchał i dziewczkę bierze, a ja mu nie ufam. Zdradzi on ją i was, i mnie, gdy będzie mógł, a wiary tej nie puści, co gdy raz przylepnie do człowieka, trzyma się jak smoła.

Zamyślony, z okiem wlepionym w ziemię, stary Luboń powtarzał ciągle po cichu:

- Stogniewa udusił!

- Własnymi rękami - rzekł Wojsław, popijając chciwie z kubka, który stał

na stole. - Czekał na niego, schwycił za gardło i krzyku mu nawet wydać nie dopuścił. Ciało potem zrzucić kazał z góry do Łaby i położył się znowu, jakby mysz nogą rozcisnął. Nikomu słowa nie rzekł. Dobrosławowi oddał po

Stogniewie władzę, wrócił nad Cybinę, posłał po Sydbóra i już się pewnie do wesela sposobi. Taki on jest! Co jednemu uczynił, tak samo stu zrobi, nie zmarszczywszy się. Na Sydbóra my rachowali, on ma dużą siłę w ręku, ale to pies też, co się nawykł łasić i nogi mu lizać będzie. Z nim gadać nie ma po co.

- Albo innych nie ma? - podchwycił Warga. - Czy to wam kneziów

zabraknie.

- Kneziów nie! - zaczął Wojsław. - Ano... ludzi... Dawne męstwo

wyćpiły te Piasty, porobiły z nas niewolników! Serc nie ma, trwoga we wszystkich! Pójdą, gdzie im każą, zrobią, co im powiedzą, choćby na ojców rodzonych!

- Nieprawda! - zawołał Warga, poruszając się za stołem. - Żle ty sądzisz o narodzie. Jeszcze on nie cały w pętach i kagańcach, jeszcze po lasach stary obyczaj i stara swoboda; miry wiecują jak dawniej i pędzić się nie dadzą jak trzody!

Poczęli tedy rozprawiać o swej doli i o tym, co groziło; Luboń tylko najmniej się odzywał. Noc ich tak zaszła, aż Warga wstał zza stoła.

- Noc ciemna, ale ja drogi znam. Nocą wam i mnie najlepiej iść. Chodźmy stąd, nocleg sobie znajdziemy.

Ruszyli się więc oba, gdy Luboń im u drzwi drogę zaszedł.

- Znacie starego Lubonia - rzekł. - Ja z wami! Nie zważajcie na to, że mnie Mieszko zechce ciągnąć ku sobie, że mu się pokłonię. Trzeba będzie dłoni do roboty, ja i moi ludzie z wami będą! I dłoń podał Wojsławowi.

- Syna miej na oku! - mruknął wychodzący.

- Nie bójcie się, bezpiecznym o niego.

Wywiódł ich w podwórze, do wrót; siadł na koń Wojsław, Warga poszedł przodując i znikli oba w ciemnościach.

Rozdział 11.

Gdy z pola znikły kopy i żniwa zostały skończone, obchodzono zwykle uroczystość jesienną, weseląc się i dziękując bogom, a składając im obiaty. Nie było na to oznaczonego dnia, a w każdym mirze i osadzie, po dworach dobierano sobie wedle upodobania i możliwości porę do obchodu wesołego, gdy dostatek zawitał do chaty. Warzono piwa, sycono miody, młodzież często przy tej zręczności wypatrywała sobie dziewczęta, bo i wesela zwykle na jesieni się odprawiały, gdy roboty pilnej około roli nie było, a zasiew też został skończony.

Obyczaj ten i na kneziowskim dworze zachowywano, sprawiając pod ten czas dla czeladzi i młodzieży ucztę, połączoną z wróżbami przy kontynie i obiatami bogom.

I w tym roku, wcześniej niż zwykle, Mieszko, który po sobie nic poznać nie dawał, co zamyślał, choć po całej już ziemi mówiono o przyszłych jego zaślubinach, przez Sydbóra i dietskich swych wcześniej zwoływał na dwór starszyznę z ziemian znaczniejszych.

Nie było we zwyczaju na to święto ją powoływać, lecz Mieszko

zapowiedział, że na Niemców i przeciw margrafowi Geronowi może ciągnąć przyjdzie, więc by rad ze starszyzną o tym pomówił. Dzień naznaczono przed pełnią i komorników rozesłano po dworach, po kmieciach i Leszkach co możniejszych, aby na gród nad Cybinę ciągnęli. Zwołano co przedniejszych z Jaksów, Leliwów, Porajów, Grzymałów, Godziembów, Kaniowców i innych starych rodów.

Na grodzie od przybycia Mieszka z Pragi, niewiele się lub nic prawie nie zmieniło. Nie odprawił Kneź żon swoich, owszem, siódmą sobie wziął jeszcze dla niepoznaki i Lilia ustąpić musiała ślicznej Lubaszce, córce zamożnego kmiecia, ledwie wyszłej z dzieciństwa, rozkwitłej jak na pół otwarty pączek różany. Stogniewa miejsce zajmował Dobrosław, dużo się jakichś obcych ludzi plątało po dworze, ale w pocztach straży i w wojsku nie zmieniło się nic. Kneź

jeszcze dla swoich wojaków szczodrzejszym był i widocznie ich sobie jednał.

Parę razy zajrzał do kontyny i pogadał ze stróżami przy niej siedzącymi. Obiaty do chramu, jak z dawna było, posyłano ze dworu, po obyczaju odwiecznym.

Toteż ci, co z nich korzystali, nie pozwalali mówić ani posadzać Mieszka, ażeby miał wiarę odmienić. Lecz były też oznaki inne, mniej widoczne, że się coś knuło po cichu. Z Czech kilku ludzi jakichś niewojennego rzemiosła na dwór przybyło i siadło. Ci często do knezia się przekradali.

Nim na owe dożynki zwołano starszyznę, Mieszko czy z naprawy to

Dobrosława, czy sam, jednego dnia o Własta się upomniał i wysłał za nim do Krasnejgóry.

Trzymano go ciągle w jamie, ale o tym w domu nie wolno było mówić;

przed obcymi Luboń kłamał, że syna osadził z młodą żoną na ziemi, którą miał

w lasach o mil dziesiątek. Gdy komornik przybył od Mieszka, upominając się o Własta, stary mu też odparł, że syn gospodarzy na nowosiedlinach i że go ściągnąć niełatwo. Namyslił się jednak po daniu tej odpowiedzi i przybrawszy się, zaraz sam z komornikiem na dwór pański pojechał.

Gdy przybywszy, pokornie do nóg się kłaniał Mieszkowi chytry starzec, spytał go wnet Kneź:

- A Włast wasz kędy?

Stał przy tym Dobrosław i słuchał.

- Miłościwy Panie - odezwał się Luboń, - niedobrze udając wesołego, Włastam ożenił i na gospodarstwo wyprawił, bom stary i pomocy potrzebuję.

Mieszko zdumiał się bardzo i popatrzał na Dobrosława, który znać musiał

wprzód opowiedzieć o powołaniu jego i kapłaństwie. Wprawdzie naówczas zenienie się duchownym wzbronionym nie było, ale Włast wdział był suknię mniszą, o czym Dobrosław wiedział dobrze, a zakony zawsze ślubowały bezżeństwo. Zdumienie na chwilę usta zamknęło wszystkim. Luboń poczuł, że mu nie bardzo wierzą.

- Miłościwy Panie - rzekł - przed Wami nie godzi się nic ukrywać. Syn mi powrócił przez Niemców zepsuty i na ich przekłętą wiarę przeciągnięty, nie chciał ani żony, ani gospodarstwa. Lecz zmusiłem go, aby mi był posłuszny, a dałem młodycę śliczną, przy której zapomni o czym innym.

- I ożeniliście go? - podchwycił Dobrosław, widocznie zdumiony razem i przelękły. - Ożenił się dobrowolnie?

- Trochę mi się opierał - odezwał się Luboń - ale przeciem ojciec i mam władzę; zresztą niewiasta go do rozumu przywiedzie. - Stary się rozśmiał

dziwnie; Dobrosław zmilczał, Mieszko też nie odezwał się zaraz, ale chmurno na starego Lubonia popatrzał.

- Dawnoż się to stało? - spytał.

- Zaraz po powrocie, gdyście go, Miłościwy Panie, odesłali do mnie. Nie dałem mu długo się rozmyślać.

Mieszko, który zwykle dla Lubonia był łaskaw bardzo, tym razem nie okazał mu wcale życzliwości swej, posępnie zbył go kilką słowy i odprawił.

Co kneź myślał, z tego się nikomu nie zwykł był zwierzać, ale Dobrosław, któremu się zdało, że na wiarę i gorliwość Własta mógł rachować, rażony był, zasmucony razem i przybity. Nie mógł pojąć, by pobożny młodzian, co zdawał

się na męczeństwo gotowym, tak łącno uległ pokusie. Chciałby go być zobaczyć, lecz na to nie widział sposobu.

Mieszko, który chciał starego Lubonia wraz z innymi na zjazd do grodu wezwać, po krótkiej rozmowie z nim, nie rzekł mu już nic. Luboń, wiedząc, że innych powołano, poczuł to mocno, lecz zmilczał i do domu odjechał.

Dzień naznaczony do zjazdu nadszedł wreszcie. W wigilię już Sydbór był

z ludźmi swymi na grodzie i wojska zebrano dosyć. Przygotowania na przyjęcie kilkudziesięciu znaczniejszych knieciów, Leszków, władyków, ziemian, wcześniej były uczynione. Umiał Mieszko przyjmować po królewsku i pokazać moc swoją. Dnia tego od rana podwórce, miasteczko, pole pod wałami pełne było pocztów Sydbóra i innych dowódców. Ludu liczone na kilka tysięcy, jakby się na wyprawę zbierano. Dla tych woły zarzynano i pieczono i kadzie z piwem stały od rana.

Na kneziowskim dworze występowano też, jakby najdostojniejszych

spodziewano się gości. Izba wielka na dole przyrządzona była na przyjęcie wspaniałe, wszystkie ławy sukniem szkarłatnym pokrywane, na stołach dzbany srebrne, na ścianach zbroje i tarcze odpolerowane świeżo. Zapach smółki rozchodził się wszędzie. W podwórku pieczono zwierzynę i barany, niewiasty warzyły kasze różne z miodem i mlekiem, beczki z napojami stały pogotowiu, by z nich stągwie napełniać było łatwo. Sam kneź od rana suknie włożył

paradne i miecz przepasał złoty, a czapkę wdział, czarnym połyskującą włosem z Północy przywiezionego zwierzęcia, za którą dał niewolnika. Twarz też na ten dzień rad był włożyć wesołą, ale mimo starania marszczki na niej widać było.

Zawczasu się panowie ściągać poczęli z pocztami pięknymi, bo każdy był

rad przed kneziem wystąpić możnie i schludnie. Więc Jaksy, Kaniowy, Grzymałowie, Rolici, Godziembowie, każdy w kilkanaście lub kilkadziesiąt koni, kołpaki piękne, suknie zawiesziste, miecze kowane, na niektórych zbroje niemieckie, stawili się u progów dworu, gdzie ich dwór i służba witała, a do izby wiodła.

Kneź siedział na podwyższeniu i łaskawie wszystkich przyjmował twarzą, jak mógł, wesołą. A był to pan, który gdy chciał, umiał się srogim, ale i łaskawym okazać; więc dnia tego z kolei witając ziemiany, każdego wiedział, o co spytać, czym mu pochlebić, aby dobrej myśli był. Tuż też cześnicy

stali i stolnik, z kubkami i dzbany, a na stole jadło dymiło. Sadzał kneź podle i wesoło rozmawiał. Gdy około południa zjechali się wszyscy wezwani, izba niemal była pełną i panował w niej gwar, a ochota wielka. Miód coraz rozwiązywał języki. I Dobrosław, i brat pański Sydbór, i inna mnoga starszyzna, urzędnicy dworscy nalewali, a przymuszali pić i jeść, bo taki był zawsze obyczaj gościnności słowiańskiej, iż przymusem ujmowano wstrzeźliwych przez grzeczność gości.

Gdy więc tu zawzięto się na ochotę i wesele, Mieszko wstał, jako dobry pan mieszając się między swych ziemian. Czy z umysłu, czy trafunkiem, kilku do siebie najstarszych ściągnawszy, o wojnie począł mówić naprzód i rozmawiając z nimi, wywiódł ich do bliskiej komory, której okna w podwórze wychodziły. Tu też ławy były dokoła i stolica dla knezia. Sama się jakoś zebrała starszyzna, sędziwe głowy: dwóch braci Jaksów, Czarny i Biały, Rolita z obciętą ręką bez palców, bo mu je w potyczce Niemiec odsiekł, Kaniowczyk, którego zwano Leszczycem, Grzymała Laskonogi i Godziemba zwań Krzywogębą, choć pod wąsami mu nic widać nie było. Byli to najmożniejsi Leszkowie i kmiecie polańscy.

- Wojnie końca nie ma - mówił kneź do nich. - Niemcy się zmagają, z Czechami przymierze uczynili, Ugrów przepędzili do ich łóżysk, teraz nam całą siłą na karki siędą.

- Słyszeliśmy, Miłościwy Panie, - odezwał się Jaksza Czarny, - żeście do czeskich kneziów jeździli, azaliż i my z nimi pokoju mieć nie będziemy?

Milczenie się stało wielkie.

- Byłby pokój i przymierze - odezwał się, głos niższy, Mieszko - ale cóż? Chrześcijanami są i z nami trzymać nie mogą.

Wszyscy posępnie usta zamknęli.

- Dziś czy jutro - odezwał się, wolno cedząc wyrazy Kneź, - nowa wiara wnijdzie i do nas. Weszła ona już, wchodzi co dzień, opierać się jej trudno, pokój by nam przyniosła.

- Przebaczenie, Miłościwy Kneziu - począł Krzywogęba z dalekiego końca, na którym usiadł, - przebaczenie! Pokój by może ona przyniosła od margrafów, gdybyśmy im nogami dali się deptać, ale doma by nie było pokoju. Nasze serca przyrosły do bogów naszych i obyczaju, lud prosty i władcy zarówno jedno wierzą i trzymają. Gdyby starszyzna poszła w jedną, a lud w drugą stronę, mielibyśmy wojnę nie tylko w domu, ale w izbie i na ławie, i na posłaniu naszym.

Szmer cichy zdawał się potwierdzać te słowa.

- A nie także samo było w Czechach, gdy ratując się, wiarę nową

przyjmowali? - rzekł Mieszko. - Dziś przecie już nie czuć i nie widać tam, aby się kto burzył i opierał. Ludowi po lasach zostawić trzeba czas, a starszym poczynać, od nich poszło tam coraz głębiej i...

Spojrzał Mieszko po starszyźnie zasepionej mocno i posmutniałej.

- Nikomu - dodał zmieniając mowę - niewesoło się ze skóry odzierać, rozstawać z tym, co ojcom i dziadom służyło, ale nóż na gardle mamy. Niemcy coraz głębiej idą i zawojują nasze ziemie. Od ujścia Łaby po Odrę wszystko to nasze; co dzień kawałek wydrą nam jakby żywego mięsa; damyż sobie najlepsze ziemie i lud zabierać? Po dobrej woli nie poddali się Lutyki, Obodryty, Wilki, Pomorcy, to im chramy popalono i połamano, i poszli w niewolę.

- Bić się trzeba! Bić się! - wtrącił Laskonogi, - bić dzień i noc, napadać i mścić!

- Siła stokroć od naszej większa, nie zmożemy ich - przerwał Mieszko - a i swoi z nimi idą. Co począć?

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi. Jaksa Biały, który dotąd

milczał, ruszył się, ponad głowę rękę podnosząc.

- Siedzę, od serbskiej granicy - odezwał się - patrzę na niemieckie obroty, zdrajcą nie byłem i nie będę, ale Niemca złego nie zmożemy siłą, ino chytrą siłą.

Ściga nas jako pogan, udajmy, że chrześcijanami być chcemy, abyśmy

wypoczęli i stali z nimi na równi. Nie ma co czynić, ino to, nie ma co poczynać, tylko Czecha chytrego naśladować. Wówczas wilk ten krwi naszej chciwy, Gero i Wigmany, i wszystkie złe duchy ich odstąpić będą musieli, przymierze uczynić, aby ich w nie jak w matnię zaplątać...

Śmiało i żywo to wypowiedziawszy, spuścił głowę Biały i zamilkł.

Mieszko po kolanach swych dłońmi uderzył.

- Jakso mój - zawołał - złote mówisz słowa! Złote słowa twoje! Rozumu się u ludzi i z cudzego doświadczenia uczyć trzeba. Nie wszystko żelazo robi i siła... chytry zwycięża... a obry pijane od krasnupanków giną!

Inni coś mruczeli, ale nie oburzając się.

- Jedno powiem wam - odezwał się Mieszko - choć mnie o słowo trudno (języka nie mam jako drudzy), jedno rzeknę: Co bądź poczynać będę, co zrobię i gdzie pójdę, niechaj was serce nie boli! Nie gwoli złemu uczynię, ale gwoli temu, aby nam i plemieniowi było dobrze. Szerokie ziemie nam należą. Czech nam Chrobaty wziął, Czech nam Szląsko zajął... Hen, dalej po Wisłę, za Wisłę, nasz to język, ziemia nasza, po morze, do Łaby, za Odrę! Wszystko to nasze!

Wszystko weźmiemy, rozumem wprzód ważąc, a potem miecza i krwi nie

żałując. Cesarz na zachodzie, na wschodzie my być powinni cesarstwem. Nie ja, syn, wnuk może, ale to musi być! To będzie!

Wstał mówiąc, słowa zdawały mu się mimo woli rwać z ust, aż nagle,

jakby się opamiętał, że za dużo rzekł, zamilkł.

Jaksa Biały, a za nim drudzy wstali z ław, ręce popodnosili do góry i mimo woli wyrwało się im z ust:

- Tak będzie! Tak będzie!

I Jaksa dodał:

- Miłościwy Panie, nie pytaj, czyń! Tyś pan, tyś Kneź, masz siłę, masz wolę. Niech gawiedź mruczy! Ty idź i czyń!

- Idźcież ze mną i za mną!

Uderzył się w piersi.

- Pójdziemy! - zawołali głośno wszyscy.

We drzwiach komory na okrzyk ten zjawilo się kilku z pierwszej izby; ci nie wiedząc nawet, dlaczego wołano i co chciano, okrzyk powtórzyli w progu, od progu dostał się za stół. Powstawali ziemianie wołając:

- Mieszko żyw i zdrow niech będzie! Na długie lata! Na długie lata!

Czarne oczy knezia zapalały; stał drżący jakimś zapalem, odwagą,

nadzieją. Trwało to chwilę, pokłonił się, ręką od ust dziękując i siadł. Tak krótka, ale stanowcza skończyła się na rada, nastąpiło ucztowanie.

Znowu stolnicy i cześnicy szli nalewać i zachęcać i, mimo przytomności knezia, wrzawa i śmiechy rozległy się w izbie. Toż samo działo się w dziedzińcu i na całym grodzie. Młodzież biegała z oszczepami, ścigała się końmi, pasowała na gołe dłonie, strzelała z łuków i rzucała kamienie.

Podochoceni wojacy, komornicy, dwór, pacholki, dokazywali pod oczyma starszyny, która też podweselona nie myślała powszechnego zakłócać wesela.

Około gaju świętego dopiero panowała cisza i spokój, bo do tego nikt się zbliżyć nie śmiał. Na skraju jego, pod drzewy, widać było kilku starców stojących gromadą w milczeniu i z dala przypatrujących się ciekawie temu, co koło dworu się działo. Zwykła straż chodziła u ścian kontyny. W progu jej siedział znajomy nam Warg z rozwianą brodą, na rękę podparty, słuchając dolatujących doń okrzyków i dumał. Kilku podobnych mu dziadów z białymi kijami przechadzało się po gaju. Warg zdawał się tu czekać na kogoś. Obracał

się czasem ku dworowi na próżno, podglądał pod gałęzie, nikt nie przychodził.

Nad wieczór goście się z wolna rozjeżdżać zaczęli, ludzie znużeni kładli się po szopach, na grodzie uspokajało się, kiedy niekiedy tylko okrzyk lub śmiech doleciał z daleka.

Zmierzchało już, gdy około gaju ukazał się niepewnym krokiem,

bojaźliwie krążący człowieczek niepocześnie odziany. Poznać w nim jednak było można kogoś ze sług mniejszych dworu, tego dnia w barwę jednostajną przybranych. Ostrożnie wsunął się między drzewa, obejrzał i podbiegł ku kontynie. Na widok jego Warga wstał z progu, zbliżył się doń, odciągnął w drugą stronę i u pnia starego dębu się zatrzymał.

- Słyszałeś co? Mów! - rzekł.

- Wszyscy ziemianie z nim za jedno trzymają - odezwał się zadychany sługa. - Co tylko zechce, to zrobi.

- Kto był? - spytał Warga, pochylając się ku małemu człowiekowi, aby odpowiedź lepiej usłyszeć.

Sługa wyliczać począł, przypominając sobie, pomagając na palcach i

powtarzając.

Warga pytał, pomagając mu, odbierając to przeczące, to potwierdzające odpowiedzi; lecz gdy przyszło do powtórzenia tego, co mówiono i nad czym obradowano, sługa nie umiał zdać sprawy z podsłuchów. Jedno wiedział na pewno, iż Mieszkowi wszyscy posłuszeństwo ślepe ślubowali. Warga głowę na piersi spuścił, na kiju się sparł i milczał. Ręką odprawił sługę i przywołał nazad.

- Był Luboń? - spytał.

- Nie było go. Parę dni temu ślano za nim. Kneź mówił krótko i odprawił.

Odszedł nareszcie donosiciel, a Warga, podniósłszy oponę, wsunął się do ciemnej kontyny. Na ławie u wnijścia siedziało dwóch na pozór uspiomych ludzi. Spostrzegłszy Wargę, ruszyli się.

- Teraz idźcie - rzekł - wiecie dokąd i po których dworach. Nie

zapomnijcie o Luboniu. Pojutrze na uroczysku Lelowym, jak świt.

- Pojutrze na uroczysku Lelowym, jak świt! - powtórzyli machinalnie dwaj starzy, a Warga jeszcze raz toż samo im wtórował.

- Pojutrze na uroczysku Lelowym jak świt.

Podniosła się opona świątyni ostrożnie; Warga wyszedł oglądając się, a za nim dwaj jego posłowie, każdy w inną kierując się stronę.

Uroczysko Lelowe położone było wśród lasów, na pół drogi do Gniezna.

Odwieczny dąb spróchniały, omszony, przyschły już, zajmował środek łąki, która wierzch wzgórze okrywała, niską a gęstą trawą leśną porośla. Tu i ówdzie jakby kołem wsiadłe w ziemię leżały głazy szare, opasując go wieńcem.

Niektóre z nich ukryły się już prawie w niej, inne sterczały jeszcze nad powierzchnią. Pomiędzy nimi a olbrzymim dębem mnóstwo glinianych małych miseczek stało w nieładzie, przyprószonych gałęzmi, poprzysypywanych ziemią. Między nimi gdzieś wywrócony dzbanuszek leżał i potłuczone małe bliźniaki.

Z jednej strony popiół zgasłego ogniska szerokim kołem znaczył miejsce, w którym spoczywano. Na dębie wisiały płachty deszczem wymyte, szerniały od wilgoci. Okrywały one część pnia i gałęzi. Te, które wiatr porzucił, walały się na ziemi. Sam dąb miał, rzec można, jakąś postawę własną, która go od innych różniła. Niezmiernej grubości od dołu, okryty szczyrby i garbami, dziwnie poorany spływającą wodą i piorunami, co weń biły, podnosił się do góry, jakby w męczarniach wijąc i dzieląc na kilka potwornie grubych konarów.

Te także nie rosły prosto i bujno; i one łamały się dziwnie, to strzelając do góry, to spadając ku dołowi, to podnosząc znowu zwycięsko, niby pasując z jakąś niewidzialną siłą. Całe drzewo zdawało wiekami wyrosłe w niewysłowionych, powolnych, tajemnych męczarniach. Czyniło ono wrażenie potęgi wiekowej, stworzonej na walkę, zwycięskiej, lecz noszącej na sobie widome znamiona przebytych bojów i męki. Majestatycznie dalej dźwigały się wysoko ponad stary las gałęzie, jedne zielone i gęsto liśćmi okryte, drugie obnażone, strupieszale, zjedzone przez mchy, rozpadające się próchnem.

Spojrząwszy na tego milczącego, nieruchomego, wkućgo w ziemię

szeroko jak szponami niezmiernymi olbrzyma, mimowolnie przejmowało

poszanowanie jakieś i groza. Był on świadkiem tysiącletnich może dziejów, burz, ciszy, przemian na ziemi. Cały świat swój miał stary pan puszczy; z jego soków żywiły się mchy, na ich trupach rosły trawy, w dziuplach kwitły leśne kwiatki schronione od zimna i słoty. Grzyby i pleśnie ssały mu nogi, na jednej gałęzi wił się chmiel dziki, oplatając ją z rozpaczliwą jakąś chciwością. Wyżej pomiędzy gałęzmi słały gniazda ptaki w wiecznym boju z sobą. Na każdej z nich tulił się inny lasu mieszkaniec.

Dąb, jak uroczysko, zwał się Lelowym dębem. Miejsce było poświęcone, tajemne, cudowne; tu szli chorzy zawieszać chusty, z którymi zdejmowali bóle swoje, niewiasty, prosząc Lela o potomstwo, chciwi wróżby, przemiany, pociechy.

O brzasku trzeciego dnia, jeszcze dąb okryty był poranną rosą jesienną, lśniącą jakby już mróz niosła z sobą, gdy z głębi lasu przywłókł się pierwszy Warga. Obejrzał się dokoła, rozszuchał i siadł na jednym z kamieni. W lesie słychać było dzięcioła, który kuł drzewo i z dala krakanie wron ulatujących nad lasem. Głos ich nieprzyjemnie rozbudził starca, któremu się usta skrzywiły; podniósł głowę, ponad nią leciało stado czarne zniżając się, jakby chciało usiąść na starym dębem, zakręciło się nad nim i puściło dalej, krzycząc długo.

Z krzewów wyszedł stary Luboń, odziany w prostą sukmanę, z twarzą

posepną. Pozdrowili się po cichu. Nim mieli czas zacząć rozmowę, ze wszech stron zjawiać się zaczęli, jakby z ziemi wyrastający, starzy ludzie, w tak prostej odzieży, ubogiej, jak oni. Szli milcząco i stawali kołem u kamieni pod dębem, na swych kijach pospierani. Luboń ich naliczył

wkrótce kilkunastu. Starsi zaczęli siadać na ziemi, niektórzy z zanadru wyjąwszy mieszki, przed sobą je stawiali. Milczenie panowało uroczyste. Na wszystkich tych powiędłych twarzach jeden wyraz smutku i gniewu się piętnował. Gdy starcy zajmowali miejsca obok Wargi, innych kilku, butniejszych twarzy, choć odzianych w sukmany, przysunęło się do Lubonia. Widocznym już było, że z dwu jakichś żywiołów miało się składać to zebranie.

Dzień był mglisty, ale słońce zaczynało zza gęstych opon wyzierać;

promień jego zaświecił na górnych dębu gałęziach. Wietrzyk je poruszył i drzewo jakby obudzone zaszumiło poważnie. Nie drgnęła jednak żadna z jego gałęzi, liście tylko drżały i kołysały się. Kilka ptaków wypędzonych z gniazd uleciało w powietrze.

Wtem siedzący za dębem starcy pieśń cichą nucić zaczęli. Wyrazy jej nie dochodziły do uszów tych, co stali na przedzie; nuta była tęskna, żałosna, a głosy szły jakby z piersi rozbitych, ponure i stłumione. Po każdej zwrotce pojedynczy głos powtarzał coś o Lelu i zdawał wzywać bóstwa pomocy.

Warga nie śpiewał, słuchał zadumany, czoło marszczył. Śpiew też trwał

bardzo krótko i obumarł z ostatnim wykrzyknikiem. Westchnienia słyszeć tylko było. Około Lubonia gromadzili się ziemianie, za nimi kołem stali i siedzieli wróżbici, gęślarze i ludzie od kontyn i chramów; jedni spoglądali na drugich, jakby się pytali: "Co począć?" Wtem z gąszczy Wojsław się zjawił, spojrzął na zgromadzonych i wystąpił przed nich.

- Co będziecie czynili? - spytał półgłosem. - Na naszą starą wiarę idzie zguba z góry, wytepią ją. Żadna się kontyna nie ostanie, żaden kamień święty, żadnej uroczystości po staremu obchodzić nie będzie wolno, żadnemu

gęślarzowi śpiewać, żadnemu staremu powróżyć, popędzą nas jak bydło w niewolę. Co czynić? Co czynić?

Warga nań patrzył.

- Jak jeden człowiek może tyle narodu zmusić? - zapytał. - Jak nagniem karku, jarzmo włożą.

- Nie jeden - odparł Wojsław. - Jest ich wielu, a broń mają w ręku i siłę.

Porywać się na nich? Wyginiemy i z nami wiara nasza.

- Głupi się tylko rwie, gdy nie pora, - odezwał się Warga. - Milczeć trzeba, przypaść, czekać. Znajdzie się chwila, gdy albo knezie się z sobą zajedzą, albo wróg ich przydusi. Czekać trzeba!

- A tymczasem kontyny wywróca! - rzekł Wojsław.

- Albo drzewa niema, by drugie wystawić? - począł Warga. - Niech lepiej ściany giną niż ludzie. Przyjdzie pora, gdy będzie siła. Pójdziemy w lasy na uroczyska, będziemy po nocach obchodzili święta i ofiary składali. Puszczcie nas nie zdradzą! Czekać trzeba!

- Inaczej mówiliście niedawno... - odezwał się Luboń.

- Bom nie wiedział, co się dzieje. Kneź ma dużo zbrojnego ludu, Czechy mu w pomoc przyjdą, ba i Niemcy. Na co ma się krew przelewać, kiedy wiarę potajemnie chować można!

Wojśław ręką zamachnął w powietrzu.

- Tak tchórze gadają, - rzekł. - Ulegniemy dziś, jutro nie pora będzie. Za rok, za dwa w każdej chacie się znajdzie chrześcijanin! Dosyć ich jest i tak, ale dziś się tają przed nami, jutro my będziemy musieli przed nimi. Zguba i zatracenie!

Warga wstał z ziemi z oczyma zaognionymi.

- Wyście mnie nazwali tchórzem, a ja was nazwę gębaczem - rzekł. -

Słowa nie kupić, a o ręce trudno.

- A po osadach, po chałupach, po dworach nie możecie iść i ludzi ściągać?

- zawołał Wojśław. - Nie możecie zebrać tysięcy i z nimi wprost na gród iść, a śmiało rzec: "Nie chcemy nowej wiary! Nie chcemy odstać od ojców i obyczaju"!

- Pójdziecie z nami? - spytał Warga.

- O jednego człowieka nie idzie - przerwał Wojśław. - Jak tysiące będą, znajdę się i ja. Starzy poglądali po sobie.

Odezwał się któryś mrukliwie:

- Nie te to czasy, gdy na wiece ojcowie zwoływali i ogniste palono wici!

Popatrzcie u chramów, mało kto idzie, mało kto pyta. Nowa wiara ciśnie się wszędzie, a my ze starą w puszcze i lasy chyba!

- Wojaki kneziowskie żadnej wiary nie mają - wtrącił inny. Na święto idą dla piwa, dla miodu i dziewcząt, a żaden starej pieśni nie umie!

- Nie, nie, - przerwał drugi - nie, Drahoto, nie! Wy koło grodów się kręcicie i nad granicą, gdzie śmiecie spływa. Pójdźcie no w lasy, w głąb, hen, dalej, za Wartą ku Wiśle... Tam nasze bogi stoją całe i lud czołem im bije, ofiary niesie, pieśni nie zabył, obyczaj chowa. A trzeba będzie stać zań, pójdzie wszystek.

Rozśmiał się Drahota i niedowierzająco ramionami ruszył Warga.

Pomiędzy starcami jedni trzymali z nimi, drudzy z Czarnym Buranem.

Wojśław podniósł głos:

- Niech ino kneź zobaczy, że lud stoi przy swych bogach, niech głos posłyszysz, nie będzie śmiał!

- Co, nie będzie śmiał? - przerwał Warga. - Silniejszy on od was i chytrzejszy. Inna moja rada: zmilczeć i ugiąć się, a wiernie swego trzymać i czekać; przyjdzie pora. Albo to czas teraz?

- A kiedy będzie czas? zapytał Wojśław.

- Gdy my wam powiemy! - odezwał się Warga. - Co wy znacie, dworacy?

Co wy wiecie, Wojśławie? Schowaliście się na dworze, nie znacie narodu.

Mocny on może być, gdy przecierpi, gdy zabojeje, gdy mu do serca ściagną dłoń. Dziś my jej jeszcze nie poczuli, darmo wołać. Zbierze się kupa pijanych, zahuczy, rozpędzą ją i strach padnie na wieki na wszystkich. Tego by jemu trzeba, żeby mocniejszym się stał, ale my tego uczynić nie damy!

Drahota powtórzył:

- Nie damy!

Inni starcy, nie przeciwiając się, zamilkli, Warga widocznie ich zmógł i przekonał.

- Wywrócą kontyny? Jest w lasach miejsca dosyć! Każą się kłaniać

nowemu Bogu? Pokłonim się. Było ich dosyć, jeden więcej? Dlatego naszych starych nie opuścim. Nasza dola czaić się, cierpieć i czekać. Przyjdzie nasz czas, przyjdzie nasza godzina. Wybiją na wojnie starszyznę, dwory zostaną puste... -

Warga nie dokończył.

Luboń ze swymi poglądali po sobie, nie mówiąc nic.

- Po cóż nas i wołać było? - odezwał się gniewnie Wojśław. - Nie mamy tu czego słuchać. Że cierpieć trzeba, tośmy wiedzieli i bez was...

Uśmiechnął się Warga.

- Jeszcze my się bojemy stracha, co nie przyszedł. Nie trzebaż go

uprzedzać, zobaczymy, gdy on się zjawi, zobaczymy! A zebrać się i radzić było trzeba, bo niech tu dziś wiedzą, że groza idzie i od zimy nagotują kozuchy. Po tośmy się zesli.

Usiadł stary na swoim kamieniu, a inni mruczeniem dawali poznać, że z nim trzymali.

Wtem Czarny Buran podniósł rękę i rzekł:

- Ja jedno powiem. O kim wiadomo nam, że chrześcijaninem jest, choć tajnie, zabić go! Pójdzie groza po drugich. Niech jeden ginie, aby my nie poginęli wszyscy.

- Dwory im podpalić! - dodał inny. Dobrosława na przód...

- A Ligoń? I ten nie lepszy.

- A Zreba?

Inni wymieniać poczęli różne nazwiska. Warga się nie przeciwiał i milczał.

- Czyńcie w tym, jak chcecie! - dodał obojętnie.

Niektórzy starcy uśmiechali się już, jakby im ta zemsta smakowała.

Luboń zbladł, wspomniawszy na syna i milczał.

Gwar się wszczął między gromadą i rzucanie słowami bezładne, gdy

dziwnie zaszumiała dąbrowa i z dala słyhać było jakby łomot gałęzi, a konia chód. Wszyscy zamilkli przysłuchując się, chociaż myśleli, iż spóźniony może jeden z ziemian przybywa. Wojśław stał za Luboniem, wpatrując się w tę stronę lasu, z której szedł głos; przechylił się ku ziemi, aby popod gałęzmi dojrzeć coś lepiej i nagle, jakby przerażony, skuliwszy się w pół, rzucił w krzaki. Uciezka ta przstraszyła i drugich, ale uchodzić nie była pora, bo za starym Lelem już konia i jeźdźca widać było. Luboń, który stał na widoku, pierwszy zobaczył i poznał Mieszka.

Kneź jechał sam jeden, z twarzą dumną i spokojną; ubrany jak do łowów, z rogiem na sznurze uwieszonym przez ramię, z sulicą w ręku, łukiem na plecach. Zobaczywszy starców i ziemian zebranych u dębu, nie okazał wcale zdumienia, konia trochę strzymał, stał i patrzył.

Wróżbici i gęślarze osłupieli z trwogi i przerażenia. Niektórzy z ziemian cofali się w las, inni stali jak w ziemię wryci. Ze starych niektórzy, nawykli do poszanowania, z wolna podnosić się zaczęli.

Mieszko stał i oczyma mierzył wszystkich, dostrzegł z dala Lubonia, poznawał i innych, oraz wróżbitów, których przy grodzie widywał. Po chwili namysłu z wolna z konia zsiadł, wziął cugle i do oniemiałych zbliżył się z twarzą wcale nie gniewną, ze wzrokiem jasnym. Ci, ku którym podchodził, zapomniawszy o odgrózkach, chylili mu się do kolan i pokłony bili.

- Cóż to za wiec u was, gęślarze, zapytał i czemuście się to tak głęboko w lasy z nim skryli? Albo to gajów świętych nie ma przy chramach?

- Miłościwy Panie, - odezwał się chytrzejszy od innych Warga, nisko się kłaniając, - u nas to obyczaj stary, u dębu za urodzaje bogom dziękować i wróżyć, co zboże da i co zima przyniesie. My tu na tym uroczysku schodzili się co roku.

- Ano, wróżcie i śpiewajcie, niech i ja posłucham, a popatrzę, a z

mądrości się waszej co nauczę... - rzekł Mieszko spokojnie, rozglądając się po starcach. I słowa te kończąc, obejrzał się, aby sięść. Kłoda omszona leżała poza kołem wróżbitów, przysiadł na niej. Milczenie panowało między starymi.

Warga, który się tak zřęcznie wytłumaczył, szepnął Drahotcie:

- Wróćcie...

- No... co nam ta zima obiecuje? - rzekł kneź. - Mówcie!

Drahota zawezwany, musiał wedle zwyczaju postąpić; przywołał Wargę i Burana, usiedli na ziemię i końcami kijów swych białych w milczeniu ziemię odgarnywać zaczęli szukając, jakie by w niej znalazły się znaki. Ziemia leśna wilgotna, nie miała w sobie nic zrazu, oprócz przegniłych liści.

Drahota kopał

głębiej i dobył kostkę jakiegoś zwierzęcia. Warga, on i wszyscy głowami potręśli znacząco.

- Kość! - rzekł Drahota. - Kość znaczy śmierć i szejńnięcie!

- Komu? - zapytał kneź.

Milczeli obracając głowami. Drahota począł kopać dalej; dobyli węgla kawałek. Węgiel znaczy stos i zgliszczce, śmierć!

- Śmierć! - rzekł Warga.

- Komu? - powtórzył Mieszko.

Mówić nie śmieli, poglądali po sobie.

- Śmierć wrogom naszym! Niemcowi! - zawołał kneź.

Warga, pokręciwszy głową, począł grzebać głębiej jeszcze. Czarny robak okazał się wśród poruszonej ziemi i z wolna w szczelinę jej wsunąwszy, zniknął.

- Wróćcie śmiało odezwał się Mieszko jeśli znacie przyszłość!

- Śmierć i zniszczenie złemu począł Warga.

- Wrogowi - szepnął Mieszko.

- I tym, co z wrogiem trzymać będą! - rzekł Buran ponuro. - Robak, co pełźnie, znaczy nieprzyjaciela, co się skrada. Uszedł nam w jamę, zły to znak.

Warga grzebał kijem po swej stronie.

- Wróćcie! - odezwał się wśród milczenia Mieszko. - Wkrótce nam na Wigmana iść będzie trzeba, przeciw Geronowi. Dobrze wiedzieć, co nas czeka.

- Rzućmy losy! - rzekł Drahota.

- Rzućcie - potwierdził, wstając i zbliżając się, Mieszko.

Drahota z torby dobył siedem kawałków drzewa, rozłupanych na poły, tak że wierzchnia ich część czarną korą była okryta, a wewnętrzna biała; zebrał je w garść, począł coś mruczeć i cisnął na ziemię.

Wszyscy się pochylili, spoglądając ciekawie; drzewo padło tak, że sześć kawałków czarnych było, a jeden tylko biały.

Milczeli starcy.

- Czarno nam jutro wróży! - odezwał się Warga.

- Rzućmy raz drugi - zawołał Drahota, zbierając patyki po ziemi i

wznosząc je po wtóre z szeptem jakimś i zaklęciem.

W milczeniu oczy wszystkich się zwróciły na padające drzewa, wszystkie czarnym bokiem leżały. Spojrzeli po sobie starcy i nic nie rzekli, Drahota na trzecią i poślednią wróżbę zbierał kawałki. Mieszko, stojąc z twarzą spokojną, spoglądał na nich z góry. Po raz ostatni ciśnięte patyki tak jak pierwszym razem, ledwie jednym białym upadły.

- Czarne jutro nasze, czarne, Miłościwy Panie - westchnął Drahota.

- Czarne... - wtórował Warga.

- Czarne, - chórem szeptali wszyscy. - Trzeba ofiary bogom nieść, aby odwrócili gniew i groźbę. Krwi bogowie pragną!

- Pójdziemy jej Niemcom utoczyć - odezwał się Kneź głośno - ta im

smaczniejsza będzie, niż gdybyśmy kozła zarznęli. Niech tylko idą za mną wszyscy, gdzie im wskażę, niech się biją rażno, a mężnie, a wróżba się na wrogów obróci.

To rzekłszy i spojrzawszy naokół po milczących dziadach, dodał:

- Niech każdy sprawia, co do niego należy, ja się będę bił, wy obiady nieście i śpiewajcie. A nauczcie młodych, aby za wodzem szli posłuszni. Tym Niemcy silni, że słuchać umieją! Tym my słabi, że zgody u nas i posłuchu nie ma. Ale tych i ja nauczę!

Rzekł i z wolna koniowi cugle ściągnawszy, skoczył nań, popatrzywszy jeszcze na wylękłych wróżbitów; ujął róg w rękę, trzy razy zatrąbił i w gąszcz wjechał na powrót.

Luboń i wszyscy w głuchym milczeniu nieruchomi pozostali długo i

odetchnęli dopiero, gdy kneź zniknął im z oczów.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO .